NA GRUZACH SMĘTKA

NA GRUZACH SMETKA

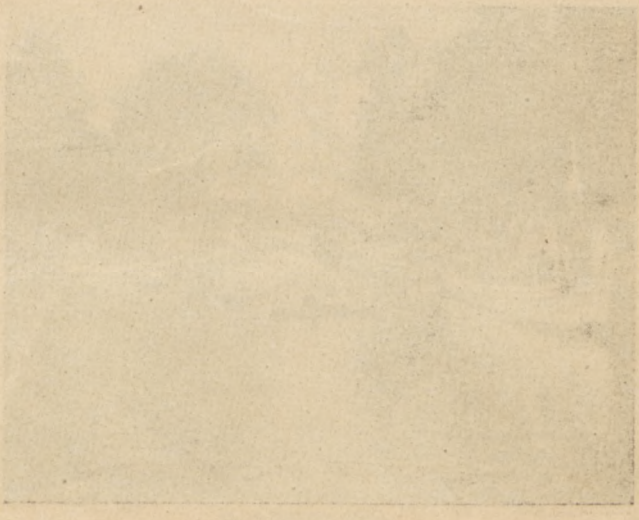

Zamek w Olsztynie, którego bronił Kopernik przed Krzyżakami

Widok na kanał pod Ostródą.

LEON SOBOCIŃSKI

NA GRUZACH SMĘTKA

z 36 ilustracjami

1947
WYDAWNICTWO B. KĄDZIELA
WARSZAWA

Okładka projektu Z. Kosmowskiego

K. 137/48

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Druk Sp. Wyd. „Chłopski Świat", Warszawa, Hoża 48
B-13609

PRZEDSŁOWIE

Ta książka jest rozszerzeniem i pogłębieniem pracy pt. „Ziemia Mazurska za drutami", wyróżnionej na konkursie Związku Zachodniego.

Do napisania jej popchnęły mnie trzy intencje:

1) potrzeba popularyzacji zagadnień mazurskich w najszerszych kręgach społecznych,

2) konieczność przeciwstawienia się szkodliwej psychozie Smętkowej w chwili, gdy kształtuje się nowa rzeczywistość,

3) ukazać i zestawić nową dzisiejszość polską na Mazurach z epoką niewolnych lat tej krainy, poniewieranej przez obcych, zaniedbywanej przez swoich.

Ziemia Mazurska nie jest już więcej „ziemią Smętka", jak to się często słyszy i czyta.

Ten zaraźliwy defetyzm, zaszczepiony talentem literackich piór, upowszechniać się zaczyna bezwiednie w sposób rażący. Cierpimy jakby na kompleks Smętka.

Taki przykład: na Dolnym Śląsku jedna z piękniejszych partyj gór karkonoskich nosi nazwę „Góry Smętka". W Olsztynie jest ulica Smętka.

Moim zdaniem, Smętek zaszedł za daleko i za wysoko

Legenda o Smętku do tych miejsc wcale nie przystaje. Śląsk i Mazury mają swoje śliczne, urocze baśnie.

Pokusiłem się tedy Smętkowi przeciwstawić dobrego ducha ziemi mazurskiej, prasłowańskiego bożka Kołbóga, o którym zapomniano.

Byłem na ziemi mazurskiej przed 10 laty, gdy istotnie na ziemię Smętka wyglądała.

Przemierzałem te boleściwe okolice w jakiś czas po autorze „Na tropach Smętka".

Rozmawiałem z tymi ludźmi, z którymi gawędził Wańkowicz, zwiedzałem te miejsca, które on zwiedzał. Słowem byłem i na „tropach Smętka" i... na tropach „Wańkowicza".

Miałem więc sposobność przekonać się jakie nieraz zło wyrządzić może nawet dobra książka, jeśli pasja pisarska, niepohamowana przezornością, zbyt daleko autora pociągnie.

Ale to już sprawy przeżyte, jak przeżyła się aktualność samej książki „Na tropach Smętka".

Pozostanie ona jako piękny dokument literacki, jako wierny obraz męczeńskich dziejów ludzi żyjących pod gniotem swastyki, ale już nie dopasowana jest do życia tej ziemi w ramach polskiej inności dziejowej. Ponadto deformuje polską legendę o Smętku z wyraźną jego krzywdą.

Nie oznacza to, aby mówiąc konwencjonalnie, moja skromna praca, wszystkie potrzeby dzisiejszości warmińsko-mazurskiej wyrażała i obraz stosunków tamtejszych dała całkowity i wyczerpany.

„Na gruzach Smętka" jest tej rzeczywistości tylko wykrojem, fragmentem.

Jeśli chodzi o gatunek pisarski mojej pracy, to jest on zespołem najróżnorodniejszych form: pamiętnikarskiej, felietonowej, publicystycznej, reportażowej, połączonych z pró-

bami historycznego naświetlenia przedmiotu w sposób popularny i szkicowy.

Stąd też, nie wiedząc w jakiej szufladzie bibliograficznej „Na gruzach Smętka" zmieścić, nazwę tę rzecz po prostu faktomontażem. Oddaję pracę na rynek czytelniczy.

Cokolwiek o niej powiedzą fachowcy, pokornie schylę głowę. O sąd ogółu czytającego jestem spokojny, ponieważ pisałem tę publikację z wielkim umiłowaniem przedmiotu, bodaj większym, aniżeli z jego znajomością. Stąd prawo do korzystania z okoliczności łagodzącej.

Tyle miałbym do powiedzenia w przedsłowiu jako autor „Na gruzach Smętka".

I jeszcze jedno. Na zakończenie chcę dać wyraz dogłębnej wdzięczności p. Sukiertowej-Biedrawinie za światłe rady i udostępnienie mi źródeł w kierowanym przez siebie Instytucie Mazurskim, p. Pieniężnej, żonie red. Seweryna, p. Szczepańskiej (córce działacza i pisarza warmińsko-mazurskiego), p. Franciszkowi Piotrowskiemu i p. Romualdowi Widźgowskiemu za dostarczone mi do książki materiały.

Mam wrażenie, że to już wszystko.

Leon Sobociński

Kaplica św. Anny w zamku olsztyńskim

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

ZA ŻELAZNĄ KURTYNĄ

Motto:

Wszystko zagarną, poróżnią kochanków —
Z kijem i torbą puszczą wajdeloty —
Groszem, podstępem lub wymowną zdradą —
Jak Kopernika — wszystko nam ukradną.

(Władysław Syrokomla)

Na kilka lat przed drugą wojną światową czterech jeźdźców germańskiej Apokalipsy: Hitler, Himler, Goering, Goebels — upatrzyli sobie Prusy Wschodnie jako wypadowy teren strategiczny, skąd mieli raptem skoczyć Polsce ku gardzieli i stratowawszy powaloną, przerzucić pożar wojny na wszystkie lądy i wody ziemskiego globu.

Aby te zbrodnicze przygotowania zakryć przed ciekawym okiem słowiańskiego sąsiada, na całą ponurą scenę zapuszczono żelazną kurtynę tak szczelnie i głucho, że odgłos skargi stamtąd do nas prawie nie dochodził.

I skarżyć się nie mieli przed kim. Rzeczpospolita miała usta zatkane paktem polsko-hitlerowskim. Nigdy Rzeczpospolita nie stała o Mazury.

Tragiczni ludzie, tragicznej ziemi.

Po Wańkowiczu, który w swej publikacji obnażył cząstkę prawdy mazurskiego piekła, nikogo z ludzi pióra tam nie puszczą.

Nasza granica z Prusami Wschodnimi miała się stać granicą wielkiego obozu koncentracyjnego, w którym po cichu karczowano polskość tej krainy.

Likwidowano tę polskość metodycznie, dokładnie, krok za krokiem, przy pomocy olbrzymiego aparatu, wykształconego na niemieckiej teorii totalnego mordu.

A u nas? U nas przyjęła się miękka zasada nie drażnić! Bo pakt! Pakt od początku jego podpisania jednostronny. Myśmy za tę „przyjaźń" płacili Warmią i Mazurami.

Właśnie z uwagi na to przymierze chciałem się dostać do Prus Wschodnich.

Czy istotnie to wszystko prawda co mówią i piszą na temat tamtejszych stosunków: „Ziemia gromadzi prochy" — „Na tropie Smętka" — „Płonąca granica" itd.

Jakże to tak być może, gdy Goering przyjeżdża na polowania do Puszczy Białowieskiej, Frank w aulach uniwersyteckich wygłasza odczyty o prawie międzynarodowym, a Beck raz po raz rewizytuje Berlin i Berchtesgaden?

Coś tu się nie rymuje, za tym wszystkich ani chybi czai się jakieś oszustwo. Podejrzane wydać się mogły owe szwabskie zaloty i te łatwowierne oficjalnej Polski umizgi do Berlina. Zajrzeć za tę żelazną kurtynę.

Przypuszczam, że nie jeden z dziennikarzy piastował te same, co i ja pragnienia.

Przypadek mi poszedł na rękę.

A jak to się stało, opowiem.

Z wydawcą i redaktorem „Gazety Olsztyńskiej" Seweryne Pieniężnym zapoznałem się w Toruniu, w kawiarni „Pomorzanka", za pośrednictwem wydawcy „Gazety Wąbrzeskiej" Bolesława Szczuki. Był to rok 1936. Pieniężny przyjechał właśnie z Olsztyna mocno skłopotany. A zmartwienie miał nielada. Zbliżała się rocznica 50-lecia „Gazety Olsztyńskiej". Trzeba zrobić reprezentacyjny numer jubileuszowy. Jak to zrobić, gdy się jest w jednej osobie i wydawcą i redaktorem, kolporterem i zecerem. Wydawca gazety na prowincji to omnibus do wszystkiego i stale zajęty. Ja podówczas byłem wolny.

— Więc pojedziecie do mnie, panie kolego?

— Pojadę — zdecydowałem krótko.

— Do jubileuszu mamy trzy miesiące czasu, — mówi Pieniężny. Numer musi być tip-top, żeby szwabom oko zbielało. Czołowa kolumna w trzech językach. Będzie to numer okazowy i propagandowy.

— Postaram się zrobić więcej, niż w mojej mocy, odparłem. A teraz kwestia pieniężna, panie Pieniężny. Pan jako wydawca bardzo trafne nosisz nazwisko, ja, niestety, jako wyrobnik pióra, stale jestem bezpieniężny. Rozumiecie więc: tradycyjna zaliczka, koszta podróży itd. Uśmiał się Pieniężny szczerze z mego kalamburu i wręczając mi okazałą zaliczkę, powiada:

— No, teraz to i wy będziecie moim krewnym, jesteście już też... pieniężny.

Pożegnaliśmy się. Za trzy dni miałem wyjechać.

Tyle mniej więcej czasu potrzeba było na załatwienie formalności z wyrobieniem paszportu zagranicznego, wizy.

Tak przewidywaliśmy, nie byliśmy jednak przewidujący.

Sprawę mego wyjazdu w konsulacie chciano storpedować.

— Więc pan chciałby do Rzeszy? — pyta mnie dość poprawną polszczyzną urzędnik konsulatu, grubszy osobnik w nordyckim kolorze.

— Nie inaczej — powiadam, — pocóżbym tu zabierał panu drogi czas!

— A do jakiej miejscowości, w jakim celu? — bierze mnie na spytki.

— Do Olsztyna, mam tam krewnych, chciałbym ich odwiedzić. Zresztą — dodaję — pociąga mnie zwykła ciekawość poznania tamtejszych malowniczych stron.

— Nic nadzwyczajnego, niech mi pan wierzy, — wbija mi się w moje wywody urzędnik konsulatu dość zresztą grzecznie. — Jeśli chciałby pan zwiedzić miejscowości naprawdę godne widzenia, to proszę, służę panu prospektami.

Podziękowałem za uprzejmość, ale uparłem się przy Prusach Wschodnich.

Wyszedłem po tej rozmowie pod wrażeniem, że sprawa mojej wizy nie pójdzie tak gładko.

W tym wypadku przeczucie mnie nie zwiodło.

Czekam na wizę tydzień, czekam dwa i byłbym czekał aż do wybuchu drugiej wojny światowej, która wtedy nikomu, oprócz Hitlera, się nie śniła.

Bo oto minął już i miesiąc.

Pieniężny, zaniepokojony, przysyła list za listem.

Co z wami, Kolego, pewnoście walutę „przechlali" i nie macie za co przyjechać. Jeżeli wam brak pieniędzy, weźcie od mego przyjaciela Szczuki.

Zdenerwowany takim posądzeniem walę do konsulatu i ku swemu osłupieniu, dowiaduję się, że sprawę

mej wizy musi rozstrzygnąć Berlin. Kiedy odpowiedź nadejdzie, nie wiedzą.

Na takie dictum objęła mnie wściekłość. Wprost z konsulatu pobiegłem do domu i całą irytację wylałem na papier.

W miarę jednak pisania artykułu chłonąłem i ostatecznie sformułowałem dość powściągliwą w tonie notatkę.

Trzeba bowiem pamiętać, że był to okres polsko-niemieckiej kokieterii politycznej. Nie drażnić!

Ograniczyłem się zatem do stwierdzenia faktu, że Niemcy zajeżdżają do Polski, jak do hotelu, spożywają na bankietach (gratis oczywiście) wykwintne menu i na dobitek wywożą z sobą tłuste „wałówki" z polowań w Puszczy Białowieskiej, a Polak nie może pojechać do Niemiec o własnym wikcie, do krewnych itd.

I co? Skutek tej notatki, którą rozesłałem do prasy, był gwałtowny.

Na drugi dzień po jej ukazaniu się woźny konsulatu przyniósł mi wizę do domu własnoręcznie. Niemiec umie być przymilny, gdy dostanie w łeb.

Wysmarujesz, pojedziesz, — śmiałem się, pakując walizkę.

Było to, właściwie rzecz określając, wielkie nieporozumienie w tym porozumieniu.

Pojechałem!

Żelazna kurtyna nieco się uchyliła.

Przedostałem się za bramę piekła, na którym wielki Dante umieściłby napis: „Lasciate ogni speranza".

Mazurzy i Warmiacy, porzućcie wszelką nadzieję!

II

WĘZEŁEK GORDYJSKI

Motto:
„Timeo Danaos et dona ferentes".

Tego samego jeszcze dnia, wieczorem, byłem w Olsztynie.

Pieniężny oczekiwał mnie na dworcu, gdyż go zawiadomiłem telefonicznie.

Zdziwił się pan Seweryn nie mało, skoro mnie ujrzał.

— Straciłem, — powiada, — nadzieję, że przyjedziecie.

— Niby dlaczego?

— Teraz już koniec! — rzecze z rezygnacją, — nawet ja, choć mam stałą przepustkę, do Polski już nie pojadę.

Taki „befel" z góry. Zaciskają nam pętlę koło szyi coraz ciaśniej. Może to czasowo, nie wiem.

— A widzicie, mnie jednak wpuścili, — chełpię się.

— To tylko na pokaz. Trzymajcie się, będą was pilnować, jak oka w głowie.

— Jeżeli tak, to mi się nic złego nie stanie! — zażartowałem.

— Na tę przyjaźń polsko-niemiecką nie liczcie. Niemiec potrafi jajko wypić i dziurki nie zrobić.

Wywiad niemiecki ma napewno dokładne o was informacje.

Każdy Polak jest tu źle widziany, a cóż dopiero dziennikarz z Polski.

— Więc dlaczego mnie wpuścili?

— Pilnujcie się, żeby was raczej wypuścili! — śmieje się Pieniężny, a ja cały dotychczas w uśmiechu, na chwilę spoważniałem.

No bo co, gdy strzelę głupstwo, jaka siła mnie uratuje?

Mimo wszystko poczułem się obco i nieswojo. Polska zdała mi się tak daleko, choć do granicy jej tak blisko.

* * *

Na drugi dzień, wstydząc się przed sobą swej małoduszności, zabrałem się całym sercem do pracy.

Dobre moje samopoczucie napęczniało, gdyż mój kolega po dziennikarskim rzemiośle, Jankowski, którego w redakcji poznałem, opowiadał mi historię swego czteromiesięcznego pobytu w więzieniu za jakieś błahe przestępstwo prasowe.

Więc nie taki Smętek straszny, jak go rysują, pomyślałem sobie i z więzienia się wychodzi.

Niemcy od stuleci są zaprawieni w chytrości.

Co Niemiec myśli, wiadomo, ale nigdy nie wiadomo co Niemiec zrobi.

Mimo ,iż skąpo pozostało czasu do dnia jubileuszu, materiał redakcyjny narastał.

Poczta codzień przynosiła nam z kraju, z za granicy życzenia, gratulacje, artykuły.

Most kolejowy z widokiem na Olsztyn

Przysłano nie tylko artykuły, ale i płatne ogłoszenia wielkich firm państwowych i prywatnych z Polski.

Były to raczej prezenty jubileuszowe. Była to milcząca manifestacja.

Pieniężny zacierał ręce, nie to, jakoby miał być materialistą, ale placówka kulała.

Nakład nie był wielki, coś około 3.000, ale i niemiecka prasa Prus Wschodnich nie cieszyła się znów tak wielką poczytnością.

Zwiedzałem taką wioskę na Warmii, w której było trzech abonentów „Olsztyńskiej" i ani jednego prenumeratora jakiejkolwiek gazety niemieckiej.

„Gazetę" abonowali starzy, a ci już wymierali. Młode pokolenie „Olsztyńskiej" prawie już nie znało.

Prenumerata gazety polskiej była aktem wielkiej odwagi cywilnej.

Za jakie lat 20—30 poszliby do ziemi abonenci „Olsztyńskiej" i sama Olsztyńska zostałaby z ostatnim polskim nekrologiem.

Druga wojna światowa uratowała dla Polski i Warmię i Mazury.

*

* *

O jubileuszu „Gazety Olsztyńskiej" było w prasie polskiej coraz głośniej. Łechtało to nieco ambicję wydawcy.

— Nareszcie sobie nas przypomniano, — mówił do mnie z goryczą.

— Lepiej późno, niż później, — broniłem honoru prasy.

Bo istotnie, zainteresowanie sprawami wschodniopruskimi w przedwrześniowej prasie polskiej było dość anemiczne.

A czytelnik interesował się tymi problemami, skoro publikacje broszurowe i książkowe na te tematy osiągały znaczne nakłady i raz po raz były repetowane.

Zeznam szczerze, że ta chwilowa moda na „Olsztyńską" podnieciła i moją próżność.

Co tu dużo gadać, człowiek jest człowiekiem.

Zaśmiewaliśmy się z Pieniężnym do rozpuku, gdyśmy wieczorem, po kolacji, rozparci w miękkich fotelach klubowych, przeglądali pocztę z Polski.

I tak „Kurier Poznański", który nigdy nie drukował ani jednego mego słowa, naraz zamieszcza taką trzyłamówkę:

„Co na to nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych? Nasz współpracownik nie może otrzymać wizy do Niemiec, dziwimy się mocno..." itd.

I w ten deseń wiele dzienników i tygodników:

„Nie może się doczekać wyjazdu", a ja tu siedzę już dobre dwa tygodnie i myślę raczej o wyjeździe.

Co? Niezły kawał.

To też nic dziwnego, że ściśle biorąc, ambasada niemiecka w Warszawie miała wszelkie formalne podstawy do rozesłania redakcjom odpowiedniego sprostowania.

W tym wszystkim bawiło mnie i to, że nareszcie zaczynałem być przez redakcje rozchwytywany w sposób tak gwałtowny bez porozumienia się ze mną.

Nie szkodzi. Żadna... prasa nie hańbi. Chyba tylko... reakcyjna.

Przypominam sobie, że mieliśmy z Pieniężnym raz twardy orzech do rozchrupania.

A było to tak.

Pewnego poranku, wśród sporego naręcza listów i gazet, listonosz rzucił na biurko list z nagłówkiem Reichsbanku.

Pieniężny rozrywa kopertę i ku swemu zdziwieniu, czyta prośbę o płatne zamieszczenie półkolumnowego tekstu ogłoszeniowego w numerze jubileuszowym.

Tekst oczywiście niemiecki.

Co jest? jak „Olsztyńska Olsztyńską" nigdy jeszcze nie dostąpiła takiego „zaszczytu".

W całym swoim żywocie wydawniczym nie mogłaby się wykazać najmniejszym bodaj ogłoszeniem nawet od prywatnej firmy niemieckiej, A tu naraz od takiej instytucji.

— No, no, — pokiwał Pieniężny głową. Pokiwałem i ja solidarnie, komentując fakt podejrzeliwie:

— Timeo Danaos et dona ferentes.

Ostrożnie! Koń trojański.

Narada. Co zrobić? Spaskudzić uroczysty numer szwabskim tekstem? Odrzucić?

I strata materialna i afront. I nie wypada i nie można. Konsekwencje i represje.

Ogłoszenie przecież tak podstępnie kurtuazyjne.

Jaki jego cel? — głowimy się.

No, cel wyraźny. Zawiadomiliśmy przecież w redakcyjnym prospekcie, że numer pójdzie za granicę.

Niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych chce pokazać jaka to panuje idylla w polsko-niemieckich stosunkach.

— Co tu więc zrobić? — pytam, — jakby tu na naszym miejscu postąpił Salomon, gdyby był oczywiście redaktorem.

A że Salomona pod ręką nie było, Pieniężny ruszył własnym koncepłem i nie namyślając się długo, rozcina

supeł gordyjski najzwyczajniej w świecie; mianowicie: bierze ołówek do ręki i na odwrocie listu urzędowego transponuje tekst niemiecki na polski.

— Brawo, świetnie! — wykrzykuję, — oto dyplomacja. I wilk niemiecki syty i koza „Olsztyńska" cała.

W ten więc sposób nie dopuściliśmy do zepsucia linii numeru jubileuszowego tekstem niemieckim.

Utrzymaliśmy polski charakter gazety.

III

REZERWATY POLSKOŚCI

Motto:

A kości z pobojowiska
wstaną i będą walczyć w takt
pieśniom harfiarzy.

J. Słowacki

Podczas wolnych, wieczorowych chwil zanurzałem się w starych rocznikach „Olsztyńskiej".

I pszczoła nie latała zapamiętalej ode mnie z kwiatka na kwiatek, jako ja, gdym się przerzucał z rocznika gazety na rocznik.

Rewelacyjne tu dla siebie odkrywałem rzeczy.

W każdej kolumnie pisma, w każdej notatce kronikarskiej, w każdym nawet ogłoszeniu handlowym przeglądało się niezamazane oblicze polskie tej ziemi mazursko-warmińskiej.

Wyczytałem w tych pyłem czasu pokrytych księgach, że jeszcze w r. 1872 prokuratura wyroki, obwieszczenia musiała publikować również i w języku polskim, a w sądach urzędował tłumacz.

I nie tylko przeszłość mówiła, ale i teraźniejszość świadczyła za polskością.

Na ulicach miast mazurskich czy warmińskich polskość zaczepiała mnie na każdym kroku z napisów sklepowych: Hans Grabowski, Franc Kamińsky, Gertruda Zielonek, Joachim Górski itp.

W każdym prawie sklepie od biedy można by się z ludźmi rozmówić po polsku. Tylko się bali wdawać z nieznajomym w pogwarki.

Za to bez strachu przemawiały do mnie napisy na krzyżach cmentarnych i modlitewne sentencje figur i kapliczek wiejskich.

Żywa ulica mówi polskością nazwisk, gwałconych niemiecką pisownią. Co więcej, nieme cmentarze tę polskość głoszą ordynkiem napisów na krzyżach.

Każda mogiła, to dokument.

Wszędzie tu jesteśmy na tropach Polski.

Do połowy ubiegłego stulecia napisy na pomnikach cmentarnych przeważnie polskie miały brzmienia. W Krzyżawie, powiecie łeckim, na krzyżu cmentarnym zachowało się takie objaśnienie:

„Tu odpoczywa w Bogu
Euphrożyna Kolenda
ur. w r. 1822, zm. 18 grudnia 1884".

A po drugiej stronie krzyża wierszyk w prostocie swej wzruszający:

„Tyś mnie w żalu opuściła,
Bo ty mi wciąż miła była —
Gdy się my tam powitamy,
To znów sobie ręce damy".

Dziw bierze, że te szczątki polskości. że te relikwie polskie jeszcze tu i ówdzie pozostały. Bo wyrywano tę polskość systematycznie, z pruską pedanterią od samego korzenia.

W kalendarzu, wydanym w Szczytnie przez autora Niemca, podano spis rzemieślników tam zamieszkałych w roku 1671. Nazwiska prawie wyłącznie polskie. I tak: Schuster (szewcy) Jochem Willudski, Anders Dawiat, George Kruppa, Hans Nizke, Jakob Kopka, Hans Augustin, Jakob Greger, Jakob Sadloch, Hans Gollan, Hans Boczkowski.

Schneider (krawcy) Weit Kopka, George Klos, Jakob Wiesiolek, Hans Grzybowski itd. Znajdzie się w tym spisie i Paul Notowlowski, Martin Kowalczik, Paul Sowa, Christof Zmorra, Jakob Skiba, a nawet Hans Szymontkowicz.

Oczywiście transkrypcja imion i nazwisk jest późniejsza. Schimuntkowitz, napewno w roku 1671 nazywał się Zygmuntowicz.

Nawet nieboszczyków i to Niemcy potrafili germanizować.

Nocami draby z Hitlerjugend wdzierały się na cmentarze i demolowały polskie nagrobki.

Co się tu działo w okresie polsko-niemieckiej oficjalnej przyjaźni pojęcie przechodzi.

Słabe o tych sprawach do nas dochodziły tylko echa. Wiele rzeczy tuszowano, byle nie drażnić w imię jakiejś wyższej racji stanu.

Tu, w Prusiech Wschodnich, w tym junkiersko-pruskim legowisku, założono niejako niszczycielską stację doświadczalną, kursy dokształcające dla przyszłych Franków, Foersterów, Himmlerów.

W żadnym regionie hitlerowskiego Reichu nie rozbrzmiewał głośniej a zapalczywiej okrzyk „Heil Hitler".

Nigdzie na terenach Rzeszy Niemieckiej nie celebrowano kultu Führera z takim nabożeństwem, jak w Prusiech Wschodnich.

Gdy mówił wódz, zwłaszcza gdy mówił w dzień swoich urodzin, ulice miast i miasteczek nieruchomiały. Zalegała wtedy cisza, jak podczas uroczystej minuty milczenia na odgłos syreny.

Tramwaj zahamował bieg w miejscu, kelner w cukierni nie doniósł do stolika kawy, listonosz zatrzymał się przed domem, w sklepach ustały tranzakcje.

Führer spricht!...

I ulice „Allensteina", „Königsberg'a" jakby tknął paraliż. Nikt się nie poruszył, śmiałek był ten, który chrząknął lub głośniej kaszlnął.

Rzekłbyś, że za chwilę zegary zostaną zatrzymane w swym chodzie.

Ale czas szedł powoli, obojętnie, spokojnie jak Przeznaczenie.

Ten Czas pogruchotał całą sztuczną scenerię i pchnął w przepaść nicości najkrwawszego błazna wszystkich dziejów.

Czy opamiętał tych manekinów zbrodniczego reżimu?

Jeszcze dziś, gdy przymknę oczy, w ciemnicy moich wspomnień widzę rozpalony czerwienią sztandarów i transparentów ten Allenstein upity entuzjazmem do białej gorączki.

Nie, to nie był entuzjazm, to była psychoza szału, jakieś zbiorowe delirium kultu do wodza.

Co kilkanaście kroków głośniki, megafony. A po skończonej mowie solenizanta raz po raz salwy okrzyków: „Heil Hitler"

Żaden naród ziemskiego globu nie podatny jest do tresury tak, jak naród niemiecki. Zwłaszcza Prusak. Ten, to już się urodził w koszarach.

Fragment parku w Olsztynie z pomnikiem plebiscytowym (obecnie zburzony)

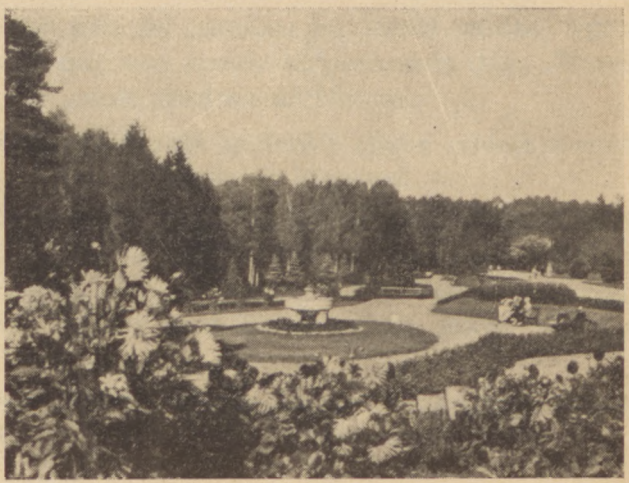

Fragment parku w Olsztynie

Ta nadgorliwość w „heilowaniu" przybrała rozmiary tak „poważnej groteski", że aż zahaczała o granice dwuznaczności. Bo nie wiadomo jak taki przypadek osądzić.

Oto któregoś dnia pan Seweryn przynosi mi egzemplarz pisma, będącego organem oddziałów szturmowych „S. A. Mann" i powiada: — Czytaj pan!

Czytam i przecieram oczy. Pismo występuje gwałtownie przeciwko lekceważeniu pozdrowienia niemieckiego, wymieniając z oburzeniem wypadek i to nie odosobniony. Pewna Niemka w Szczytnie uczyła psa podnosić łapę dla „pozdrowienia Heil Hitler".

Nie po to —pisze wspomniane pismo — wprowadzono takie pozdrowienie, będące wyrazem czci dla wodza, ażeby stał się numerem pokazowym dla psa".

Jakiż dać komentarz do takiego obrazka? Chyba dowcip rysunkowy!

Mówiąc wszakże poważnie, organ S. A. Mann niepotrzebnie się irytował. Ta Niemka wyrosła w takim klimacie, jaki urobiła Goebelsowska propaganda.

Daleka była od zamiaru poniżenia wodza, wprost odwrotnie, ona swe zasady kolportowała dalej. Wszystko, co żyje, musi pozdrawiać Hitlera.

Powyższy obrazek najlepiej chyba oddaje nastrój, jaki w Prusach Wschodnich panował.

Nic dziwnego, że te Prusy Wschodnie tak szczelnie izolowano i że tak trudno było się tam dostać dziennikarzowi, jeśli nie użył podstępu jak Wańkowicz, który objeżdżał Mazury jako korespondent pisma niemieckiego.

Bywało też, że Niemcy, zachowując pozory, usuwali polskość tego kraju w sposób chytrze uprzejmy.

Ówczesny konsul polski w Olsztynie opowiadał mi następujący fakt:

Pewnego dnia konsulat polski otrzymuje od landrata grzeczne pismo, w którym ten donosi, że znajdująca się na rynku w Olsztynie figura Matki Boskiej będzie przeniesiona na inne miejsce, ponieważ dotychczasowe jest nieodpowiednie i obraża uczucie katolickie ludności. Na rynku tym odbywają się bowiem targi bydlęce.

Stosownie do zapowiedzi figura ta wraz z żelaznym ogrodzeniem znikła z rynku.

Stała tu od lat niepamiętnych i na frontonie nosiła skromny napis polski: Boże, zmiłuj się nad nami.

O ten napis chodziło oczywiście, a Matka Boska była tylko pretekstem.

Wiele kłopotu miały władze niemieckie z usuwaniem śladów polskości. Dowody bowiem tej polskości były nie tylko kamienne, ale i żywe.

*

* *

— Któregoś dnia, przy odpowiedniej chwili, — powiada do mnie Pieniężny — wybierzemy się autem w dalsze okolice. Porobimy wywiady ze starymi abonentami gazety.

Tam dopiero ujrzy pan ile tu jeszcze jest Polski. A pani Pieniężna, włączając się do rozmowy, zaprasza:

— Jutro jest wtorek, dzień targowy, niech pan pofatyguje się ze mną na rynek, ciekawe pan zobaczy dla siebie obrazki.

I ujrzałem te rezerwaty polskości, obrazki, jakby żywcem przeniesione z sąsiedniego Mazowsza, z naszych małomiasteczkowych rynków mławskich, ciechanowskich, czy podwarszawskich.

Okutane w chusty pękate babinki stoją w zaułkach z naręczami ziół leśnych i spętane w koszykach trzymają kokoszki.

Chmara chłopstwa przewala się na końskim targowisku, poklepując „dryganty" i „kiźlaki" (źrebaki).

A wszystko to prawi po naszemu, „scypiąc" po mazursku, klnąc i „jadując" po polsku.

Jeszcze w 1913 roku na moście, gdzie szemrze Łyna, i na Warszawskim Przedmieściu stały Boże Męki z polskimi inwokacjami.

Szybki rozwój miasta zepchnął polskość do przedmieść. Za to na wsiach Niemców nie było. Zasiedziały albo od wieków siedzący na roli Gielduba, Kieliba czy Wistuba zawsze uważany był za swojego, inni zaś to „poświetniki" i „czygany".

A tam, — pisze Stanisław Nowakowski w swych wspomnieniach,[4]) — gdzie dziś się wznosi nowoczesny gmach Ratusza (Rok 1913—14,—przyp. aut.) też była Boża Męka, na pagórku zaś cmentarz. Bożą Mękę usunęli, pochylone wiekiem nagrobki wykopali. Zanotowałem nazwiska umieszczone na nagrobkach. Innych, jak polskie, nie było: Rakowscy, Rafalscy, Wronka.

Tak, ani chybi, przed wiekami usuwali Niemcy bezceremonialnie groby łużyckie na miejscu, gdzie dziś wznoszą się ruiny Berlina.

Bo stolica Niemców to wielki podziemny słowiański grobowiec. Sama nazwa „berlin" w staropołabskim języku wszak cmentarz oznacza.

Tą samą metodą na naszych oczach Hakata i hitleryzm zacierali polskość Warmii i Mazur, ażeby przyszły dziejopis już się Polski na tej ziemi nie mógł doszukać.

Straszne tu krzyżactwo poczyniło spustoszenia, jeśli jeszcze dziś wobec świata musimy się wykazywać prawami do swej ojcowizny.

Wyzwolenie przyszło na pięć minut przed dwunastą.

Hitleryzm Mazurom wydzwaniał ostatnie już podzwonne.

Z potopu ocalały nieoszacowane, rezerwaty polskości, ostatni mohikanie.

Takim właśnie rezerwatem wydał mi się przed 10 laty obraz tego skupiska chłopów w dzień targowy na rynku olsztyńskim. Niemki, żony urzędników, porozumiewały się z babinkami mazurskimi na migi.

Bo te kobieciny modliły się po polsku do polskiego Boga. Inny język nie był im potrzebny.

Przecież siedzieli u siebie, w domu.

Siedzieli zwartymi, wkorzenionymi w ziemię gromadami.

IV

NA MOICH TROPACH...

Motto:

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Rozszerzonymi od ciekawości oczyma patrzyłem na tę ziemię polskich pamiątek, na te żywe obrazy i obrazki powszedniego dnia i na tych ludzi schodzących w martwe podziemia, aby ułożyć się warstwami pokoleń pod obcy siew obcej kultury.

Już paliła się gromnica u śmiertelnego łoża ostatniego Mazura.

Schodził do grobu obojętny dla swego niemieckiego wnuka, dla którego był tylko zabawnym „Grossvatrem".

Tak było przed laty dziesięciu.

Kto wówczas w lamencie tego posępnego Requiem dojrzał, że tak bliskie jest nadejście triumfalnego Alleluja?

Ja byłem wątpiący. Któż z nas był prorokiem? Nie wiem!

Mnie się wydawało, że jestem świadkiem agonii tego, co miało umrzeć w życiu i żyć tylko w smętkowej legendzie.

Bo tu nawet na polskie cmentarze nie było miejsca.

To też, przebywając na tej skazanej ziemi, w oczach obraz jej pragnąłem zatrzymać.

Starałem się być wszędzie, widzieć dużo i wchłonąć w siebie wszystko, wszystko!

Byłem stąd nieostrożny; zapomniałem o przestrodze, udzielonej przez pana Seweryna.

O mało więc nie wpadłem w kabałę.

Moje przechadzki po mieście, wycieczki w okolice, musiały niechybnie zwrócić uwagę miejscowego urzędu śledczego.

Pewnego bowiem razu spostrzegłem, że za mną krok w krok szwenda się jakieś podejrzane indywiduum.

Asysta zaczyna być denerwująca. Idę do fryzjera — typek za mną.

Gdy wstępuję do sklepu, czeka na ulicy. Odprowadza mnie i przyprowadza do hotelu.

Kombinuję — co tu z tym bubkiem zrobić, jak się go pozbyć?

Otóż pewnego wieczoru, leżąc już w łóżku i czytając przy świetle nocnej lampki, słyszę że ktoś się porusza za ścianą.

Rzecz w hotelu zwykła. Widocznie sąsiedni pokój hotelowy, dotychczas pusty, został przez kogoś zajęty.

Czytam dalej, nie zwracając na stuki i odgłosy uwagi. Dopiero rano, gdym wychodził, coś mnie tknęło.

Obejrzałem się. Agent. Ten sam bezczelny typ z ulicy jest moim sąsiadem. Ogromnie nieprzyjemna rzecz takie towarzystwo.

Wspomniany typ odprowadził mnie do samej redakcji.

Ale to wszystko głupstwo wobec tego, co się miało za chwilę wydarzyć.

Pisząc artykuł, przypomniało mi się, że zostawiłem na stoliku nocnym potrzebne mi notatki. W porze obiadowej pobiegłem do hotelu.

Otwieram drzwi. Podchodzę do stolika. Patrzę notatek moich ani śladu.

Co do licha? Przecież dokładnie pamiętam, że leżały na stoliku.

Zaglądam do walizki. Tam do diabła! Tu grzebała czyjaś łapa.

W pierwszej chwili zdrętwiałem. Złapałem się za boczną kieszeń.

Jakie szczęście, że te notatki mam przy sobie, żem je wczoraj wyjął z walizki. A były to zapiski wysoce kompromitujące, za które bym wisiał, jak Amen w modlitwie. Były to mianowicie informacje o sekretnych robotach fortyfikacyjnych, prowadzonych pod osłoną nocy w lasach w okolicy dzisiejszego Kętrzyna.

Ładnie bym wyglądał, gdyby to wpadło w łakome na takie rzeczy ręce gestapowców.

Wogóle nie byłbym już do oglądania, chyba tylko w stanie sproszkowanym, w krematorium.

Cały dzień czułem się nieswój, nerwowo rozśrubowany.

Mój Boże, jak spokojne były te przedwojenne czasy, w których człowiek byle czym się przejmował.

Dopiero niespokojne lata nieludzkiej okupacji nauczyły nas umiejętnej gospodarki nerwami.

Wróciłem do siebie wcześniej niż zazwyczaj. Było już dobrze pod wieczór.

Podchodzę do okna, patrzę. Znajomy typ rozmawia przed hotelem z kelnerem.

Cofam się. Po chwili słyszę skrzyp schodów i zgrzyt klucza w sąsiednich drzwiach. Zatajam dech w piersiach. Cisza.

Przykładam ucho do ściany. Kilka energicznych kroków, zgrzyt klucza w zamku. Typ wyszedł i już nie wrócił. Odetchnąłem z ulgą.

Podchodzę do stolika nocnego i oczom nie wierzę: moje notatki, wyciągi z roczników. „Gazety Olsztyńkie" leżą na swoim miejscu, tylko w zmienionej numeracji arkuszowej. Widząc, jak moja osoba jest pilnie obserwowana, wszystko, co mogłoby mnie obciążyć, poddaję niszczycielskiemu działaniu ognia.

A treścią tych najbardziej kompromitujących mnie informacyj obciążyłem swoją pamięć, wobec której, na całe szczęście, najprzemyślniejsze śledztwo jest bezsilne.

Zresztą, narażałem się na próżno. Nasz wywiad moją bezinteresowną ofertą nie raczył się zaciekawić.

— Nie są to rewelacje! — powiedziano mi. — Wszystko wiemy.

Czy nasz wywiad na trzy lata przed wojną był na poziomie nie mnie, laikowi, sądzić.

Stary ratusz olsztyński (w odbudowie)

V

JESZCZE POLSKA...

Motto:

„Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec"

Juliusz Słowacki

Wyjechałem z Pieniężnym w teren, ażeby przysłuchać się opowieściom ludzi związanych z ziemią tutejszą długim łańcuchem pokoleń i przenieść te ich wypowiedzi na łamy jubileuszowego numeru „Gazety Olsztyńskiej".

Zajeżdżamy po drodze do najbliższej wioski, przed szkołę polską. Jest już po lekcjach.

Domek parterowy z czerwonej cegły. Izba czysto wymieciona. Okna otwarte. Przewietrza się.

Na frontowej ścianie, nad katedrą, portret arcyzbója. Strzyżone wąsy. Kanclerz!

W rogu izby duża czarna tablica. Ot, jak szkoła. Jej kierownik w domu. Zwykła, powitalna wymiana uścisków dłoni.

Nauczyciel młody, pod trzydziestkę. Z oczu patrzy szczerość. Z głosu bije energia. Mówi twardym barytonem. Jest dobrym Pieniężnego znajomym. Rozmowa więc nie jest skrępowana powściągliwą ostrożnością.

Na Mazurach po polsku mówiło się z tłumikiem, zwłaszcza przy obcym.

O, bo tu się trzeba liczyć z każdym słowem. Tu ściany mają słuchawki.

— Bo widzi pan redaktor, my nauczyciele jesteśmy specjalnie śledzeni. Zbytnie słowo może zaszkodzić i nam i samej sprawie.

O nic tak nie jest łatwo, jak o biedę.

Więc niech redaktor nie notuje tylko ma w pamięci. Broń Boże, nazwisk!

— Ależ nie mam z sobą nawet ołówka — śmieję się.

— No to dobrze. Interesuje pana szkolnictwo? Pracujemy w warunkach strasznych.

Nie tylko, że jesteśmy źle opłacani w porównaniu z nauczycielami niemieckimi, którzy pobierają specjalne „zulagi" dodatki kresowe, ale co gorsza nie jesteśmy pewni nawet życia.

Trzeba bowiem panu wiedzieć o tym, że Prusy Wschodnie dla Niemców to kolonia; wysyłają tu za karę najgorsze szumowiny. Wartościowszy element muszą zachęcać specjalnymi premiami.

Młodzież niemiecka, przysyłana latem na kolonie, pisze często do domu rozpaczliwe listy, że to barbarzyński kraj, że chcą wracać do domu, do Reichu. Prusy Wschodnie nie są dla nich Vaterlandem.

Zna pan to powiedzenie: Gdzie się kończy kultura, tam napotkasz Mazura. (Da wo aufhört die Kultur fängt an zu leben der Masur).

Nawet wschodniopruski język niemiecki bywa przedmiotem drwin i szyderstw prawdziwych Niemców.

To też ta młodzież przyjezdna, do spółki z miejscowymi bandami Hitlerjugend, urozmaica sobie czas wa-

kacyjny wybijaniem szyb w oknach szkół polskich, napadaniem i biciem dzieci polskich, idących do szkoły.

W sąsiedniej wiosce jest ochronka polska. Kierowniczka jej, nasza dzielna koleżanka, znosi prawdziwe katusze. Poświęcenie jej jest bezgraniczne: codzień wstaje zrana, skoro świt i zimą czy latem chodzi od chaty do chaty i niczym troskliwa kokosz zabiera z sobą malców do ochronki. A chaty są od siebie rozrzucone po wsi daleko jedna od drugiej. Do tej ochronki chodzą dzieci i z innych wiosek. Ta dziewczyna codzień robi po kilka kilometrów.

— Rzeczywiście, nadzwyczajne poświęcenie, — zdobywam się na banalność, nie znajdując właściwego wyrazu na nazwanie tego cichego, szarego heroizmu.

— Gdyby nie poszła po te dzieci, — ciągnie dalej, — żadne z nich nie przyszłoby na lekcje. Wróciłyby do domu posiniaczone, pokaleczone.

Taka u bękartów pruskich zawziętość na wszystko, co polskie. W takim duchu ich wychowują.

Ale i myśmy się wzięli na sposób. Jeden z moich kolegów, doskonały sportowiec, zaczął naszych chłopaków zaprawiać w boksie. Rezultaty pyszne. Nasze chłopaki nabrały pewności siebie i na pięści reagują pięścią. Ta bojowa postawa chłopców wzbudza u prześladowców respekt.

Starsi uczniowie odprowadzają swe koleżanki do domów gromadą; to prawdziwi rycerze — dżentelmeni.

W najrozmaitszy sposób odstręcza się nasze dzieci od chodzenia do szkoły polskiej, pozbawionej wszelkich praw.

Ze świadectwem szkoły polskiej nie przyjmą nawet do terminu.

Jednym ze sposobów likwidowania naszej szkoły jest metoda wzbudzania zawiści w dzieciach.

Niemieckie dzieci w szkole są często obdarowywane cukierkami, biedniejsze otrzymują ubranka, obuwie. Na to przeznaczono wielkie środki.

Wobec takiej słodkiej propagandy, jesteśmy bezsilni.

Nie zawsze te chwyty im pomagają, ale dużo szkodzą. Demoralizują nam dziecko.

Według ustawy niemieckiej, z tytułu prawa wzajemności, szkoła polska we wsi tylko w tym wypadku może być otwarta, jeżeli do niej uczęszcza co najmniej 12 uczniów. W przeciwnym wypadku bywa likwidowana.

Mamy i takie szkoły, do których chodzi nie więcej uczniów ponad ustawą określoną ilość. Niech zabraknie tylko jednego dziecka, szkołę się zamyka.

Pojmie więc pan łatwo, że się tu prowadzi walkę o duszę każdego dziecka.

Może pan sobie wyobrazić jaki szalony nacisk wywiera się ze strony władz i instytucyj niemieckich na rodziców dziatwy szkolnej.

Na chodzenie do szkoły polskiej mogą sobie pozwolić tylko dzieci gospodarskie, których rodzice są względnie niezależni.

Nie do pomyślenia, by do nas chodziło dziecko rodzica, który pracuje w instytucji niemieckiej urzędowej, bądź prywatnej u Niemca.

W tak beznadziejnej, zdawałoby się, walce słabsze charaktery ulegają, ale mocne w polskości się hartują.

Przytoczę panu przykłady zdumiewającego poświęcenia. Ciche ono i skromne, a przecież wymowne i wzruszające.

W jednej z wiosek mieszka twarda polska rodzina. Liczna w drobiazg szkolny. Sześcioro dzieci. W szkole, do której chodzą, jest tylko 13 uczniów.

Rozumie pan, niech ojciec czy matka wycofają dzieci, już po szkole.

Uboga to rodzina. On jest gajowym w majątku u Niemca! Aresztują go pod zarzutem kłusownictwa.

Dwadzieścia coś lat ma nienagannej służby. I naraz kłusownik.

Obiecują jednak zwolnić żywiciela rodziny za cenę oddania dzieci do szkoły niemieckiej.

Hardy! Nie poszedł na taką transakcję. Nie zahandlował duszą swego dziecka. Zawzięty.

I matka twarda. Niech posiedzi, powiada! Niewinność, a sprawiedliwość zawsze wyjdą na wierzch.

A w chacie zła nędza szczerzy kły. Ale kobiecina nic. Zacięła się w niej polskość.

Tacy tu ludzie. Oczywiście nie brak i renegatów. Ale takie charaktery wynagradzają wszystkie straty. Na nich zasadza się polskość tej ziemi.

Albo inne zdarzenie. Gdy w jednej wsi szkoła zaczęła tracić liczbę dzieci na skutek specjalnej akcji władz, pewien nieżonaty gospodarz tej wioski poślubił wdowę z sześciorgiem dzieci, kładąc za warunek, że dzieci te pójdą do polskiej szkoły.

I w ten sposób dzielny ten Polak szkołę uratował.

Wątpię czy w jakimkolwiek innym kraju pod słońcem zdarzyła się osobliwsza intercyza przedślubna?

Jakaż w tym przykładzie bezprzykładna wielkość serca polskiego. Jakież wyrzeczenie się miłości osobistej na rzecz miłości społecznej.

Jakąż miarą słów ocenić ten postępek? Nie ma na to skali.

Słyszał pan o nauczycielu Lancu? Jerzy mu na imię. Dzielny, zapalony ideowiec. Pochodził z Zaolzia.

Gdy za sprawą Jana Baczewskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Szkolnego w Prusach Wsch., zakrzątnięto się około tego, ażeby na Mazurach wskrzesić polskie szkolnictwo, Lanc zgłosił się na ochotnika.

Nieustraszony, nieugięty. W Piasutnie pow. szczycieński powstała ta szkoła Lanca, za którą zapłacił swym młodym życiem.

Dnia 1 marca 1932 r. nad ranem znaleziono go w swym mieszkaniu nieżywego.

Tajemnicę jego śmierci wyjaśnia fakt, że władze pruskie nie dopuściły do obdukcji zwłok.

*

* *

Opuszczałem szkołę posilony na duchu. Mocno uścisnąłem dłoń tego Ślązaka.

Mój Pieniężny zamienia jeszcze z nim kilka słów na odchodnym, a ja już w płaszczu, pod wrażeniem tego com usłyszał, odwracam się i na tablicy odruchowo, jak pozdrowienie dla tej bohaterskiej dziatwy szkolnej kaligrafuję kredą: Jeszcze Polska...

Gdym rzucił okiem na portret Hitlera, urzędowo widniejący na frontowej ścianie izby szkolnej, zwidziało mi się na mgnienie oka, że ponury kanclerz, patrząc na to, drgnął.

Ale wtedy to mi się na pewno tylko tak przywidziało. Trzecia Rzesza stała u szczytu potęgi.

VI

OSTATNI MOHIKANIE

Motto:

Niech was wcale nie przestrasza
Że dziś podłość górą wszędzie
Z woli waszej wiara — wasza
Z wiary waszej czyn wasz będzie

Krasiński

Na dworze pachnie słodyczą przedwiośnia.

Pachnie tak na pruskim Mazowszu, jak i tam za miedzą, na polskim.

Jesteśmy w Barwinach u gospodarza Kuspiela. Ma lat 80 z hakiem i żona jego mało wiele młodsza.

Gospodarzą na roli sami. Dzieci ich już są dziadkami swoich wnuków.

Prawnuki, zwłaszcza zamieszkałe w miastach, nie znają starego. To już inny świat.

— Pamiętacie, ojciec „Olsztyńską" jak powstała za Liszewskiego? zapytuje Pieniężny, gdyśmy się rozgościli w chacie.

— Dobrze baczę, toć ja ją od tamtych lat durch a durch czytam. Była jeszcze przy rynku a potem na dole, przy starym kościele.

Człowiek, co czyta gazety nie jest ciemny, bo ona prowadzi do Polski, — mówi starzec.

Ta tęsknota do Polski przewija się we wszystkich rozmowach.

Gdy się Kuspiel dowiedział, że jestem z Polski, kazał mi ją pozdrowić.

...morituri te salutant — pomyślałem.

A ja z tej Polski nic im przywieźć nie mogłem, żadnej pociechy.

Była wtedy ponad narodem oficjalna przyjaźń polsko-niemiecka ,a słońce Hitlera tak już wzeszło i tak prażyło, że wysuszało wszystkie mazurskie nadzieje.

Na tej ziemi krzyżów dogasały resztki polskich złudzeń.

*

* *

W Szafałdzie stary Bar w polu mierzwę rozrzuca.

— Boże pomagaj! — witamy pracowitego gospodarza.

— Bóg zapłać.

Opowiedźcie, ojciec, jak to dawniej bywało?

— Baczę ja dobrze, (pamiętam) ludzie czytali „Olsztyńską" a dziś to się młodzi z takiego naśmiewają.

Nie żal byłoby, gdyby się z tego śmiał Niemiec, ale boli serce, że tak postępują rodacy.

Taki szurek (po mazursku coś w rodzaju pętak, łobuz chłopak — przyp. mój), którego dziadki pradziady rozmawiali jak im dziób urósł, waży się prześmiewać z mowy swoich ojców.

Staruszek czyta jeszcze Sybillę.

Na pożegnanie, trzymając dłużej moją rękę w swych spracowanych dłoniach, jakby chciał przekazać swe

Dom przy ul. Młyńskiej, zdemolowany na początku drugiej wojny przez Niemców. Tu się mieściło wydawnictwo „Gazety Olsztyńskiej".

uściski braciom z za kordonu ,rzecze ściszonym, a pełnym wtajemniczenia głosem:

— Powiadam wam, że wszystko co było w tych proroctwach sybiliańskich zapowiedziane, spełniło się i niejedno jeszcze się spełni...

Długo zastanawiałem się wtedy nad wagą słów tego starca.

Dziś dopiero, po latach, rozumiem, że te niedomówione słowa mówiły.

Może on jeden z pośród niewielu, ten syn krzywdzonej ziemi, o wypłowiałych od starości oczach, wpatrzony wniebowzięcie ku najdalszym kresom przeznaczenia, żył natchnioną wizją Polski, która miała przyjść po latach dziesięciu, gdy jego już może nie będzie.

Czy się Polska do pana Bara spóźniła, nie wiem.

I pan Malewski z Tomaszkowa zaprasza nas do gościnnej izby i powiada:

— Tylko nie ustawajcie w pracy, bo choć chmury gromadzą się nad naszymi głowami, to nie należy powątpiewać.

Siła można zrobić, gdy się człowiek uprze. Po siedmiu krowach chudych muszą nadejść krowy tłuste.

Było właśnie pod wieczór. Jakby ilustracja do tych biblijnych słów, krowy pana Malewskiego dorodne, spasłe, a mleczne wracały z pierwszego wiosennego pola.

Pan Malewski dobrym jest gospodarzem. I wogóle nasi chłopi uchodzili u Niemców za wzorowych rolników. Żaden Niemiec nie odważył się o ich gospodarstwie powiedzieć z przekąsem „Polnische Wirtschft".

Przeciwnie brali z nich przykład.

Znając arogancką zarozumiałość niemiecką, wydać się to może mało prawdopodobne i dziwne, a przecież tak było.

Wioski polskie wyróżniały się wyższością swej kultury od wiosek niemieckich.

Bywały zapadłe osiedla niemieckie, gdzie zegar u gospodarza wyglądał na dziwowisko.

U Mazurów i Warmiaków zwracała uwagę ich okazała krzepkość fizyczna.

Twarze dorodne, wąsy sumiaste, staroświeckie. Budowa ciała zwarta, ścisła.

Klimat musi tu być zdrowy, bo skąd by się tu wzięło tylu czerstwych starców.

Co za tajemnica tego, surowego zresztą, powietrza? Stuletni osobnik nie jest rzadkością.

Widziałem kobiecinę blisko setki życia, która sama nitką igłę nawlekała. Rozmawiałem ze starcami, którzy jeszcze dzielnie kosą zamachiwali.

Spotykałem dziadków, którzy na kolanach kołysali praprawnuków. Kilka pokoleń w jednej rodzinie. Niejednej staruszce uzębienia pozazdrościć by mogły artystki filmowe. Dziwny kraj.

Warmia i Mazury — ziemia długowiecznych ludzi. Czyż nie symboliczne? Ludzie tu żyli powoli, jakby na złość pośpiesznej hakatyzacji i hitleryzacji.

VII

U MICHAŁA KAJKI

O, ojczysta nasza mowo!
Coś kwitnęła nam przed laty —
Zakwitnijże nam na nowo,
Jako kwitną w lecie kwiaty.

Zalśnij nama jako zorze,
Przywróćże nam skarb nasz isty —
Aby w domu i we Zborze
Istniał język nasz ojczysty.

Michał Kajka
„Pieśni Mazurskie"

Ci ludzie, z którymi przeprowadzałem rozmowy, nie mieli Polski na ustach.

Dla nich Polska była starym krajem i tyle. Mieli ją pod sercem.

I w tej prostocie wypowiadania swych uczuć kryła się właśnie cała ich głębia.

Człowiek ziemi nie lubuje się w małomieszczańskiej teatralności gestów, czy słów.

I dziwna mnie uderzała jeszcze rzecz. Gdym golił się u fryzjera, który już łamaną ze mną porozumiewał się polszczyzną, wszystkich Polaków z innych dzielnic

nazywał Warszawiakami, czy byli z Krakowa, Poznania, Łodzi lub Bydgoszczy.

Stolica była im synonimem Polski, może dlatego tak, że tuż, tuż leży o miedzę.

Ci Mazurzy pruscy czuli prawie podskórnie związek z Polską przez warszawskie Mazowsze.

Pozostałość to być może niewygasłej tradycji, nie wyschłych jeszcze źródeł krwi. Pod Piszem (Jańsbork) jedno z jezior nosiło nazwę jezioro warszawskie.

I Michał Kajka, ten lirnik mazurski, gdy mówił o Warszawie, myślał o Polsce.

Odwiedziłem go w jego chacie. Chciałem, ażeby do numeru jubileuszowego „Olsztyńskiej" coś napisał.

Nie dał się uprosić lirnik mazurski.

— Nie potrafię już — wymija się, jak może.

Naciskam z całych sił. Wciąż nic i nic.

I wreszcie domyślam się o co chodzi.

Tragedią Michała Kajki było to, że już drugiemu jego pokoleniu mowa dziadka była obca. Wnuki mu się sprusaczały.

Kajka dożywał gorzkich dni wraz z żoną swą w odosobnieniu. Gospodarkę oddał córce i pomagał zięciowi w robotach ciesielsko-murarskich.

Nie pisał, ażeby nie sprowadzać „biedy" na swoich bliskich.

Żył w niedostatku. Nikt się o niego nie troszczył.

A przecież można było w jakiś dyskretny sposób ulżyć jego doli.

Na tę pomoc w pełni zarobił nieustępliwą swą polskością.

Kto wie, czy Kajka przyjąłby jałmużnę. Ambitny był. Dla niego trwanie przy mowie swych ojców i dziadów było musem wewnętrznym, było głosem ziemi.

Urodził się Kajka we wsi Skomacku pod Ełkiem 27 września 1858 r. W domu rodzicielskim nikt nie znał języka niemieckiego, a i on sam był ostatnim z tej generacji, która w szkole pobierała jeszcze naukę w języku polskim.

W jego stronach rodzinnych nie było człowieka, któryby władał niemieckim.

Potrzeba pisania nawiedziła go wcześnie, gdy jeszcze terminował u cieśli.

Bywało, że go obejmie natchnienie w czasie pracy, a wtedy rzuca wszystko i szybko notuje ołówkiem na heblowanych deskach i niesie je do domu, ażeby wieczorami w późną, niewyspaną noc, spracowaną dłonią heblować kanciastość i chropowatość owych wierszy, chropawych, jak te deski.

Wspomina o tym z widocznym rozczuleniem. Powiada, że koledzy zębowali z niego, ale on nic, robił swoje, bo żyć bez składania wierszy nie umiał.

Gdy inni chodzili na zabawy, oddawali się grze w karty i różnym pustym uciechom, on przesiadywał z książką i stamtąd czerpał wiedzę.

Kajka miał w swych wypłowiałych od starości oczach coś z mistyka. Jego filozofia życiowa wsparta była na powszechnej u ludu pobożności, a ciężkie przeżycia, jakie dotykają Polskę, to kara za grzechy.

W pewnym momencie zadumał się stary pieśniarz mazurski i powiedział, jak echo ewangelicznej prostoty, że „kielicha goryczy Polska jeszcze nie wypiła do dna".

Czy to była wizja tych okrutnych lat wojny, które miał poeta doczekać, nie doczekawszy jasnej godziny wolności?

O współczesnej polityce polskiej wyrażał się krytycznie.

— Z tego kochania warszawskiego z Berlinem nic dobrego nie wyjdzie, bo jak świat światem, — powiada — nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

— My tu, — ciągnie dalej — znosimy takie prześladowania, że wszystko, co dawniej zrobił Bismarck, to dziecinne igraszki. Hitler w rok więcej nam krzywdy wyrządził, aniżeli Hakata przez całe lata swego panowania.

Za wilhelmowskich czasów było ciężko, ale jeszcze Polak jakąś sprawiedliwość mógł znaleźć, gdy znał prawa. Teraz wszystkie drogi zamknięte.

— A jak myślicie, ojciec, długo się tu Polska utrzyma?

Kajka spojrzał siwymi oczyma na mnie z pełnym zgorszeniem, że takie małoduszne słowa polskie z polskich ust wyjść mogą i odparł z takim przekonananiem, które mnie dziś po dziesięciu latach zdumiewa, a które wtenczas brzmiały sztucznym proroctwem:

— Co też mówicie? Polska się tu jeszcze poszerzy. Zbrodnie niemieckie kiedyś muszą być pokarane, chyba Boga nie byłoby w niebie.

Sprawiedliwość na świecie jest, choć się zdaje, że jej nie ma.

Te słowa wówczas, w momencie największego nasilenia triumfu nazistowskiego, miały dźwięk prawie przesadnej egzaltacji patriotycznej.

Dziś widzę, ile w tych słowach było jeśli nie proroctwa, to trafnej oceny rzeczywistości, ile w tym było mądrego spojrzenia w przyszłość mądrej starości, która swą wiarę czerpała z wiernej ziemi.

Wierna tu ziemia i wierni ludzie.

— Polska tu powróci — zobaczycie! Może ja nie zobaczę, może wy nie zobaczycie, ale powróci — dodał twardo.

W izbie zrobiło się cicho.

Wreszcie Kajka przemówił pierwszy, podniósł się ze stołka, podszedł do komody, nachylił się, otworzył dolną szufladę i rzekł:

— Poczekajcie ino, coś wam pokażę.

I wysupłał z pliki starych gazet nabożnie prawie, niewyględną, małą książeczkę.

Były to jego „Pieśni Mazurskie", wydrukowane nakładem „Gazety Mazurskiej" w r. 1927.

Miał tylko jeden egzemplarz.

— Przeczytajcie ojciec coś z tego, jaki urywek.

Stary nie dał się prosić i powoli, przewróciwszy kilka kartek, zaczął:

„Nasze harfy, nasze lutnie
Na wierzbach rozwiesilim —
Pozwieszalim głowy smutnie,
W wór żałoby okrylim.
Bowiem co nas weseliło
Od nas gdzieś się oddaliło".

To, co się oddaliło, wróciło na Mazury. Oddalił się Kajka na wieki.

Nie uweselił swych oczu powracającą na Mazury Polską.

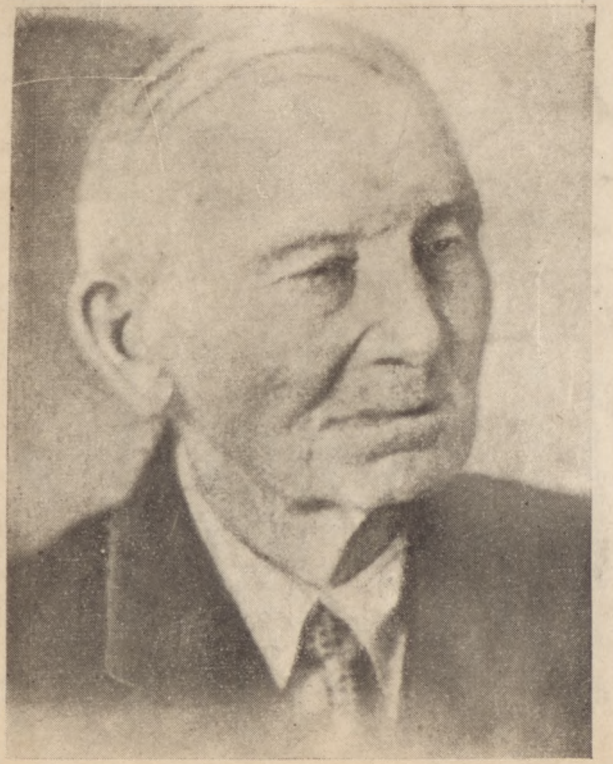

Michał Kajka, poeta mazurski

Kazimierz Jaroszyk redaktor „Mazura" i „Gazety Olsztyńskiej", wybitny działacz plebiscytowy

VIII

GRUNWALD – CZĘSTOCHOWA POLSKICH DZIEJÓW

Motto:

„Lecz przyjdzie pomsta tym, co Boże dzieło
„I jego prawa usiłują znieść, —
„Bo się to plemię pychą swą rozdęło
„I chce nad niebo swą potęgę wznieść.
„Więc niech powstanie nowy król Jagiełło,
„By pod Grunwaldem w proch Krzyżaków zgnieść.
(Andrzej Samulowski poeta warmiński)

*

„Padł na kolana król z swym rycerstwem,
„Błagając Pana, aby go męstwem
„Obdarzył w boju na wszelkie wrogi—
„Lub do pokoju skierował drogi.
(Michał Kajka, poeta mazurski)
(„Bitwa pod Grunwaldem)

Grunwald!

Czyż jest mu równe ciężarem gatunkowym historyczne słowó?

Grunwald — to Częstochowa polskich dziejów.

Wspomnienie o nim krzepi serce i podnosi ducha.

Tu powinna stanąć panorama grunwaldzka.

I pomnik tu trzeba by wznieść i wycieczki tu należałoby kierować.

Takie nasuwają się dziś pod pióro rozważania.

Gdym przed dziesięciu laty owo pobojowisko teutońskiej klęski oglądał, inna myśl uporczywie mnie prześladowała, myśl o tragicznej nierozwadze zwycięzców.

Mieć za sobą Grunwald i nie posiadać Prus Książęcych, tego przyczółka naszej niepodległości?

Co za krótkowzroczność, jeśli nie lekkomyślność? A może jedno i drugie.

A jaka przezorność po tamtej stronie, jakaż konsekwencja w zacieraniu wszelkich śladów polskości, nawet wspomnień o tym, co kiedyś świadczyło o triumfie słowiańskiego oręża na tej ziemi.

W sąsiedztwie Grunwaldu, ażeby zaćmić sławę zwycięstwa Jagiełłowego, wzniesiono w Tannenbergu wielkie, ciężkie mauzoleum Hindenburga, iżby upamiętnić pogrom carskiej armii Samsonowa czasu pierwszej wojny światowej.

Do tego miejsca z całych Niemiec ciągnęły pielgrzymki, wycieczki, wygodnymi autobusami po specjalnie wybudowanej autostradzie.

Z miejsca tego pobojowiska Niemcy potrafili uczynić narodową Mekkę. Tu żywili swoją pychę i butę.

A grunwaldzkie wzgórze, gdzie poległ wielki mistrz krzyżacki, otoczono dyskretnie półkolem wysokich świerków, zasłaniających wielki, zwykły kamień polny, na którym wyryto tylko prosty napis, przypominający, że tu zginął mistrz Zakonu Ulrich Jungingen w obronie „niemieckiej kultury".

Do tego zakątka germańskiej klęski mało kto z Niemców zaglądał, w żadnym wypadku młodzież z Hitlerjugend.

Tym pokazywano w Tannenbergu masyw postaci Hindenburga i dwa wielkie lwy teutońskie w kamieniu, zwrócone potężnymi łbami ku wschodniej granicy.

Napisy, umieszczone w mauzoleum, przypominały, że Poznań, Bydgoszcz, Toruń, Gdańsk, Grudziądz, to miasta urdeutsch i muszą wrócić do Reichu.

To była cała geografia nienawiści i w kamieniu ryty katechizm odwetu.

Odwetu za Psie Pole, za Płowce, za Budziszyn, za Grunwald i Traktat Wersalski.

*

* *

Wzruszenie zaparło mi dech, gdym stanął na miejscu glorii polskiej.

Tu legł w prochu u stóp Rzeczypospolitej bezczelny Zakon Krzyżacki.

I o dziejach tej Victorii po raz nie wiem który dowiaduję się, ale tym razem z żywego podręcznika.

Stoi obok mnie stary Mazur, tutejszy. Lat mu nie określę. Wygląda na sześćdziesiątkę, mógł mieć i pod dziewiąty krzyżyk.

Mało co pochylony ciężarem lat, trzymał się krzepko, czerstwo wyglądał, jak ten chleb pozawczorajszy.

Na twarzy śniady, przypieczony słońcem, ostrymi wiatrami mazurskimi osuszony, w bruzdach i zmarszczkach swego oblicza zachował historię swego życia.

Oczy starca widziały mnóstwo zdarzeń i ludzi, nie były to oczy, co się już życiu dziwują.

Wiedział już o mnie od Pieniężnego i po co tu przyjechałem.

Był to przewodnik z własnej ochoty. Nikt go tu nie opłacał, nikt nie angażował tego samozwańczego kustosza grunwaldzkiego muzeum, gdzie nie było eksponatów, oprócz nieba, głazów polnych, jezior i lasów.

Starzec ten ożywił mi dawność naszą sprzed stuleci i z księgi przyrody czytał jak z modlitewnika.

A pamięć miał godną zawiści.

Z jakim to ożywieniem opowiadał przebieg historycznych na tym miejscu wydarzeń, że powtórzyć nie potrafię.

Oczy jego jakby fosforyzowały natchnieniem, podnieconym jeszcze tą szczyptą tabaki, którą brał w palce i w przerwach pomiędzy jednym zdaniem a drugim wzmacniał żywość swej wymowy.

— Poczęstujcie się — podsuwał mi pod nos tabakierę, — dobra, gdańska. Cygaretki szkodzą, a tabaka nie szkodzi, — zachęcał.

Kichnąłem, — bo jakże odmówić, nie wypada, a Mazur się śmiał, że to ludzie miejskie takie słabe, że ich tabaka bierze i nimi kręci.

— Mnie nic, — chełpi się, — ja mógłbym całą tabakierę do nosa wsypać i nie kichnę.

I ciągnął dalej:

— Ot tam, widzita polanę. Tam dycht stojał Jagziełło, a po jego prawy stronie Wzitold, wielki książę.

A Niemcy sobie zębowali z Polaków i przynieśli dwa miecze i powziedają: wybzierzta sobie, któren sobie życzycie, żebyśta mieli czym wojować.

Tak się natrząsali, a Jagziełło nic tylko powieda: — Dobrze, dajta, to się przydadzą na wasze karki.

— A skąd to tak wszystko wiecie dokładnie? — pytam.

— Ja baczę (pamiętam), bo mi jeszcze nieboszczyk ojciec, Panie świeć nad jego duszą, opowziedał, a jemu opowziedał jego ojciec.

— A kto po was będzie opowiadał, macie synów, wnuków?

Bruzda na czole starca pogłębiła się zasępioną troską, niuchnął tabaki i rzekł z melancholią:

— Najmłodszy szurek (chłopak) już się ze mną po naszemu nie zmówi. On się modli: „Vater Unser, der Du bist im Himmel".

Po chwili jakby przepędzając smutne myśli odrywa się od wspomnień bieżących do tamtejszych, do tych innych:

— Tu — powiada — na tym miejscu, gdzie stoimy, stojał ołtarz.

Jagziełło modlił się przed potyczką, a za tamtym laskiem, z którego jeno skąpo drzewek się ostało Wzitold czekał w pogotowiu.

Drobiazgowość i dokładność szczegółów informacyjnych była tak uderzająco zgodna z historycznym opisem, żem starca jeszcze raz zagadnął:

— A możeście czytali książkę Sienkiewicza „Krzyżacy", on tak samo prawie pisze o tym, co wy tu opowiadacie.

Nie, nie czytał.

— Baczę ja — powiada — że jeszcze przed wojną światową był w naszych stronach jeden pan, dychł pewno tak się nazywał, jak mówicie, dał się oprowadzać, jak wy po tych stronach i wszystko zapisywał.

W samej rzeczy zgadza się, — powiadał mi potem Pieniężny, — że Sienkiewicz bawił przed wojną w tych stronach i zbierał materiały do „Krzyżaków".

— Ja „Krzyżaków" wydałem drukiem, czcionkami gotyckimi dla Mazurów, — mówi Pieniężny, — gdy wrócimy do domu dam wam egzemplarz, bo mam część nakładu schowaną w piwnicy.

Niewątpliwie książka ta jest dziś białym krukiem. Miałem ją do ostatniej chwili. Podzieliła los, jak cała moja biblioteka podręczna, jak większość polskiego drukowanego bogactwa spalonego na stosie.

W obronie takiej „kultury" zginął wielki mistrz krzyżacki, Ulrich von Jungingen.

Jeszcze nigdy kultura w dziejach ludzkości nie miała cyniczniejszych obrońców.

*

* *

Surowy krytyk w opisie powyższej sceny mógłby się dopatrzeć przesadnych akcentów melodramatycznego wybielania polskiej duszy Mazura. Obcy mi ten zamiar.

Mazurom sztucznie zaszczepiono nienawiść do Polski, o czym mowa będzie później, —niemniej tradycja wspólnoty historycznej i plemiennej łączy słowiańskie szczepy przez legendę, która, skoro chodzi o Grunwald, jest tu po dziś dzień żywa.

Przynajmniej była żywa przed laty dziesięciu, o których wspominam.

Spotyka się na Mazurach nazwy miejscowości, uroczyszcz, jezior, parowów wywodzących się od słowa Jagiełło, Jagiellonek, Jagiełłówek, nawet w nazwiskach pochodność ta występuje, że wspomnę tu działacza plebiscytowego, Jana Jagiełło-Jaegertala.

Jedna z legend, dość znanych na Mazurach, mówi o królu w koronie, co w przeddzień bitwy grunwaldzkiej ukazał się wśród chmur na niebie i o świętym pa-

tronie, unoszącym się nad polskimi hufcami i błogosławiącym rycerstwu.

Na miejscu klęski pod Grunwaldem według tej baśni, miało powstać cudowne jezioro, posiadające własności lecznicze.

Niechęć Mazurów do Krzyżaków znalazła wyraz w legendzie o jeziorze leleskim, gdzie to namiestnik wielkiego mistrza, żyjący w XVI wieku, za okrucieństwo i pastwienie się nad rybakami mazurskimi, srodze przez opatrzność był ukarany.

Dzień 15 lipca 1410 roku to nie tylko data historycznej glorii grunwaldzkiej, to żywy po dziś dzień pomnik głoszący potęgę zjednoczonego świata słowiańskiego.

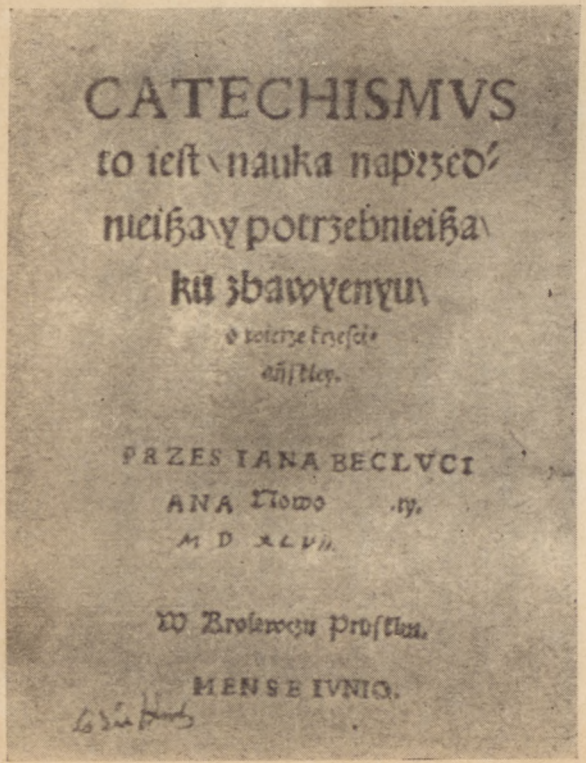

CATECHISMVS
to ieſt\ nauka naprzed-
nieiſza\ y potrzebnieiſza\
ku zbawyenyu\
o wierze krzeſci-
ańſkiey.

PRZES IANA BECLVCI
ANA Nowo ty.
M D XLVII.

W Krolewczu Pruſkim.

MENSE IVNIO.

PIEŚNI MAZURSKIE

Ułożył

Michał Kajka

z Ogródka, pow. łecki

1927.

Nakładem

Redakcji „Gazety Mazurskiej"

Drukarnia „Współczesna", Warszawa, Szpitalna 10.

IX

LATARNIK OLSZTYŃSKI

M o t t o:

Lecz wy, coście mnie znali
W podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał swoje lata
młode —
A gdy okręt płynął, siedziałem na
maszcie,
Gdy tonął, z okrętem poszedłem pod
wodę.
(Słowacki — „Testament")

*

Ty, coś walczył dla idei
Chwała Ci!
Boś wykrzesał z swej nadziei,
Nawskroś burzy i zawiei
Jasne dni.
(Maria Konopnicka)

Podczas mej bytności na Warmii i Mazurach redaktorem „Gazety Olsztyńskiej" był Wacław Jankowski, któremu w lutym 1936 r. prasowy sąd w Królewcu zabronił na dłuższy okres czasu uprawiania zawodu dziennikarskiego.

Jankowski do redakcji przychodził i mimo to, po kryjomu pisał.

Zuchwalec ten wcale się nie przejmował, że mógłby za to po raz drugi trafić do więzienia. Pierwszy raz bowiem w r. 1931 odbył 4 miesiące kary za jakąś krytykę władz urzędowych.

„Gazeta Olsztyńska" była pismem, w którym dziennikarską karierę robiło się nie tyle w redakcji, ile w więzieniu.

Jankowski śmiał się i powiadał, że gdyby miał tyle marek, ile razy „Olsztyńską" konfiskowano, mógłby sobie kupić drukarnię.

A teraz nieco o samej gazecie, bo jej historia, to historia walk o duszę polską Warmii i Mazur.

Powołał ją do życia Jan Liszewski, syn kowala wiejskiego z Dużego Klebarka, pod Olsztynem przy wydatnej pomocy Szczepańskiego [11]).

Po ukończeniu gimnazjum był nauczycielem w Płocku, później wrócił na Warmię i uczył w Bredynku i Raszęgu.

Niewygodny był pedagogom niemieckim, więc go stanowiska nauczycielskiego pozbawiono.

Liszewski tym się nie przejmuje. Uczy się zecerstwa, otrzymuje od komitetu „Orła Białego" drukarnię i z nią zjawia się w Olsztynie.

Data jej założenia, 1 kwietnia 1866, była datą przełomu w życiu ludu polskiego na Warmii.

Był to krok śmiały. Przed wydawcą i redaktorem piętrzyły się ogromne trudności, ale je pokonała niezmordowana energia i głęboki patriotyzm.

Liszewski pisał również wiersze, których wzniosła tendencja musi niekiedy usprawiedliwić słabość formy.

Do prostej duszy Warmiaka trafiały te bezpretensjonalne rymy i w tym ich wartość.

W tej poezji stosowanej nie chodziło tyle o budzenie pięknego ducha, ile o hartowanie duszy mazurskiej. W tym cała tej poezji wartość.

Gazeta spełniła swoje zadanie, zbudowała tamę przeciwko zapędom germanizatorskim, to też profesor Delbrück w piśmie „Kölnische und Schlesische Zeitung" zaniepokojony pisał:

„Narodowa świadomość wśród Polaków w Prusach Wschodnich czyni od roku 1886 coraz większe postępy. Lud trzyma się swej mowy i uczy czytać dzieci polskie gazety i polskie książki".

Potężna wówczas niemiecko-katolicka partia centrowa rzuciła się z całą furią na „Gazetę Olsztyńską", mimo, że przecież jej program był szczerze katolicki.

Broniąc się przed atakami, redaktor jej pisał:

„W wykonaniu swego programu gazeta nasza nie występowała nigdy złośliwie przeciw duchowieństwu, ale bronić musiała lud przed zakusami germanizatorskimi niektórych duchownych.

Krzewienie oświaty wśród ludu polskiego, obrona wiary, budzenie ducha narodowego ,to zasadnicze hasła naszej gazety, które za pomocą Boską urzeczywistnić chcemy".

Wiernym towarzyszem Liszewskiego w tej ciężkiej pracy był Seweryn Pieniężny (senior), który po jego śmierci przejmuje wydawnictwo na własność.

Pieniężny obdarzony był większym temperamentem bojowym od swego współtowarzysza, to też jak w swych wspomnieniach Stanisław Nowakowski pisze (Gazeta Olsztyńska 1 kwietnia 1936 r.), nie był skłonny do porozumienia z politykującym klerem, który należał bez wyjątku do niemieckiego stronnictwa centrowego.

Ugodowi księża z Centrum założyli pisma konkurencyjne w języku polskim: „Warmiaka" i „Nowiny Warmińskie", chcąc przeprowadzić przy wyborach swego kandydata, ale „Gazeta Olsztyńska" zwyciężyła i przeszedł na posła jej kandydat, ks. Wolszlegier, a konkurencyjne pisemka z braku czytelników uległy likwidacji.

O gruntowaniu się na tych ziemiach polskości świadczy to, że dr Dekowski, lekarz w Olsztynie, długoletni prezes niemieckiej partii centrowej, poczuł się nagle Polakiem i opuścił centrowców.

Gazeta Olsztyńska była na Warmii synonimem Polski. To była nieoficjalna Rzplitej ambasada.

W roku 1905 Pieniężny umiera.

Zdawałoby się, że nikt nie podźwignie ciężaru walki z napierającą coraz gwałtowniej falą germanizmu.

Podejmuje ten trud wdowa, Joanna Pieniężna, a gdy w roku 1928 sterana pracą schodzi z tego świata, skarbiąc sobie powszechną cześć i uznanie, na posterunku po ojcu i matce staje syn, również Seweryn i prowadzi dalej dzieło.

Czasy dla polskości były coraz trudniejsze.

I kto wie, czy pod naporem przeciwieństw z hitlerowskiej strony, a braku pomocy z naszej, nie załamałby się ten uparty zresztą w swym postanowieniu człowiek, gdyby nie małżonka jego, Wanda Pieniężna, która była mu wyręką i natchnieniem.

Nie mogąc tej polskiej barykady usunąć na przedpolu zamierzonego na Polskę ataku, (pozory przecież przyjaźni wobec paktu o nieagresji obowiązywały!) landrat wabił Pieniężnego pięknymi ofertami materialnymi.

Pieniężny od wszelkich tego rodzaju propozycyj odwracał się z pogardą.

Bo on świadom był, że jego placówka jest polską wyspą wśród germańskiego zalewiska.

I na tej wysepce czuwał w dniach najciemniejszego mroku, aż do końcowej godziny życia.

We wrześniu 1939 aresztują go wraz z synem i wraz z synem bestialsko jest zamordowany w obozie Hochenbruch dnia 24.11.1941 r.

Co przez ten czas przecierpiał Bogu tylko wiadomo.

Dom „Gazety Olsztyńskiej" zrównano z ziemią, jako „dom hańby".

Wanda Pieniężna aresztowana przebywa w obozie Ravensbrück.

Po rocznym tam pobycie, wraca do Olsztyna, poddana policyjnemu nadzorowi.

Od władz polskich, po wyzwoleniu Warmii otrzymała „Polonia Restituta".

Pieniężny dla „Olsztyńskiej" żył i za „Olsztyńską" zginął.

Mało komu ze społeczności dziennikarskiej sądzona była tak piękna śmierć, jaką miał Pieniężny.

Zaraz, pierwszego dnia wojny, pamiętnego września 1939 r., najtragiczniejszego ze wszystkich polskich miesięcy, gestapowcy zjawili się w drukarni „Gazety Olsztyńskiej".

Pan Seweryn w białym płaszczu z wierszownikiem w ręku, stał przy kaszcie.

Już nikogo ze składaczy nie było. Ratował się każdy jak mógł. Doradzono mu, aby również uciekał.

Pan Seweryn pozostał. Sam „Gazetę Olsztyńską" będzie wydawał.

Nie, — nie sam. Nie opuści go i jego małżonka, pani Wanda.

Piękne są tradycje niewieście w rodzinie Pieniężnych

Przyszli po niego. Tak, jak stał, z wierszownikiem, w tym białym płaszczu, z gołą głową, ale dumnie podniesioną, poszedł za swymi oprawcami.

Poszedł wraz z jedynym synem. I już nie wrócili, ani syn, ani ojciec.

Apostolską miał śmierć ten apostoł Rzeczypospolitej na wysuniętym na zachód przyczółku polskości.

Męczeńskie miał konanie ten olsztyński latarnik który do ostatniej chwili chciał Warmiakom i Mazurom oświetlać drogę do Polski.

Jeszcze z obozu pisał do żony, ażeby ratowała stare roczniki „Gazety Olsztyńskiej". Niestety. Niemcy już mieli to w łapie. Wszystko strawił ogień, podłożony ręką „kulturträgerów".

Ofiara Pieniężnego nie była daremna.

Na posterunku padł.

To była naprawdę żołnierska śmierć.

O takiej śmierci mówi się, że była piękna.

X.

KOŁYSKA POLSKIEJ CYWILIZACJI

Motto:

„Własność ta moja nie jest moja, ale będzie moja".
(Jan Kazimierz do delegacji Stanów Pruskich).

Nie podobna się wczuć w dawność historyczną krainy tysiąca jezior i tysięcy krzyżów, jeśli się nie zna dziejów rozwoju kultury polskiej tych ziem.

Dla wielu Polaków, dostatecznie nawet obeznanych z dziejami cywilizacji polskiej, niemałą będzie rewelacją, gdy się dowiedzą, że żadna z innych prowincji rozległego terytorium Rzeczypospolitej, które dziś roszczą sobie pretensje do odgrywania tytułowej roli w postępie kulturalnym kraju, nie ma za sobą tej tradycji, co właśnie ta zapomniana przez Rzeczpospolitą dzielnica,

Bowiem tu stała kołyska naszej cywilizacji i wzniosła się tak wysoko jak bodaj w żadnej innej połaci kraju.

Wyrazem przecież tej cywilizacji, owej kultury jest piśmiennictwo.

Co więc na ten temat mówi historia?

Albrecht Hohenzollern, książę pruski, wasal i siostrzeniec króla polskiego ,Zygmunta I, pierwszy senator Rzeczypospolitej, wprowadzając w Prusiech protestantyzm, patronował ruchowi umysłowemu.

Przybywają pisarze, kaznodzieje, którzy zajmują się przekładaniem na język polski Pisma Świętego.

Jan Małecki przełożył i wydrukował w własnej tłoczni pierwszy arkusz „Nowego Testamentu" w r. 1552.

W 1536 roku w Ełku powstaje pierwsza polska drukarnia na Mazurach.

Czcionki, jakimi te książki drukowano, są gotyckie; w wielu miejscowościach na Mazurach nazywają je „krakowskim szryftem", bo właściciel Małecki z Krakowa takie z sobą przywiózł. Były to bowiem początki okresu wynalazku druku przez Gutenberga.

Mazury już wtedy zaczęły obcować z najnowszymi prądami wiedzy i nauki.

Jak szybko pamięć ludzka przechodzi nad tym do porządku.

I Polska Jagiellońska, zapatrzywszy się oczami możnowładców na wschód, o Prusy Wschodnie nie stała.

Ziemię tę zostawiono własnemu losowi, a tyle przecież dowodów przywiązania składała ona Polsce i tak wyciągała ręce o pomoc w walce z Krzyżactwem.

Wołanie to było głosem na puszczy. Królewięta robili wschodnią politykę.

Osłabiony przez szlacheckie warchostwo szlachetny Jan Kazimierz, gdy przyjdą do niego wysłannicy Stanów Pruskich, ażeby ziemię ich wziął pod swą opiekę, ma dla nich tylko słodycz nadziei.

Jagiellonowie zadowalają się hołdem pruskim Hohenzollernów, a uwikłani w szwedzką politykę dynastyczną nie dostrzegają przewrotnej gry brandenburskich elektorów.

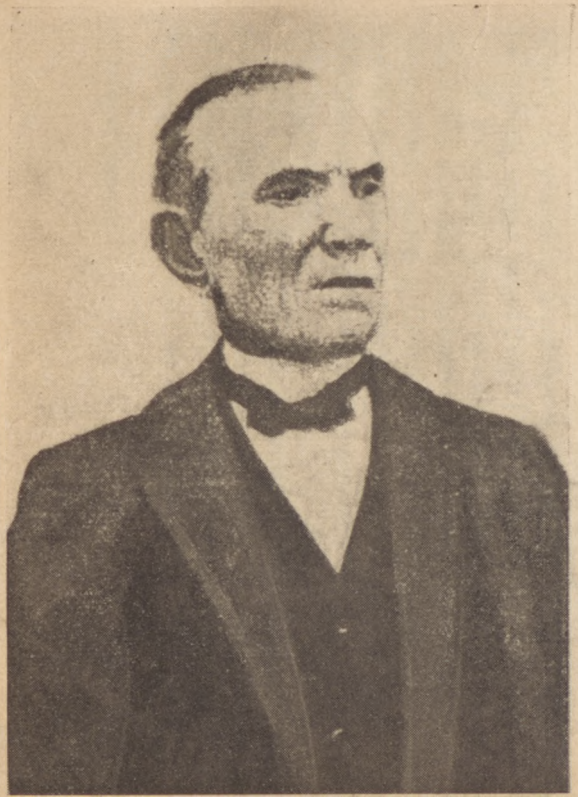

Andrzej Samulowski publicysta, społecznik, poeta warmiński, nieugięty szermierz o polskość Warmii i Mazur

Joanna Pieniężna (matka Seweryna) z domu Liszewska po śmierci męża nie pozwala upaść „Gazecie Olsztyńskiej" w czasie pierwszej wojny światowej

Mogąc jednym kopnięciem królewskiego buta obalić gliniany tron książęcy, włodarz Rzeczypospolitej wspaniałomyślnością swoją i łatwowiernością rozzuchwala pruskich bastardów, którzy już kreślą mapę rozbioru Polski.

Polskę pociągał Wschód, a Zachód przeniewierczy ją w tę przepaść popychał, maskując wierność i przywiązanie do polskiego pana w koronie.

* * *

Wyrzekaliśmy się ziemi, która była polskimi Atenami.

Począwszy od wieku XVI na Mazurach panował najwyższy ruch umysłowy.

Jest rzeczą zdumiewającą, że ani Wielkopolska, ani Małopolska, choć są kolebkami państwowości polskiej, nie zdobyły się na tak bujną twórczość literacką w języku narodowym, jak właśnie te ziemie zapomniane.

W roku 1560 Uniwersytetowi Albertyńskiemu w Prusach Książęcych Zygmunt August nadaje prawa Akademii Jagiellońskiej.

Uniwersytet Królewiecki, założony przy pomocy uczonych polskich Stanisława Rafajłowicza i Abrama Kulwiecia, ściąga młodzież z Prus Książęcych i z Korony.

W Królewcu prace swe drukuje Mikołaj Rej z Nagłowic, ścisły kontakt z ruchem umysłowym Prus Książęcych utrzymywał poeta z Czarnolasu, Jan Kochanowski i za przykładem pisarzy tamtejszych odsuwa się od łaciny. Niektóre jego pieśni do dziś dnia popularne są wśród ludności mazurskiej.

Choć w roku 1701 książę pruski, wzmocniwszy się przez połączenie Prus z Brandenburgią, uniezależni się od Rzeczypospolitej i ozdobi swe czoło koroną królewską, to jakby mimowoli na przekór temu, w tym przysz-

łym legowisku teutońskiego imperializmu, w kilka lat później, bo w roku 1718 wychodzi jedna z pierwszych gazet polskich pt. „Poczta Królewiecka".

Takim polskim blaskiem lśniła tu kultura na ziemi, którą Polska zaniedbywała.

Z czasem ten ruch umysłowy, nie podsycany z zewnątrz pocznie gasnąć, ażeby znów się rozpłomienić w wieku XVIII.

Nie długo to wszystko trwało.

Szczyty umysłowe, stanowiące trzon kultury polskiej, nie wytrzymały naporu obcej siły i w proch się rozpadły, albo się stały mierzwą dla kultury wroga. Pozostał chłop mazurski, który przejął dziedzictwo duchowe panów, i począł własną budować kulturę.

Powstania 1830 i 1863 znajdują na Mazurach nie tylko współczujące echo, ale i wkładem swej krwi Mazur służy Polsce.

Ludzie tej ziemi kochali Polskę przez cały ciąg jej historii prawie zawsze bez wzajemności.

Zachodnia polityka Rzeczypospolitej od Jagiellonów była najsłabszą stroną naszej dyplomacji.

Po dziś dzień jeszcze musimy odkrywać Mazury jak Amerykę.

Ani Tańska, ani Syrokomla, ani Chodźko, którzy na Zachód się wybrali, aby poznać tamtejszą Polskę, słówkiem o Mazurach nie wspomnieli.

Nawet ten tkliwy na piękno ziemi naszej i gorący jej pieśniarz Wincenty Pol zapomniał o tej krainie w swej „Pieśni o ziemi naszej".

Jakaż gorycz przebija się w wierszu, napisanym przez jednego z synów ziemi pomorskiej, Ignacego Łyskowskiego, który zapytuje Wincentego Pola w strofach pełnych wyrzutu:

„Piewco polski!, gdyś nam nucił,
Gdzie lud polski czeladź boża.
Czemuś okiem swym nie rzucił
Na szlak Wisły aż do morza,
Po Bałtyku modre wody?
Byłbyś widział na pół śpiące
Powalone polskie rody
Dziś do życia wracające..."

Na przekór wszystkiemu wracały do życia te rody, powstawały budzone prostą pieśnią gminną.

Tylko Mickiewicz nie zapomniał o Mazurach, bo utrzymywał kontakt z Mrongoniuszem, którego zaprosił na członka Towarzystwa Historycznego w Paryżu[13]).

Ta czeladź boża i Polski niezrażona trudnościami, gdy prawie nadzieja zemdlała, wbrew nadziei zakłada warsztaty słowa mazurskiego, które są i polskim słowem.

Czym się to dzieje? Przecież nagrody i zyski i różne „zulagi" czekały na nich po stronie „Heimatdienstu".

Służyli Polsce, bo taka była moc tej ziemi. Co większa, moc tej ziemi budziła, poruszała krew, zdawałoby się dla Polski zastygłą, jak w wypadku z Wojciechem Kętrzyńskim, który później będzie chlubą nauki polskiej. Kętrzyńskim, który później będzie chlubą nauki polskiej[14]).

*
* *

Ziemia Mazurska nie jest ubogą krewną pozostałych prowincji polskich.

Wchodzi do rodziny z wielkim posagiem duchowym.

Krzysztof Celestyn Mrongowiusz jest jednym z pierwszych badaczy gwar i wielkim miłośnikiem mowy polskiej.

Temu bojownikowi o polskość w Prusiech Adam Mickiewicz w roku 1852 takie w liście posyła uznanie:

„Sam wśród obcego języka, bez żadnych żywych zachętów, które obecność pracowników na wspólnej niwie wzajemności sobie udziela, mocą jedynie miłości powołania swego uzacniłeś, życie Twoje niezmordowaną, nieprzerwaną, owocną pracą około języka polskiego, który dochowujesz w całej jędrności i świeżości rodzimej jego istoty".

A inny znów apostoł polskości na Mazurach, Giżycki, również za młodu jak Kętrzyński zgermanizowany, pod wpływem uczucia ku swej przyszłej żonie, Annie, wielkiej miłośniczce mowy polskiej i poezji, zaczął się serdecznie zbliżać do ludu i zapoznawać się ze skarbami piśmiennictwa polskiego[14]).

Utrzymuje kontakty z Warszawą, przyjaźni się z Mrongowiuszem, wydaje pismo dla ludu mazurskiego, pt. „Przyjaciel Ludu" drukuje książki, śpiewnik, zakłada biblioteki.

Gdy umarł mając lat zaledwie 38 tak powszechnie był żałowany i opłakiwany ten obrońca i opiekun ludu mazurskiego, że tłumy oblegały i napełniały kościół, nie dając ruszyć przez cały tydzień drogich szczątków, modląc się i śpiewając pieśni polskie.

Któremuż władcy koronowanemu, któremuż z dyktatorów potężnych towarzyszyły u grobu tak powszechny żal i powszechna miłość szła za katafalkiem?

Taką cześć oddawano tylko apostołom i świętym.

Takim apostołem ludu mazurskiego był Gustaw Giżycki-Gizewiusz [16]).

Z Warmii pochodzi również znakomity prawnik Samuel Maciejowski oraz Feliks Nowowiejski, twórca Roty, kompozytor o światowej sławie [17]).

Na Warmii długi czas przebywał M. Kopernik [18]).

Katolicka Warmia szczyci się swoim wielkim biskupem — kardynałem Stanisławem Hozjuszem, który za-

łożył tu pierwsze seminarium duchowne na wschodzie europejskim pn. „Liceum Hozianum"[19]).

I biskup Krasicki obierze Warmię sobie jako ulubione miejsce pobytu i tu stworzy niejedną bajkę, czy satyrę.

W wieku XVI, XVII i późniejszych latach wszędzie na ziemi warmińsko-mazurskiej kipiało bujnie życie umysłowe i kulturalne.

Dzieje te są pełne chwały imienia polskiego. I to nie tylko pełne chwały za czasów, gdy setkami lat siedziały tu szlacheckie rody Borowskich, Szembeków, Potockich, Milewskich, Oleśnickich, Sierakowskich, ale także w okresie, gdy wraz z pochodem demokracji i lud innego stanu począł przychodzić do głosu, tworząc trwałe wartości duchowe.

*

* *

Tak wygląda ziemia, którą Niemcy nazywają „urdeutsch", której nam traktat wersalski nie chciał przyznać, zarządzając nieszczęsny plebiscyt.

Gdybyż w tym plebiscycie miały głos te wszystkie kościoły, pełne polskich pamiątek, te krzyże i świątki przydrożne i to całe polskie podziemie ułożone warstwami pokoleń, mogiła przy mogile, nie pomogły by Niemcom fałsz i terror.

Apetyt niemiecki na te terytoria jest sztuczny i stosunkowo świeżej jeszcze daty.

O Prusach Wschodnich królowie pruscy wyrażali się lekceważąco[20]).

Gdy caryca Katarzyna Wielka, Fryderykowi Wielkiemu w styczniu 1771 roku zakomunikowała, że „przeznaczyła Prusom Warmię", ten odpisał cynicznie, że to nie warto dla niego 6 fenigów!.

Na ponowną ofertę cesarzowej, doniósł Fryc swemu bratu, księciu Henrykowi, przebywającemu na dworze petersburskim, że o Warmię gra nie warta świeczki, ale posiadanie Pomorza Polskiego byłoby dobrym interesem, gdyż miałby ujście Wisły, i tym samym połączył by się z Prusami Wschodnimi. Dla Niemców Prusy Wschodnie były tylko bazą wypadową dla celów imperialistycznych, przyczółkiem strategicznym dla realizacji odwiecznej teutońskiej dewizy „Drang nach Osten", dla Polski częścią składową jej żywego organizmu narodowego i państwowego. Pomorze Wschodnie to maczuga zawisła groźbą nad całą słowiańszczyzną.

Nie o Gdańsk była ta wojna, nie o tak zwany przez Niemców „korytarz", — ta druga monstrualna rzeź światowa rozegrała się o Warmię i Mazury.

To trzeba dobrze sobie zakarbować w pamięci, osobliwie dziś gdy „własność ta nasza znowu jest nasza".

XI.

PRASA NA MAZURACH

Motto:
Niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty
kaganiec.

Juliusz Słowacki

Ludność Warmii składała się przeważnie z katolików, ludność mazurska — z ewangelików.

Ten dramat religijnego rozdarcia zaciążył w ogromnej mierze na całej działalności polonizacyjnej już przez to, że dwa różne religijne odłamy narodu polskiego patrzyły tu na siebie z niechęcią.

Ta niechęć nie ustąpiła i dzisiaj. Warmiak boczy się na Mazura i odwrotnie.

Ksiądz katolicki w roli apostoła polskości na Mazurach był równie nie do pomyślenia, jak pastor w tej samej roli na katolickiej Warmii.

Czynnikiem cementującym tę jedność działania była prasa, było drukowane i mówione słowo polskie.

Rola prasy była tu niejako nadrzędna, po prostu wyjątkowa i stąd jej olbrzymie znaczenie w procesie gruntowania się polskości na tych terenach.

Mazur, ewangelik, czytał katolicką „Gazetę Olsztyńską", jak katolik Warmiak bez wstrętu mógł wziąć do ręki którekolwiek z wydawnictw mazurskich.

Prawda, że na każdej z tych gazet odmienne wyciskało się piętno wyznaniowe jej kierownictwa, ale bądź co bądź czytelnik, biorąc gazetę do ręki, szukał w niej tego, co mu mówiło o świecie, o Polsce, co go unosiło w świat wiedzy i umysłowej rozrywki.

Duchowni obu wyznań (poza renegatami tak po jednej, jak i drugiej stronie) położyli wielkie zasługi w dziele utrwalenia polskości na tych ziemiach od starej Polski odpadłych.

Rezultaty okazały się większe po stronie Warmii. A złożyły się na to następujące objektywne warunki:

1) Polska utraciła Warmię ze swą stolicą Olsztynem dopiero przy pierwszym rozbiorze w 1772 roku, zatem dłuższe tu były polskie tradycje, aniżeli na ziemi mazurskiej, której niewola trwała przeszło lat 700;

2) Jedność religijna ludności warmińskiej z Polską katolicką stwarzała silniejsze węzły pokrewieństwa duchowego i uczuciowego, aniżeli religijna z tą Polską odrębność ludności mazurskiej;

3) Ruch publicystyczny i prasowy na Warmii w ostatnich dziesiątkach lat przed wojną był znacznie żywszy, aniżeli na Mazurach, gdzie próby zakładania gazet napotykały na wielkie trudności, tak że wydawnictwa musiały się likwidować, gdy „Gazeta Olsztyńska" przetrwała prawie do ostatnich dni drugiej wojny.

Ani jedno z wydawnictw prasowych, ukazujących się na Mazurach podobnie długim żywotem wykazać się nie może, co wydawnictwo Pieniężnych.

Dochodzi jeszcze czynnik czwarty, który polonizację Mazurów utrudniał i opóźniał, to systematyka w dziele germanizacyjnym.

Zaborca z całą furią rzucił się przede wszystkim na Mazurów i tu dzieło wynarodowiania osiągało znacznie silniejszy stopień napięcia.

Ale ten czwarty czynnik nie dowodzi, że nacisk germanizacyjny na Warmię był mały. Nacisk ten szedł obok drogi administracyjno-policyjnej również podstępnymi kanałami agitacji niemieckich księży katolickich z Partii Centrowej, wspomaganej przez niektórych zniemczonych księży polskich.

Tak więc polip agitacji niemieckiej z dwu stron ogarniał ludność polską Pomorza Wschodniego: Mazurów wabiono jednością narodową, z uwagi na wspólnotę wyznania, głosząc perfidnie, że przecież ewangelik nie może być Polakiem, bo każdy Polak jest katolikiem. Warmiaków zaś przyciągano zasadą powszechności katolickiej, która się mieści także w ramach narodowości niemieckiej.

A Katolicka Partia Centrowa była podówczas w Rzeszy jedną z najsilniejszych.

Mazurów od Polski odciągano również podsycaniem separatyzmu mazurskiego [5] i [7]).

Nauka niemiecka tworzyła z nich coś w rodzaju osławionego Gorallenvolku.

Motyw naszej propagandy w czasie plebiscytu, że katolik musi zostać przy Polsce katolickiej, — dobry na Warmii katolickiej, oddziaływał ujemnie na ludność mazurską, która bała się utracić swój ewangelicyzm pod przypuszczalnie polskimi rządami.

Teraz dopiero stanie się zrozumiałe, dlaczego prasa polska w Prusach Wschodnich była przez Niemców tępiona i tak znienawidzona.

Przez kościół tak ewangelicki jak i katolicki można było jeszcze znaleźć drogę do duszy Mazura czy Warmiaka, ale przez polskie słowo drukowane nigdy, gdyż wszelkie próby wydawania gadzinówek w języku polskim chybiały celu. Mazur tych pism po prostu nie brał do ręki.

Niemcy w prasie polskiej widzieli najniebezpieczniejszego wroga, agenturę polskości; w naszym rozumieniu odgrywała ona rolę nieoficjalnej ambasady interesów polskich, a każdy dziennikarz był tu niejako misjonarzem polskiej idei, dławionej, wdeptywanej, lub wyrywanej od przyciesi.

Nigdzie odpowiedzialność i zaszczytność pracy dziennikarskiej nie była tak widoczna, jak właśnie tu, na tej ziemi nieszczęsnej.

I nigdzie bodaj praca ta, jak dzieje dziennikarstwa pamiętają, nie była tak trudna, równie niebezpieczna i tak pochłaniająca całego człowieka.

I w żadnym zawodzie tak wszechstronna.

Dziennikarz tu był i zecerem w razie potrzeby, i kolporterem swego pisma, i świeckim kaznodzieją i prelegentem i doradcą prawnym i księgarzem.

Słowem był on pionierem, wyrąbującym w dżungli germańskiej drogi i ścieżki do Polski, która szła, bez nadziei kiedy i czy wogóle przyjdzie.

Uparty i zaciekły był to wysiłek tej awangardy piszącej nieraz naiwnie, nieporadnie, ale szczerze, ale z entuzjazmem.

*

* *

W roku 1842 Mazury mają swe czasopismo polskie w Ełku pn. „Przyjaciel Ludu Łecki", który o 6 lat wyprzedził chełmińską „Szkołę Narodową" na Pomorzu.

Redagował go profesor Menzel, będąc zarazem właścicielem drukarni; współzałożycielem i współredaktorem był pastor Gizewiusz, który bronił praw języka polskiego w szkole i w urzędzie, wydawał broszurki, popularne dla ludu.

Ukazały się ogółem 24 numery tego pisma; 12 w roku 1842 i 1843, a reszta datowana z roku 1844 — 1845.

W jednym z numerów „Przyjaciela" wydrukowano: „Dwie piosenki nabożne, polskim ludziom w Prusiech mieszkającym, a upośledzonym i zgoła niezrozumiałym od naszych współobywateli niemieckich".

W jednej z nich jest następująca zwrotka:

„Użal się nas miłosierny Boże!
Albowiem już cierpieć może
„Nasze człowieczeństwo pośmiewisk i wzgardy.
„Które na nas miota lud swem szczęściem hardy".

W gazecie tej pomieszczono także artykuły i prace z zakresu gospodarstwa wiejskiego, prac na roli, ogrodnictwa, hodowli bydła itd.

Przedrukowano utwory Reja, Kochanowskiego, Krasickiego, Karpińskiego, Naruszewicza, Wojciecha Bogusławskiego, Antoniego Czajkowskiego.

Wokół tego pisma skupiał się cały zastęp mazurskich pastorów i nauczycieli ludowych.

Oprócz Gizewiusza[16]), zasilał pismo słynny patriota mazurski Mrongowiusz[15]), dalej pastorowie: Giersz, Kraska, Balicki, Skubich, Olech, Szczęsny, Skrodzki oraz nauczyciele: J. Marczówka, Malec, Pawłowski, Kozłowski.

Po śmierci Gizewiusza miejsce jego zajął drukarz, księgarz, dziennikarz i pisarz ludowy, Antoni Gąsiorowski, wydawca „Kurka Mazurskiego", „Gospodarza Wiejskiego" i kalendarzy ludowych.

Kres temu zasłużonemu wydawnictwu położyła straszna klęska głodowa, która w roku 1845 nawiedziła Pruskie Mazowsze.

Wydawcy zdecydowali wszystkie środki pieniężne, przeznaczone na wydawanie gazety, oddać na akcję pomocy głodującym.

Antagonista Gizewiusza, działacz mazurski Marcin Giersz współpracujący z nim w „Przyjacielu Ludu Łeckim" przeszło 50 lat walczy piórem i słowem dla dobra swych rodaków, które jednak widział w separatyzmie mazurskim. Wydawał pismo tygodniowe drukowane frakturą pt. „Gazeta Łecka"[21]).

Pisał wiersze, broszurki w języku polskim.

Niestety, izolował się od kultury polskiej w przeciwieństwie do Gizewiusza, który nawiązywał kontakty z literatami slawistami w Warszawie, Poznaniu i Pradze.

*

* *

Jedną z najwybitniejszych postaci w drugiej połowie XIX stulecia na terenie mazurskim jest Jan Karol Sembrzycki, z zawodu aptekarz, z zamiłowania bibliofil, publicysta, literat, redaktor „Mazura Wschodnio-Pruskiego".

Pisał głównie po polsku i to nie tylko dla ludu, gdyż ogłaszał poważne rozprawy naukowe i prace literackie w periodykach warszawskich[22]).

Pozostawił w bogatej puściźnie podręcznik literatury mazurskiej, której prekursorem w XIX wieku był pastor Olech z Królewca, autor bardzo popularnej swego czasu powieści pt. „Sebastian Mądry".

Z początkiem 1896 roku zaczął wydawać „Gazetę Ludową" w Ełku Karol Barke. Pismo to drukowane było frakturą w czystym języku polskim. Ukazało się ono 1 stycznia 1896 roku.

„Gazeta" założoną została przy pomocy finansowej adwokata z Warszawy, Antoniego Osuchowskiego, żarliwego społecznika i przyjaciela Mazurów, oraz ks. Juliusza Burschego, późniejszego biskupa ewangelickiego, zamęczonego za sprawę mazurską w Oranienburgu, ks. Wolszlegera, Karola Rzepeckiego z Poznania i Edwarda Milskiego z Gdańska.

Procesami, represjami utrudniano ukazywanie się pisma. Karola Barkego skazano na pół roku więzienia, które odsiedział w Ełku. Wytoczono mu jeszcze pięć dalszych procesów.

Pod koniec 1898 roku musiał z Prus uchodzić. Redakcję po nim objął brat jego Hugo Barke, zecer, lecz i jego spotkał podobny los

Skazano go na 18 miesięcy więzienia. Po odsiedzeniu kary zmuszono go do przeniesienia wydawnictwa „Gazety Ludowej" z Ełku do Szczytna, w końcu zaś do likwidacji pisma, co nastąpiło w roku 1901.

Do bliskich współpracowników „Gazety Ludowej" należał Bogumił Labusch, jedna z najciekawszych postaci tamtych czasów.

Z krwi pół polskiej, pół francuskiej, gdyż pradziad jego Labousche, uchodząc w końcu XVII wieku z Francji, zjawił się na ziemi Mazurskiej i tu się spolszczył.

Jest rzeczą zastanawiającą, że Polska w okresie utraty swego niepodległego bytu państwowego, po rozbiorach, umęczona niewolą i zmaltretowana, posiadała w sobie tyle jeszcze blasku, tyle siły atrakcyjnej, że cudzoziemcy, którzy w niej zamieszkiwali, bardzo szybko się polszczyli.

Labouscha z Polską, a tymbardziej Mazurami nic nie łączyło. Osiadł na Mazurach, ożenił się z Polką i przylgnął do Polski całym sercem, a potomek jego Bogumił

już staje się jednym z budzicieli narodowego ruchu na Mazurach.

Przecież ten protoplasta mazurskich Labuszów mógłby, osiadłszy na Mazurach, naturalizować się jako Niemiec. Płynęłyby stąd dla niego większe korzyści pod każdym względem ,aniżeli związać się ze szczepem, który skazany był na zagładę.

Labousch został Mazurem.

Jest to dowód, jeszcze jeden więcej i dowód nieodparty, jak mocny i zwarty był na Mazurach element polski, że potrafił wchłaniać inne elementy narodowościowe.

Rodzinę Labuschów na Mazurach powszechnie ceniono i szanowano.

We wsi Rumy (Hozambark) w roku 1860 urodził się Bogumił Labusz. Od najmłodszych lat wzrastał w atmosferze wielkiej miłości ku ziemi mazurskiej, ku mowie polskiej. Nawet kilkuletnia służba w wojsku pruskim nie zdołała Labuszowi wpoić zasad mowy niemieckiej. Do końca życia słabo władał mową swych wrogów.

Labusz należał do sztandarowych bojowników o polskość Mazur. Był założycielem i współpracownikiem ,Gazety Ludowej", w której współpracował także Michał Kajka. W roku 1896 zakłada Mazurską Partię Ludową, w rok po tym spółdzielczy Bank Mazurski, ażeby wspierać materialnie rodaków. Jest poza tym duszą „Kółka Rolniczego", Towarzystwa Oświatowego.

Ci, co go znali za życia twierdzą, że w rozmowach swych stale i niezachwianie wyrażał wiarę w wyswobodzenie Mazurów spod jarzma pruskiego.

Sam jednak nie doczekał tej godziny, umarł bowiem wkrótce po zakończeniu pierwszej wojny światowej w chwili, gdy zaczyna z całą energią i zapałem przygotowywać się do pracy plebiscytowej.

Śmierć jego była wielką klęską dla sprawy polskiej, gdyż Mazurzy mieli do niego wielkie zaufanie, a jego autorytet mógłby poważnie zaciążyć na wynikach głosowania.

Śmierci jego towarzył powszechny żal na Mazurach.

Bogumił Labusz nie tylko słowem, ale i czynem dokumentował swą wiarę w Zmartwychwstanie Polski.

Odwagę i charakter tej niezłomnej i wzniosłej postaci mazurskiej najlepiej uwydatnia następujące zdarzenie:

Pewnego dnia, a było to już pod koniec pierwszej wojny światowej, ten zacięty Mazur umieszcza na szczycie swego domostwa wielkich rozmiarów emblemat Orła Białego widoczny na całą wioskę.

Zjawiają się żandarmi i Labuszowi każą go usunąć. Nie chce! Wtenczas żandarm sam wchodzi na drabinę i chce Orła zrzucić. Labusz wspina się za żandarmem po drabinie i nie daje.

Nie dał.

Na drugi dzień przychodzi już trzech żandarmów. Labusz jest bezsilny. Ale skoro tylko żandarmi się oddalili, uparty Mazur stawia na swoim i znów umieszcza na tym samym miejscu symbol Polski.

Powtarza się to kilkakrotnie.

Wieść o tym upartym Mazurze dociera nawet do generała Mackensena, stacjonującego ze swoim sztabem w pobliżu tej wioski.

Generał zjawia się osobiście, ażeby zobaczyć tego zażartego Mazura i Polaka, który śmie rzucać wyzwanie potędze niemieckiej.

Rzecz jasna, że wreszcie Bogumił Labusz musi kapitulować i odpokutować. Więziony, stanął przed sądem wojennym, który w końcu Labusza uniewinnił. Widocz-

nie ówczesnym Niemcom zaimponowała bohaterska postawa Mazura, czy też nie chciano sobie Mazurów zrażać skazywaniem na śmierć ich umiłowanego przywódcy.

Bogumił Labusz w dziejach ziemi Mazurskiej zajmuje jedno z czołowych miejsc, niestety tak mało o nim wie pozostała Polska.

W uczczeniu jego zasług, rodzinną wieś Labusza, z chwilą gdy Polska przyszła na Mazury, nazwano Labuszewo.

Na taką dygresję w rozdziale „Prasa" Labusz w pełni zasłużył.

*

* *

Berlin zdaje sobie sprawę, że z Mazurami rzecz niełatwa. Zabiera się do kontragitacji drogą zakładania gazet dla Mazurów w języku polskim.

Tak powstaje „Przyjaciel Ludu", „Prawdziwy Ewangelik Polski", „Hasło dnia", „Gazeta Łecka".

Jakby w odpowiedzi na to wyzwanie zaczyna wychodzić w roku 1902 „Goniec Mazurski" drukowany w Ostródzie.

Gnębiona i trapiona przez niemiecką administrację, gazeta kończy swój żywot w roku 1908.

Ale w tym też roku powstaje w Szczytnie nowa placówka „Mazur" za sprawą wypróbowanego przyjaciela i jakby patrona świeckiego ziemi mazurskiej, mecenasa Osuchowskiego i kilku miejscowych działaczy.

„Mazur" wychodził nieprzerwanie do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Wznowiono go po wojnie, ale po przegranym plebiscycie wydawnictwo znowu uległo zawieszeniu.

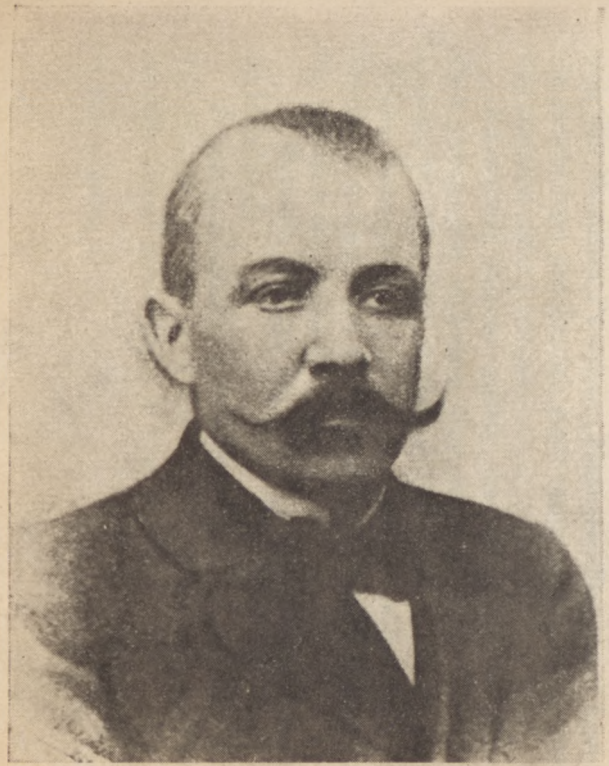

Seweryn Pieniężny (senior) wydawca i redaktor „Gazety Olsztyńskiej", niestrudzony szermierz sprawy na Warmii i Mazurach

Jan Liszewski z Dużego Klebarka pisarz i działacz, wespół z Pieniężnym (seniorem) kładzie podwaliny pod „Gazetę Olsztyńską"

Redaktorem „Mazura" zostaje Jaroszyk z Poznania, redaktor „Gońca Wielkopolskiego" [6]) i [23]).

Ciężkie miał życie Jaroszyk na tym niebezpiecznym posterunku zwalczany przez „Pruskiego Przyjaciela Ludu", wydawanego po polsku w duchu proniemieckim i przez całą prasę niemiecką.

Wytoczono mu kilkanaście procesów, ale on trwał na pozycji nieustępliwie, dopóki mógł

Max Worgitzki, stojący na czele propagandy antypolskiej w Prusiech Wschodnich, w swej książce o plebiscycie przyznał, że „Jaroszyk był nie tylko prawdziwym Polakiem, ale także idealistą"

„Mazur" w czasie wojny nie wychodzi z braku redaktora.

Po ustaniu wojny Jaroszyk obejmuje wznowionego „Mazura", ale zaciekle zwalczany, prześladowany, więziony, musi wreszcie teren mazurski opuścić

Przechodzi na stanowisko redaktora „Gazety Olsztyńskiej"

W roku 1923 pojawia się nowa próba założenia pisma dla Mazurów.Powstaje „Mazurski Przyjaciel Ludu", ale żywot jego jest krótki, gdyż opanowały go siły sprawie polskiej obce i wrogie.

Zaznaczyć jeszcze należy, że religijne gromadkarstwo mazurskie wyłoniło trzy pisma: „Posła Pokoju", którego w roku 1905 wydawał Liczewski w Działdowie, „Trąba Ewangelijna" (1912 r.), „Głos Ewangelisty", wychodzący w Szczytnie do ostatnich dni przed drugą wojną, redagowany przez Barcza.

W Berlinie ukazuje się pismo „Cech", kolportowany na Mazurach.

Z tego pobieżnego przeglądu widać, jak żywym nurtem płynęło polskie życie mazurskie, jak się rozpaczliwie broniło przed zalewającą je falą potopu.

A na Warmii trwa „Gazeta Olsztyńska", największy organ polski i codzienny w Prusach Wschodnich.

Historia tego wydawnictwa jest prawie historią polskości Pomorza Wschodniego na przestrzeni lat ostatnich i historią zarazem tragicznego plebiscytu.

Myśmy, czytając literaturę przedwojenną o Mazurach, o Pomorzu Zachodnim, ilościowo zresztą ubogą, mniemali, że to już ziemia Smętkowego tryumfu, gruzy uczuć narodowych, ginący rezerwat polskości, a tu teraz widzi się naocznie, że Polska nie zeszła do podziemia cmentarzy, że żyje człowiek z żywą mową, tradycją, wierzeniami, bogatą i swojską kulturą, z bujnym dorobkiem cywilizacyjnym.

Jest z czego na tych gruzach rozżarzyć polskość tej ziemi.

XII

BIADA ZWYCIĘŻONYM

Motto:

Lecz przyjdzie pomsta tym, co Boże
dzieło —
I jego prawa usiłują znieść,
Bo się to plemię pychą swą rozdęło
I chce pod niebo swą potęgę wznieść.

Andrzej Samulowski
(Warmia)

Wbrew prawdzie polskiej o ziemi Mazurskiego Pomorza, naprzekór faktom, obrażając abecadłowe zasady sprawiedliwości, wysoki Sanhedryn pokojowy w Paryżu, z geniuszem przewrotności Lloyd Georgem na czele, zarządził w dniu 11 lipca 1920 roku plebiscyt na terenie, którego polskości nie kwestionowały uczciwe, niestety tak rzadkie, głosy naukowców niemieckich.

Jeszcze król pruski patentem z dnia 15 maja 1815 r. uznał prawa języka polskiego w życiu publicznym. Na zasadzie tego patentu, aż do czasów wojny prusko-francuskiej, w szkołach używano tu książek i podręczników polskich.

Ten stan trwał do roku 1872.

Znamienną jest rzeczą, że gdy Mrongowiusz, polski ksiądz ewangelicki, syn ludu mazurskiego, skarżył się do króla pruskiego na rugowanie mowy polskiej w ostródzkim powiecie, radca szkolny Spohn w Olsztynie polecił wydać polski podręcznik o metodyce.

Nawet jeszcze po roku 1872 wolno było nauczać w języku polskim. Dzieci otrzymywały elementarze i czytanki dublowane: na lewej stronie z tekstem polskim, na prawej z tekstem niemieckim.

Całkowita zmiana na gorsze nastąpiła w latach późniejszych, a szczególnie po roku 1886, gdy za likwidację języka polskiego Bismarck zaczął płacić nauczycielom niemieckim tzw. „Ostmarkenzulagen".

Surowo wtedy zakazywano dzieciom rozmawiać po polsku w obrębie szkoły.

Za „przestępstwo" takie karano dziecko w sposób wyrafinowany: otrzymywało ono tabliczkę z pogardliwym napisem „Pollack", albo „Ich darf in der Schule nicht polnisch sprechen".

Napiętnowany uczeń dostawał się na oślą ławkę. Zmaltretowanemu i wystraszonemu dziecku nauczyciel doradzał, ażeby pilnował kolegów. Gdy doniesie, że który z nich rozmawia po polsku ,wtedy wskazany przejmuje ową tabliczkę od donosiciela.

W sobotę była „wypłata" (Auszahlung) to znaczy, dziecko, które w tym dniu posiadało „Pollacka" otrzymywało chłostę.

Tak trwało aż do roku 1900, szczególnie w jednoklasówkach.

Komuż w szkole tej przeszkadzał język polski, w szkole o przytłaczającej przewadze dzieci polskich?

Że była to ponad wszelką wątpliwość większość, świadkiem są urzędowe cyfry z roku 1911.

Oto niektóre dane:

Miejscowość	ogólna ilość dzieci	pol.	niem.
Brendynki, pow. reszelski	209	196	13
Stanislewo	231	197	34
Kramarowo, pow. olsztyński	60	57	3
Kieźleny, pow. olsztyński	68	67	1
Giławy pow. olsztyński	111	105	6
Nerwig, pow. olsztyński	53	52	1
Chabrowo, pow. olsztyński	63	62	1
Pluski, pow. olsztyński	158	149	9
Skajboty, pow. olsztyński	151	140	11
Naglady, pow. olsztyński	56	46	—
Orzechowo, pow. olsztyński	46	56	—
Pęglity, pow. olsztyński	38	38	—

Na Mazurach statystyka z tego samego roku jeszcze bardziej przemawiała na naszą korzyść, wykazując znacznie mniejszą ilość dzieci niemieckich, które rekrutowały się prawie wyłącznie spośród rodzin nauczycielskich i urzędniczych.

Ale statystyka nie przekona złej woli, a taką ona była wśród tych, którzy po pierwszej wojnie światowej układali granicę polsko-niemiecką.

Czyż trzeba więcej dowodów, jak ten, że wybitny bojownik o polskość Warmii ks. Walenty Barczewski był wybrany z listy polskiej do sejmu prowincjonalnego w Królewcu w latach 1921 i 1924 i przewodniczył z tytułu starszeństwa[24]).

Nawet po tym nieszczęsnym plebiscycie lud polski przeprowadza do sejmu pruskiego w Berlinie dwóch posłów: Jana Barczewskiego z Gryźlin i Sierakowskiego z ziemi malborskiej.

I na takim terenie nakazano referendum.

Tragiczne to były dni owego plebiscytu.

Upita tryumfem niemczyzna wśród krzyków obelżywych skatowała Bogumiła Linkę, wielkiego patriotę spod mazurskiej strzechy, który ośmielił się stanąć w Wersalu przed obliczem Wilsona i Lloyd George'a, jako poseł mazurskiej krzywdy i dopominać się sprawiedliwości.

Zmarł od ran w szpitalu, z ukochanym kancjonałem Wasiańskiego przy piersi.

Na drugi dzień mogiłę jego zbeszczeszczono, wieńce i kwiaty od rodaków stratowano.

Nawet po śmierci nie miał spokoju. Dwóch jego synów za rzekome kłusownictwo zasądzono każdego na 10 lat więzienia.

Tak mściła się bestia pruska na Mazurach.

Tragiczna śmierć tego chłopa mazurskiego Europy nie wzruszyła.

*

* *

A wraz, obok Bogumiła Linki, do Wersalu jedzie postać jedna ze szlachetniejszych, jakie zna historia Polski lat ostatnich.

To Juliusz Bursche, superintendent generalny kościoła ewengelickiego w Polsce[25]).

Nie jest on z pochodzenia Mazurem, lecz Mazurów stał się patronem, przyjacielem i apostołem ich idei.

Spieszy im radą i pomocą. Po nieudałym plebiscycie nie przestaje troszczyć się o tę ziemię, trzymając rękę na pulsie jej życia.

Ciężar akcji propagandowej podczas plebiscytu spoczywał na „Gazecie Olsztyńskiej" i w tym jej zasługa,

niezapomniany przez historię wkład do dzieła budownictwa polskości wśród Polaków Wschodniego Pomorza.

Bojowa jest przeszłość „Gazety" od początku jej narodzin aż po ostatnie dni skonania .

Ożywiona działalność „Gazety Olsztyńskiej" i społeczna praca jej redaktorów, na czele z Sewerynem Pieniężnym (ojcem i synem), Joanną Pieniężną, wpłynęła w znacznym stopniu na rozwój polskiego ruchu narodowego na Warmii i Mazurach.

Oczywiście, że to się Centrowcom (katolickiej partii niemieckiej) nie podobało, bo opierali liczbę swych członków lub zwolenników na katolickim ludzie polskim, który jednak pism niemieckich nie brał do rąk, po prostu czytać po niemiecku, ani mówić nie umiał.

Stąd, ażeby dla niemczyzny pozyskać Polaków-katolików, zakładają w roku 1894 Niemcy tygodnik pt. „Warmiak", drukowany po polsku, jako pismo... antypolskie, skierowane szczególnie przeciw „Olsztyńskiej".

Za „Warmiakiem" stanęło całe niemieckie duchowieństwo katolickie

Żywot jednak owej gadzinówki, jak i podobnego mu czasopisma „Nowiny Warmińskie" nie był długotrwały.

W kwietniu 1928 roku „Gazeta Olsztyńska" pisała:

„Zmiany rządów, rozwiązanie sejmu i parlamentu, namiętne waki partyjne, wściekła po prostu agitacja przeciwpolska, napady na szkoły polskie, prześladowanie dziatwy polskiej, uczęszczającej do szkół polskich cechowały okres czasu do objęcia władzy przez narodowy socjalizm.

Wysoko biły wzburzone fale życia politycznego Niemiec. Propaganda przelicznych partii niemieckich (o mandaty poselskie ubiegało się podczas wyborów przeszło 20 partii) łowiły głosy polskie. Zwłaszcza Cen-

trowcy potrafili się przed wyborami umizgać do Polaków, dzięki wydatnej pomocy ze strony duchownych. Zdawać by się mogło wówczas, że sprawa polska utonie w morzu walk wewnętrznych Niemiec. Stało się inaczej.

Nie ma siły ,któraby sprawę polską zdławić mogła".

Rolę „Gazety Olsztyńskiej" w utrwalaniu i budzeniu polskości najlepiej ilustruje odwaga jej wypowiedzi.

Podczas wyborów do Sejmu Pruskiego, jak i Parlamentu niemieckiego w r. 1893 Polacy na Warmii nie zdołali jeszcze przeprowadzić własnego posła. Spodziewano się, że na kandydata polskiego ks. Wolszlegiera padnie w pierwszym głosowaniu 180 głosów, a padło tylko 105.

„Gazeta Olsztyńska" z dnia 11 listopada 1893 r. tak wyjaśnia: „Główną winą jest tu sposób wybierania, gdzie biedniejsi mają mniej prawa przy wyborach, niż bogatsi. Nasi walmani (wyborcy) z małym wyjątkiem byli tylko z trzeciej klasy, a choć wybrani zostali wielką liczbą głosów, pobiła ich druga i pierwsza klasa, która tylko kilkoma głosami wybraną zostaje".

„Wybory do parlamentu i obecne wybory pokazały całemu światu, że na Warmii są Polacy".

Mimo wszystko był to sukces, który zdumiał Niemców.

Tak na przykład gazeta niemiecka „Bürgerzeitung", ukazująca się w Düsseldorfie, pisze w nr 259 z roku 1893.

Biskupstwo warmińskie ostało się przy katolicyźmie dzięki panowaniu tam biskupów polskich. Północna część Warmii jest przeważnie niemiecka, południowa zaś przeważnie polska.

W czasie walki Polacy stali wiernie przy duchowieństwie, ale też i rosła samowiedza u polskich Warmiaków i nagle pokazali światu, że zbudzili się do nowego życia,

wybierając nawet posła do parlamentu własnej narodowości".

Ale ten do równouprawnienia dążący lud polski ściągnął na siebie gniew niemieckiego kleru.

Pasterze obrócili się przeciw trzodzie, a organ duchowieństwa „Ermländische Zeitung" na spółkę z grudziądzkim „Geselligerem" zwalcza lud polski i jego „Gazetę Olsztyńską". Polacy Warmiacy są na tyle dojrzali, że o swe prawa się dopominają. Posiadają oni mężów, którzy swemu imieniowi zaszczyt przynoszą" — pisze Olsztyńska.

W „Kölnische und Schlesische Zeitung prof. Delbrück pisze między innymi: (powtarzamy za Gaz. Ol.)

„Na Warmii od roku 1886 nie wiele było można znaleźć śladów polskiego ruchu. Po wydaniu ustaw wyjątkowych, po polsku mówiący Warmiacy, stanęli po stronie zaczepionych ziomków w ks. Poznańskim, a narodowo-polska świadomość czyni coraz to większe postępy wśród Warmiaków. Lud trzyma się swej mowy, uczy dzieci czytać polskie gazety i polskie książki.

Rok 1898 przyniósł nowe wybory do parlamentu niemieckiego. Tym razem padło na kandydata polskiego 5.076 głosów. Był to sukces wielki.

Przeciw Polakom stały zgodnie wszystkie partie niemieckie, cała prasa niemiecka i duchowni, którzy wywierali nacisk na warmiński lud katolicki, zalecając głosowanie na centrowców.

Polakom wydzierano z rąk polskie kartki wyborcze i wciskano niemieckie.

„Nauczyliśmy panów od Centrum, — pisze po wyborach „Gaz. Ol." z ironią, — przemawiać na zebraniach po polsku. Słyszeliśmy duchownych, zaklinających się na zebraniach, że tak bardzo mowę polską kochają,

jak niemiecką. To wszystko sobie spamiętamy i czekać będziemy, czy już z żadnej parafii skarga na usuwanie polskiej mowy nie nadejdzie. Wtenczas będziemy wierzyli, że to wszystko prawda, co nam mówiono".

W numerze noworocznym 1900 r. „Gazeta Ol." z dumą spogląda wstecz i pisze:

„Choć kończący się wiek był dla ludu wiekiem ucisku i smagającej niedoli, jednak na pociechę stwierdzić możemy, że ruch polski ani na chwilę nie ustał, przeciwnie, rozwija się nie tylko u nas, ale i w całych Niemczech".

Ciężko chorego Pieniężnego zastępuje jego brat Władysław Pieniężny.

W roku 1905 Seweryn Pieniężny umiera. Śmierć jego pokryła żałobą całą ludność polską Prus Wschodnich, która zmarłego dla jego zalet charakteru nazywała powszechnie „swym kochanym redaktorem".

Jako człowiek bystry, krytycznego umysłu i zdolny dziennikarz ludowy zaskarbił sobie Seweryn Pieniężny uznanie, ogólne zaufanie i szacunek nawet u wrogów.

Front walki z pastorami i księżmi zgermanizowanymi był znacznie trudniejszy, aniżeli sama walka z rządem.

O ile bowiem akty wrogie rządu pruskiego i hakatystów pruskich w pewnej mierze paraliżowały artykuły prasy polskiej, działalność organizacji narodowych i przemówienia posłów polskich z trybuny parlamentu i sejmu — to ukryta i chytra walka Centrowców, oraz księży, nadużywających do celów germanizacyjnych swej sutanny, kościoła, ambony, a nawet konfesjonału, osłabiała w wielkiej mierze ruch polski.

Taktyka więc „Gazety Olsztyńskiej", jako pisma polskiego i katolickiego musiała być z natury rzeczy de-

tensywna. Zbyt jaskrawe zaatakowanie kleru, nawet niemieckiego, wywołałoby wśród jej czytelników, jeśli nie zgorszenie, to niepożądane fermenty. Była to walka trudna, bo na dwa fronty.

Na pierwsze więc miejsce wysuwała się akcja oświatowa, uświadomiająca.

I ona szerzona umiejętnie, z całą znajomością duszy, psychiki ludu, dała w krótce dobre wyniki.

Liczba czytelników „Gazety Olsztyńskiej" wzrastała, a z nią pogłębiało się uświadomienie narodowe, przy pomocy licznych bibliotek, jakie na wioskach zakładał Seweryn Pieniężny wspólnie ze Szczepańskim z Lampowa pod egidą Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu.

T. C. L. obok prasy stał się potężnym czynnikiem podtrzymującym polskość ludu mazursko-warmińskiego i w tym tej instytucji oświatowej niezapomniana zasługa.

Rezultat tej pracy oświatowej i społecznej był taki, że gadzinowiec pruski „Warmiak", założony celem ubicia „Olsztyńskiej", z dniem 1 kwietnia 1905 roku przestał wychodzić z braku odbiorców.

„Gazeta Olsztyńska" staje się ogniskiem polskości.

Tu w dni targowe i święta redaktor zajęty jest wyłącznie konferencjami, a pracę zawodową musi odbywać nocami, kosztem spoczynku. Szukają u niego rady, pomocy, opieki, damagają się gazet, broszur, zapraszają do siebie na zebrania, zjazdy itp.

Hakatyści i centrowcy nie dają za wygraną. Powołują do życia nowe organizacje „przemysłowców", robotników, różne cechy itp., aby wciągnąć do nich niezorientowanych i jeszcze niezdecydowanych.

Rząd pruski knuje nowe prawa antypolskie. Wydaje ustawę, godzącą w wólność zebrań, usuwa naukę religii w języku polskim we wszystkich szkołach.

Księża centrowi zamiast popierać ludność polską w walce o religię, kasują nabożeństwa polskie, śpiew i kazania w języku polskim.

Lecz tama polska przeciw zalewowi germańskiemu, jest coraz wyższa, coraz odporniejsza.

Lud nasz kroczy zdecydowanie i nieustępliwie pod czołowym hasłem: „Ojców mowy, ojców wiary — brońmy wszyscy młody, stary".

W Poznańskim wybucha strajk szkolny wśród dzieci. Liczne rodziny polskie i wielu księży patriotów idą za obronę wiary do więzienia.

Odzywa się „Gazeta Olsztyńska" pytając w jednym z artykułów:

„Czyliż i Warmia się nie ruszy?"

Bojowe to wyzwanie powoduje strajk dzieci w Gietrzwałdzie.

Sąd pruski skazuje redaktora, Władysława Pieniężnego za ten artykuł na 3 miesiące więzienia.

Rozpisanie wyborów do parlamentu daje nowe możliwości pracy oświatowej.

Okresy przedwyborcze znoszą prawo zakazu zebrań. Korzystają z tego Polacy.

Rozpoczynają się wiece przedwyborcze, wiece, w porównaniu z r. 1903 znacznie liczniejsze.

Lud zagraża odszczepieńcom i odmieńcom polskim. Zawróćcie z błędnej drogi, która nie wiedzie do Polski — pisze „Gazeta".

Na wiecach entuzjazm. Spośród błądzących księży zgłasza się pierwszy ks. prob. Barczewski z Bunswaldu i woła: „Z polskim ludem polski ksiądz".

Nabita polskością sala zadygotała okrzykiem: „Niech żyje!"

Zapał się podwaja, moce narodu rosną, bo oto na inny wiec zjawiają się księża: Bilitewski i Poetsch, którzy również pójdą z ludem polskim, porwani przykładem swego kolegi w sutannie.

Zwycięstwo w własnych szeregach.

Prostota nawraca oświecicieli!

Próżnoby szukać drugiego takiego przykładu, chyba tylko w dziejach apostolskich.

A wynik? Gdy w roku 1903 na kandydata polskiego padło 3.860 głosów, to w cztery lata po tym 5.540 głosów.

Centrowcy tego przeboleć nie mogą. W zaciekłości antypolskiej kler powiatu olsztyńskiego podszczuwa proboszcza z Bartęga do wytoczenia redaktorowi „Gazety Olsztyńskiej" procesu o obrazę.

Przewód sądowy wykazał, że jednak ks. Kiszporski z Bartęga rzucał od ołtarza i z ambony obelgi na redaktorów „Gazety" i wyklinał jej czytelników.

Mimo przeprowadzenia dowodu prawdy, Temida pruska skazała redaktora na miesiąc aresztu i 300 mk. grzywny.

Niesprawiedliwy wyrok „sprawiedliwości" spowodował wzrost czytelników „Gazety". Wielu przejrzało i skupiło się przy polskiej barykadzie tym silniej, im gwałtowniej ją szturmowano.

Z barykady i reduty polskiej rozszerzał się już zwarty front.

Rok 1911 przynosi nowy okres wyborczy. Kandydatem jest ks. Barczewski z Buswałdu.

Rozpoczyna się akcja wyborcza na Mazurach o zasięgu dotąd nie znanym. Lud gromadnie spieszy na wiece polskie.

Już nie tylko wieś, ale i miasteczka się ruszają. Przeciętnie na wiecu uczestniczy od 300 do 600 osób.

W Wartemborku, Biskupcu, Olsztynie, Purdzie, Butrynach, Sząbargu, Gietrzwałdzie, Stanislewie i po innych miejscowościach temperatura zapału wzrasta. Ludność wprost na ręku nosi swego kandydata.

A „Ermländische Zeitung" w nr 20 tego roku pieni się ze złości wygraża i przepowiada, że: „reszta księży, sympatyzujących jeszcze z ks. Barczewskim od niego się odwróci, gdyż w kołach Pieniężnych, Brejskich, Seydów i Korfantych ksiądz warmiński przebywać nie może".

Wybory przyniosły jeszcze większy sukces, aniżeli w r. 1907. Ks. Barczewski otrzymał 7.520 głosów polskich.

I tak, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej żywioł polski na Mazurach wciąż potężnieje.

Przybywa „Gazecie", duchowej krzepicielce polskości, w sukurs placówka gospodarcza w postaci spółdzielczego „Banku Ludowego", mającego na celu wspomagać materialnie lud polski, uniezależniając go od niemieckich instytucji kredytowych.

Spółdzielczość bankowa stanie się z czasem obok gazety, bibliotek T. C. L. ważnym instrumentem utrwalania polskości na Wschodnim Pomorzu.

Do świadomości ogółu polskiego zaczyna przenikać na tamtejszym terenie mocne przekonanie, że spółdzielczość w dziedzinie materialnej jest tym, czym wiara i drukowane słowo w dziedzinie ducha, że to jest

trzeci wielki sprzymierzeniec w walce o polskie oblicze gnębionej ziemi.

Charakteryzując tamte czasy, Władysław Pieniężny jeden z działaczy i późniejszy członek zarządu „Banku Ludowego" w swoich wspomnieniach z roku 1936, wydrukowanych w jubileuszowym numerze „Gazety Olsztyńskiej", tak pisze:

„Wydajną naszą pracę przerwała nagle wojna światowa, która mnie oderwała od warsztatu pracy i zawlokła na pola walk, aby bronić tego mocarstwa, w którym potrzeb ludu polskiego nie uwzględniano.

Jeżeli za czasów redagowania przez mnie „Gazety Olsztyńskiej" i kierowania ruchem narodowym na Warmii nie wszystek lud polski złączyć było można pod sztandarem polskim, to złożyły się na to różne czynniki, jak brak pracowników na niwie narodowej, brak ludzi inteligentnych i przewodników, którzy umieli by lud pociągnąć za sobą, brak liczniejszego zastępu księży Polaków, do których lud polski ma bezgraniczne zaufanie, a wreszcie także brak poparcia materialnego i ważności zrozumienia sprawy polskiej w Prusach Wschodnich przez organizacje polskie i inteligencję, zamieszkującą inne części ziemi polskiej.

Skreślony powyżej okres pracy i walki w obronie słusznych praw ludności polskiej na Warmii jest najpiękniejszym okresem mego życia".

Tak kończy autor wspomnienia.

Ale idźmy za tokiem zdarzeń historycznych.

Pierwsza wojna światowa gasi w Prusach Wschodnich tak świetnie zapowiadający się blask odrodzenia.

„Olsztyńska" pozostaje bez redaktorów, Bank Ludowy bez kierowników, wszystkie Bartki mazurskie muszą iść „bronić mocarstwa — jak z kłującym sarkaz-

mem pisze Pieniężny, — w którym potrzeb tego ludu nie uwzględniano".

„Gazeta Olsztyńska" świeci słabiej, ale wychodzi, podtrzymywana dzielną ręką niewieścią wdowy po Sewerynie Pieniężnym, Joanny.

Pomaga jej red. Stanisław Nowakowski, który zdołał się „zadekować" w Olsztynie, w jakimś urzędzie, ale robi to cichcem, dorywczo, bo to grozi surową karą i perspektywą powrotu na front.

Pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową poprzez ziemie mazurskie przewala się wojna domowa.

Plebiscyt!

Polała się krew polska obficie.

Biada zwyciężonym!

Seweryn Pieniężny wydawca i redaktor „Gazety Olsztyńskiej" zamordowany przez Niemców na początku wojny

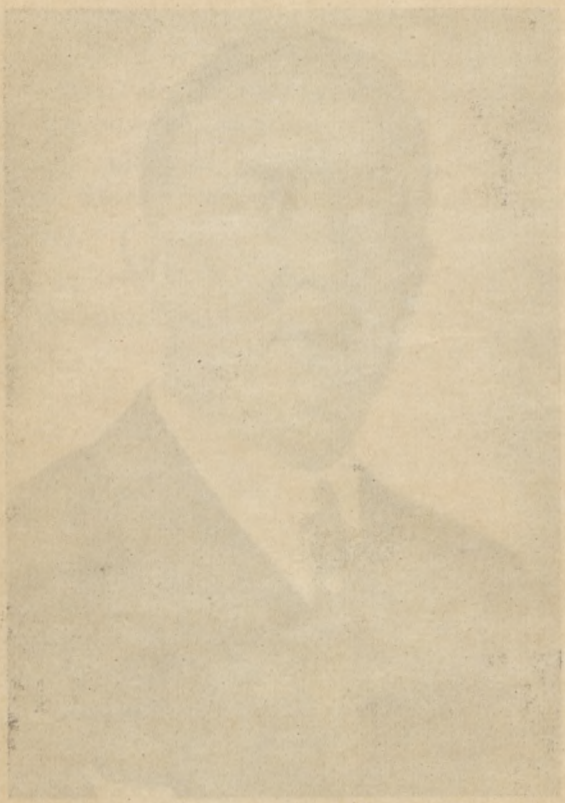

XIII

NA GRUZACH KWITNIE NADZIEJA

Motto:

I nie ustaniem w walce,
Siłę słuszności mamy,
A mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy.

(Hymn Zw. Polaków w Niemczech).

Rzecz była przegrana z góry.

Na plebiscytowym placu boju jest tylko jedna w Prusach Wschodnich „Gazeta Olsztyńska".

Wokół niej skupia się zespół pracowników, który spełnia tylko z rezygnacją swój obowiązek.

Z końcem 1919 roku „Gazeta Olsztyńska" w tych słowach obrazuje nastrój i klimat przedplebiscytowy:

„Pracujemy w bardzo trudnych warunkach. Nie jeden z dzielnych Warmiaków posmakował w tym roku gorzki chleb więzienia pruskiego za to, że bronił polskości na Warmii. Inni uszli do Polski, aby się uchronić przed prześladowaniami.

„Gazecie Olsztyńskiej" władze raz po raz wytaczały procesy. Polski lud jest przestraszony i zalękniony przez gwałty i bezprawia nad nim dokonane za przyznawanie

się do polskości i występowanie w obronie praw polskich.

Całe powietrze tutejsze pachnie mocno więzieniem.

Zdajemy sobie sprawę, że nastąpi okres jeszcze ostrzejszej walki, do którego winniśmy się przygotować bez lęku w sercu.

Jak w ogniu hartuje się żelazo, tak w ucisku twardnieje dusza" — pisze „Olsztyńska".

Zbliża się termin plebiscytu. Wydawnictwem kieruje Seweryn Pieniężny (junior), który szczęśliwie wrócił po wojnie do domu z frontu. Redakcję prowadzi Stanisław Nowakowski.

Walka przedwyborcza odbywa się w nierównych warunkach.

Prześladowani Warmiacy i Mazurzy opuszczają teren, za to Niemcy z głębi Rzeszy pełnymi pociągami przybywają do Prus Wschodnich na dzień głosowania, legitymując się nieraz fałszywymi zaświadczeniami, że byli, lub są mieszkańcami tej ziemi. Częste były wypadki, że głosowano za nieboszczyków[8]).

Ta fala napływowców po „zwycięskim" dla Niemiec plebiscycie, odpłynęła z powrotem do swoich Heimatów, bo z ziemią tą nic ich nie wiązało.

Mimo uroczyście ogłoszonej odezwy Komisji Koalicyjnej, składającej się z przedstawicieli W. Brytanii, Francji, Włoch i Japonii, zapewniającej swobodę wyrażania swej woli podczas głosowania, o swobodzie zebrań mowy nie było wobec stosowanego przez bojówki niemieckie terroru.

Koalicyjna policja w okresie głosowania, z prowokującą obojętnością, oraz irytującą opieszałością ingerowała przy zajściach, a nieraz wręcz nieprzyjazne wobec

Polaków zajmowała stanowisko, w czym celowali specjalnie Włosi.

Już wtedy faszyści niemiecko-włoscy się zwąchali.

Niechętna nam była Anglia, a Japończyków cała ta w ich pojęciu, checa mało co interesowała.

Najżyczliwsi nam byli Francuzi, ale wobec zmajoryzowania ich w Komisji Alianckiej byli bezsilni.

A poza tym wszystka ta międzyaliancka żandarmeria, składająca się z żołnierzy nie zdemobilizowanych po wojnie, marzyła tylko o powrocie do domu i tchórzem była podszyta.

Na przykład żandarmeria włoska, zaalarmowana o napadzie bojówek niemieckich na wsie polskie, z reguły przychodziła, gdy lokal był już zdemolowany, a uczestnicy wiecu pobici i zmasakrowani.

Nazwiska Mazurów, znanych z przychylnego stosunku do sprawy polskiej wypisywano w lokalach publicznych, w szybach okien wystawowych, ku wzgardzie i napiętnowaniu.

Oddziaływano na psychikę ludności drogą szyderstwa z Polski i Polaków.

W dzień plebiscytu, ku uciesze motłochu prowadzono po ulicach Szczytna i Olsztyna osła z tabliczką, na której wielkimi literami widniał napis: „Tylko taki głosuje za Polską".

Działaczy z Polskiej Rady Ludowej zasypywano anonimowymi pogróżkami.

Gdyby tak zbadać życiorysy gestapowców, to może okazałoby się, że większość z nich to absolwenci kursu z okresu plebiscytowego zaprawieni w dziele znęcania się nad bezbronnym człowiekiem.

Furia nienawiści do wszystkiego co polskie objęła nie tylko płatne oraz „ideowe" bojówki hakatystyczne, ale także udzieliła się niemieckiemu klerowi.

Oto, gdy ówczesny nuncjusz papieski w Warszawie, Monsignore Ratti, a późniejszy papież Pius XII przybył do Olsztyna w okresie plebiscytowym, proboszcz olsztyńskiej parafii nie wpuścił go do kościoła.

Dostojny gość musiał szukać przytułku u polskich sióstr w Klasztorze Mariańskim, skąd nazajutrz wyjechał z powrotem do Warszawy.

Każdy obcy obserwator był niepożądanym świadkiem pruskiego bestialstwa.

Mimo to tubylczy lud polski zachował dzielną i godną postawę.

Wybitniejsi Polacy nie byli pewni swego życia. Redaktor Kazimierz Dąbkowski, członek Komitetu Plebiscytowego, wielce sprawie oddany, nie rozstawał się z bronią, a Polski Komitet Plebiscytowy przebywał w lokalu zabezpieczonym zasiekami z drutów kolczastych.

Wydawnictwo „Gazety Olsztyńskiej" było narażane na liczne akty terroru.

Redaktor Ludwik Łydko, który po Nowakowskim obejmuje „Gazetę", zostaje na ulicy dwukrotnie potłuczony do utraty przytomności[26]).

Niewątpliwie na wynikach plebiscytu fatalnie zaciążyły ówczesne wypadki polityczne, niepotrzebne i szkodliwe zaangażowanie się polityki polskiej w awanturę kijowską.

Data plebiscytu upływała akurat w okresie, gdy wojska sowieckie stały pod murami Warszawy.

Nie ulega wątpliwości, że nieszczęśliwa data 11 lipca 1920 roku była wyznaczona przez Aliancką Komisję Plebiscytową pod natchnieniem Niemców.

Czy za ich pieniądze, nie odważę się pisać, nie mając dowodów. W każdym razie takie pogłoski uporczywie wówczas w terenie obiegały.

Na nic się zdały nasze protesty. Prezes Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego Brochwicz-Donimirski demonstracyjnie składa swą rezygnację na ręce Komisji. Kierownictwo po nim obejmuje ksiądz prałat Ludwiczak.

Ale to sprawy nie ratuje, bowiem państwo, które przegrywa nie jest siłą atrakcyjną. A był przecież moment, gdy przywódca niemczyzny na terenach plebiscytowych Worgitzki sam nie wierzył w wygraną. Powiedział mianowicie, że wystarczy pół roku okupacji tej ziemi przez Polaków, a Mazury będą polskie.

No i nasza nieudolna propaganda zrobiła resztę.

Na ziemię mazursko-warmińską przyjechali agitować ludzie, nie mający pojęcia, co to jest Warmia, co to są Mazury.

Z Warszawy zjechali się eleganccy, wyfraczeni panowie, wymanikirowane i zmanierowane damy, szukające patriotycznych wrażeń.

Żeromski, który przebywał na Mazurach krótki czas w okresie plebiscytowym wraz z Kasprowiczem, nie ukrywał swego niezadowolenia i całe to warszawskie zbiegowisko nazwał „elegancką hołotą".

Bankietom i przemówieniom nie było końca, ani miary.

Mazur słuchał natchnionych mów, wyszukanych frazesów ojczyźnianych, potakiwał i... ani w ząb nie pojmował. Siedział jak na niemieckim kazaniu.

Wynik plebiscytu tak się przedstawia w cyfrach:

Liczba uprawnionych do głosowania w 11 powiatach wynosiła 425.305.

Oddano głosów 363.209 niemieckich, 7.980 polskich.

Najlepsze były wyniki w powiatach nadwiślańskich jak Sztum, Kwidzyń, gdzie wygraliśmy 5 wiosek.

Gorsze rezultaty były na Warmii, tu padło 5.961 głosów (Olsztyn 342 głosy, powiat — 4.871). Najgorsze na Mazurach, gdzie Niemcy rozwinęli szalony terror. Ogółem padło za Polską dwa i pół procent głosów.

Połać ziemi mazurskiej, z którego powstał powiat działdowski, przypadła Polsce na mocy traktatu wersalskiego bez plebiscytu.

Żeromski i Kasprowicz czynnego udziału w akcji propagandowej nie brali.

Byli raczej obserwatorami.

Żeromski raz tylko usiłował interweniować w Komisji alianckiej, oczywiście bezskutecznie. Wyszedł z gabinetu Komisji, jak opowiadają świadkowie, mocno wzburzony, trzaskając drzwiami.

Żeromski przez cały czas swego pobytu czuł się źle, uskarżał się stale na ból głowy.

Tylko Kasprowicz nadrabiał miną.

Przegrana plebiscytu choć zadała cios sprawie polskiej, jednak jej nie uśmierciła.

„Gazeta Olsztyńska" nazajutrz po nieszczęśliwym wyniku w dniu 12 lipca 1920 roku podnosi serca i ducha:

„Chwila decydująca minęła. Pomimo gwałtów, terroru i szykan, jaki na Warmii i Mazurach panował podczas walki plebiscytowej, stanąć musieliśmy do głosowania.

Wszystkim, którzy prześladowani i narażeni na gwałty oddali swój głos za sprawę polską, dziękujemy na tym miejscu najserdeczniej. Witamy ich zarazem, jako współbojowników w dalszej walce jaka się tu na tych ziemiach zamieszkałych przez lud polski w przyszłości toczyć będzie.

Wynik plebiscytu bowiem nie zamknął w grobie sprawy polskiej. Walka toczyć się będzie nadal o zacho-

wanie ducha narodowego i sprawy polskiej, polskiej mowy.

Głosy polskie, które padały do urny wyborczej, mają nadzwyczaj ważne znaczenie. Wskazują one, że duch polski na Warmii i Mazurach budzi się do nowego życia i obejmuje coraz to szersze warstwy społeczeństwa, które uległo wpływom germanizacyjnym. Ziarna zostały rzucone i od nas i od pracy naszej, w przyszłości zależeć będzie, czy ziarna te wydadzą odpowiedni plon".

Ścieśnić szeregi, odepchnąć zwątpienie — to hasła „Olsztyńskiej" na najbliższe dni i lata.

Rozbitków plebiscytowych poczęto łączyć na nowo, bo już się szeregi poczęły rozluźniać.

Tworzono więc nowe organizacje polskie, odnawiano stare, zakładano biblioteki, kółka śpiewacze, powoływano do życia stowarzyszenia młodzieżowe.

Powstaje naczelna organizacja ludu polskiego w Niemczech pn. „Związek Polaków".

W Olsztynie założono delegaturę tego związku na czele z ks.Osińskim. Sekretarzami byli Gabrylewicz, Baczewski i Barcz.

Działają instytucje spółdzielcze, jak „Bank Ludowy", „Rolnik". Polskie Towarzystwo Ludowe rozpoczyna walkę o prawo zakładania szkół polskich.

Na gruzach przegranej sprawy zakwita nadzieja.

Zwycięstwo nie zadowala zwycięzców. Zmieniają taktykę udoskonalając ją w szczegółach.

Jeśli Bismarck zwalczał polskość, to Hitler ją wyrywał z korzeniami przy pomocy ustaw takich, jak ustawa o zagrodzie dziedzicznej, która skuteczniej załatwiała się z prawem posiadania ziemi przez Polaków, aniżeli słynne ustawy wywłaszczeniowe cesarskich Niemiec. Tu już nie było nawet miejsca na wóz Drzymały.

Przed wojną Polak mógł swych praw dochodzić, pozywać bodaj rząd Rzeszy przed trybunał, gdy mu się krzywda działa, teraz miał jedno prawo — umierać.

Gdy jeszcze Seweryn Pieniężny (senior) mógł w swej gazecie pisać na Prusaków i być heroldem krzywdy polskiej, to już „Olsztyńska" w okresie panowania hitleryzmu w jubileuszowym numerze z dnia 1 kwietnia 1936 roku może sobie pozwolić tylko na oględną i powściągliwą w krytyce wzmiankę:

„Osobna karta należała by się dziejom martyrologii polskiej na Warmii. Tu jednakże warunki zabraniają nam pisać — uczyni to za nas przyszły dziejopis".

Nie pozwalają warunki!

„Olsztyńska" teraz pisać musi między wierszami. I jeśli jej jeszcze nie zamykają, to dlatego, że Polska ma argument w postaci odwetu na bujnie rozrosłej w Polsce prasie niemieckiej, no i dlatego, że pozory traktatowe nakazywały pewną powściągliwość.

Jedyne pismo polskie w Prusach Wschodnich i dziesiątki pism niemieckich w Polsce, oto proporcja.

Biednej „Olsztyńskiej" nikt ręki ze starego kraju nie podał.

Jeśli rozwijała się i trwała to siłą polskiego entuzjazmu.

Rząd pruski, tolerując „Olsztyńską", zabezpieczał tym samym istnienie mnóstwa gazet niemieckich w Polsce.

Za dwie spółdzielnie gospodarcze w Prusach Wschodnich utrącane po cichu przez administrację i wiodące anemiczny żywot, jak Bank Ludowy i „Rolnik" płaciliśmy setkami bujnie kwitnących Gesselschaftów i Reifeisenbanków na Pomorzu, Wielkopolsce i na Śląsku.

Polski wilk w odzieniu owczem!

wilka polskiego, [illegible] w odzieniu owczem.

„Prusti [illegible] „Mazursti [illegible] się brzydzi pruactwem.

Dajta więc baczność, Mazury!

a strzeżcie się tego „wilka drapieżnego"

[illegible] fałsz, obłuda i machlarstwo, [illegible]

Polak, to nie Mazur prusti, ale wróg jego!

[illegible] „agitowi-zacyi". [illegible]

Jedna z licznych ulotek propagandowych, rozrzucanych przez niemiecką organizację mazurską

GAZETA OLSZTYŃSKA

[illegible]

Zakaz

„Gazety Olsztyńskiej"

Prezydent rejencji olsztyńskiej na zasadzie rozporządzenia Prezydenta Rzeszy dotyczącego opieki narodu i państwa z dnia 28. 2. 1933 r. (R. G. Bl. S. 83) w połączeniu z paragraf. 1 rozporządzenia z 2. 3. 1933 (Ges. S. S. 33) i paragrafu 41 administracyjnego prawa policyjnego, zarządził natychmiastowe zawieszenie „Gazety Olsztyńskiej" na przeciąg 2 tygodni od 10-go do 23-go Lipca włącznie.

Zawiadomienie o konfiskacie „Gazety Olsztyńskiej"

Na półtora miliona Polaków w Rzeszy Polacy posiadali w roku 1938: 22 ochronki, 56 szkół powszechnych, jedno gimnazjum w Bytomiu z prawami publicznymi i 4 klasowe gimnazjum w Kwidzyniu bez żadnych praw.

A teraz co posiadało w zakresie szkolnictwa 740 tysięcy Niemców w Polsce: 147 przedszkoli, 579 szkół powszechnych, 20 gimnazjów, wszystkie o prawach publicznych, 4 licea nauczycielskie, 4 szkoły zawodowe.

Saldo więc wybitnie na naszą niekorzyść.

Konsulat polski w Olsztynie był placówką polskiej reprezentacji, konsulaty niemieckie w Polsce były agenturami agresji niemieckiego kapitału, a później przednią strażą sztabu wojskowego i Gestapo.

Zyski z przyjaźni ciągnął Hitler.

Dla Polski okresu międzywojennego ludzie ziemi mazurskiej byli „Morituri", mający wymrzeć, wśród naszego zapomnienia, naszej obojętności.

Ale ci hardzi Warmiacy i Mazurzy, choć na gruzach polskości, trwali przecież do ostatka.

I doczekali się świtu.

XIV.

MIEJSCE, SKĄD SIĘ ROZNIÓSŁ POŻAR

Motto:
Umarł Maciek umarł,
Już leży na desce —
Gdyby mu zagrano
Podskoczyłby jescze,
Bo w Mazurze taka dusza,
Że choć umrze, to się rusza.
(Z pieśni ludowych)

Młody Barcz, sekretarz Związku Polaków na IV Dzielnicę w Olsztynie, był niepohamowanym w swej krewkości Polakiem.

W tym człowieku po prostu kipiał polski temperament.

Już wtedy dziwiłem się, że głowę całą nosi na karku, że nie spotkała go większa przygoda.

Było to dobre, polskie serce, które często nie podporządkowało się głowie.

Wyjeżdżałem z Barczem autem w teren poznać lud mazurski z bliska.

Żeśmy z tej eskapady wrócili cało, bez większej awantury, przypisaćby to chyba wyrozumiałej Opatrzności i szczęściu.

Razu jednego, gdyśmy jechali pełnym gazem, (ku mej rozpaczy Barcz sam szoferował) widzimy w oddali jakiś maszerujący oddział.

— Co tam? — pytam.

— Szczeniaki szwabskie, Hitlerjugend. Ćwiczą się. Spędzili ich tu z Niemiec! — powiada.

— Zwolnijcie, przyjrzę się im!

I wtedy żałowałem, bo mój Barcz podjechał tak blisko maszerujących, że byłem w strachu, iż najedzie samego dowódcę kompanii, maszerującego w hitlerowskim, kanarkowym mundurze, ze swastyką, jak pająk owijającą rękę powyżej łokcia.

Kompania śpiewa jedną z tych standartowych pieśni, której odwiecznym motywem jest nienawiść ku Polsce i słowiańszczyźnie.

Mojego Barcza widocznie poniosło, bo ni stąd ni zowąd, całą moc swych młodych piersi w sam gąszcz śpiewających plunął zapytaniem:

— A gdzie to świnie pruskie maszerujecie?

— Co robicie? — zahamowałem go wystraszony.

Ale kochany Barcz, śmiejąc się, dał już gazu.

I tyle, że zdążyłem zobaczyć, jak cała kolumna wykonała w tył zwrot, wygrażając kułakami w naszą stronę. Zrozumieli po polsku.

Kilku nawet, niby psy za wozem, rzuciło się ku nam z ujadaniem. Tak ich bezsilna złość zamroczyła.

Pomyślałem: ładnie by wyglądał on, ja i ten wóz, gdyby motor w tej chwili nawalił.

Poleciały za nami tylko kamienie.

— Panie Barcz, ja z panem nie jadę!

— To niech pan wysiada! — dworuje ze mnie śmiejąc się tak, że tym swoim śmiechem ostudził mój przestrach.

Śmiejemy się już obydwaj.

Lecz po chwili spoważniałem, pytając:

— A co, jeśli zauważyli numer auta?

— Nie zauważą.

— Niby dlaczego?

— Bo mam numer zapaćkany błotem. Nie kazałem wozu czyścić, bo i tak, widzi pan, straszna maź na drodze.

Wybuchnąłem na to pełnym gazem śmiechu, którego echo zginęło w leśnym gąszczu.

Z szerokiej autostrady skręciliśmy w boczny trakt.

Doskonałość niemieckich dróg tchnie propagandową przesadą. Owszem, w Rzeszy to tak, ale na pruskim Mazowszu, na uboczu z drogi, to tak „rychłycznie", jak na naszym Mazowszu polskim.

I chaty często kryte słomą, i obejście gospodarskie pod jednym dachem z oborą i gnojówką pod oknami kurnej chaty.

Autostrada na Mazurach, jak i te murowane, piękne domki na pograniczu polsko-mazurskim zbudowane były z myślą o reklamie. Tam, gdzie ten motyw odpada, na zakąciu odległym, gdzie obcy przybysz nie zagląda, — prymityw pozostaje nienaruszony .

To też Prusy Wschodnie w opinii „echtdeutschów" z Reichu były niemiecką Syberią, do której przesiedlało się urzędników za karę, albo zwabiało różnymi benefi-cjami.

Prusy Wschodnie dla Niemców były europejską kolonią, terenem cywilizatorskiej misji, kolonią, do której zresztą grubo dokładali.

Takie i tym podobne myśli oraz spostrzeżenia przesuwają się w mej głowie pod kołyszący wtór i rytm zapracowanego motoru.

Bo piasek po kostki. Dobra, pracowita maszyna, ale się wyszarpała.

Nagle stop! Wóz stęka, mozoli się, koła podbierają pod siebie piasek, ale piasek, ustępując, jest... nieustępliwy.

Wysiadamy. Pan Barcz stuka z lewej, z prawej strony podchodzi, bada, niby lekarz chorego.

— Może go tak prześwietlić Roentgenem? — żartuję — ja, który w rzeczach mechaniki znam się jak wilk na astronomii.

— Nie, w porządku! — odpowiada mi pan Barcz ze śmieszną powagą na moją, mało poważną uwagę.

I byłbym może jeszcze pożartował, gdyby nie jedna rzecz. Rozglądając się w leśnym terenie wzrok mój spoczął na tablicy, wiszącej na jednym z grubych chojarów, a głoszący gotykiem:

Deutsche Militärverwaltung!

„Rejon wojskowy — wstęp surowo wzbroniony!

Zrobiło mi się zimno. Pokazałem towarzyszowi podróży palcem tablicę.

— I co teraz?

— Nic, wola Boża i skrzypce! — powiada Barcz.

— Jak na pociechę, niewiele! — myślę sobie, bo już mi się mówić nie chciało.

Niech nas kto z posterunku tu spotka i spyta czego szukamy. Ja obcokrajowiec, a więc pewno „agent", Barcz Polak, jako sekretarz Związku Polaków, niezbyt chyba w kartotece policji politycznej pochlebnie jest zarejestrowany. Ładne widoki!

Czy Barcz będzie się tłumaczył, że zbaczając z szosy ostrzeżenia nie widział? I gdyby to była nawet prawda, czy mu uwierzą i czy wogóle będzie to okoliczność łagodząca?

Pan Barcz, nadsłuchując odgłosów z szosy, słuchał, czy przypadkiem nie jadą wozy. Złapawszy uchem ich turkot z okrzykiem: „Jest, mam go", niby, że znalazł ratunek, pobiegł na szosę, jak opętany.

Jechała właśnie fornalka z okolicznego dworu i Barcz przekonał chłopów, że muszą nas ratować.

I zabrali się do roboty. Mnie się zdaje, że bardzo powoli. Niecierpliwość moja była chyba uzasadniona.

Barcz mówi do nich po polsku, ale oni nic, spokojnie, wolno zaprzęgają, wiążą, poprawiają.

Mówię do Barcza:

— Pogadajcie z nimi w ich języku, po niemiecku, to się może pośpieszą. Nie rozumieją przecież co do nich mówicie.

— Mówią po polsku, mówią — tylko nie chcą przy świadkach. Boją się. Są u Niemca na służbie. Mazur jest nieufny. Takim go urobiły warunki .

Wreszcie zaprzęg gotów.

Ciężki wóz zaorał się w piachu i ani z miejsca, bo prawy, dyszlowy koń coś chimeruje. Wierzga zadem. Nie podoba mu się cała robota.

Dostał batem. Wierzgnął z podwójną złośliwością.

— Cholera, nie kuń! — zaklął naraz jeden z tych chłopów klasycznie po polsku, snadź mocno poirytowany.

Jesteśmy już na szosie. Gęsty wieczór zapadł na ziemię.

Potężne dwa Mazury w świetle reflektorów zdają się ogromnieć.

Barcz wyjmuje portfel i chce płacić. Wzbraniają się.

— Jedźta z Bogiem, psieniędzy nama nie trza.

Nie pamiętam, abym w życiu uściskiem dłoni komukolwiek serdeczniej w życiu dziękował, jak tym dwu

— Panie kolego, czyście widzieli napis ostrzegający?

— Widziałem!

Chwilowe oburzenie zatkało mię jak korek.

— Więc dlaczego?...

— Tędy bliżej, chciałem drogę skrócić. Zawsze tędy przejeżdżałem i dobrze, a teraz ta cholera nawaliła! — mówi z irytacją.

Bo i pan Barcz ocenił sytuację, w jakiej znaleźliśmy się, jako dość, mówiąc optymistycznie, niekorzystną.

Stoimy w tym miejscu bezradni kwadrans, pół godziny.

Z lasu na drogę wychyla się już zmierzch, tym czarniejszy, że czarna przed nami perspektywa.

Od szosy jesteśmy stosunkowo niedaleko, kilkadziesiąt metrów, tak, że odgłosy jej życia raz po raz do nas dochodzą w tej męczącej ciszy.

Barcz pilnie słucha, rzekłbyś przeobraził się cały w podsłuch. Prawą ręką odchylił ucha, łowi nim szmery i — od razu skoczy, jak oparzony, wołając:

— Jest, mam go! — i z miejsca sunął biegiem ku szosie, że nie zdążyłem go zapytać:

— Kto, co, kogo tam macie?

Zostałem sam z tym pytaniem w próżni i w tej sytuacji, jakiej wrogowi swemu nie życzę.

Czuję cały, że serce, zegar mego życia, nierówno chodzi, a puls mych rąk rozwija szybkość expressu.

Trwało to wieczność, choć to było dokładnie (patrzałem na zegarek) dwadzieścia minut, gdy pan Barcz się zjawił na koniu, a obok niego jeszcze dwóch konnych chłopów.

Z osłupienia przeszedłem rychło w stan rozeznania. Stało mi się widniej w głowie i w oczach. Pojąłem rzecz.

Anno 1718. N°. 1.

Poczta Krolewiecka.

w Krolewcu / 6. Augusti.

Wiedniu / 24. Julii.

Jedna z pierwszych gazet, wychodzących nie tylko w dawnych Prusach Książęcych, ale i w całej Polsce

chłopom mazurskim, którzy przyszli do nas z Bogiem, aby nas ocalić od diabła.

Gdyśmy wracali do domu, Barcz się tłumaczył.

— Chciałem panu pokazać, jak Niemcy przygotowują się do wojny. Ale to innym razem, nie udało się teraz. Z drogi widać rusztowania, betony, bunkry, całe systemy połączeń, umocnień, stanowisk.

Mam dokładne dane. Zresztą nie trzeba być specjalistą, wystarczy, jeśli się nie jest ślepym, ażeby dostrzec ten gorączkowy pośpiech w pracy.

Te roboty odbywają się tylko nocami. Maskują jeszcze. A wy tam w kraju zdaje się nic nie wiecie.

Prusy Wschodnie, środkowe i nadgraniczne z Polską są wielką fortecą. Niemcy realizują gigantyczny projekt powiązania licznych tu jezior tak, ażeby na wypadek wojny, móc zalać wojska nieprzyjacielskie, gdyby wtargnęły.

Rozumie więc pan, że im na podnoszeniu stopnia kultury tego kraju tak bardzo nie zależy. Jest to baza w stylu wyłącznie stategicznym.

— Więc jednak byliśmy na tropach Smętka! — sumuję wrażenia.

— Nie, nie na tropach Smętka, ale na tropach Kołbóga.

— Na czyich?

— Kołbóga!

— A któż to jest ten Kołbóg?

— Dobry duch Ziemi Mazurskiej, — który nas uratował.

Ten duch kiedyś przyjdzie do głosu — zobaczy pan, powiedział zwyczajnie Barcz, ani się spodziewając, że w tych prostych słowach stał się jasnowidzem.

Było to na trzy lata przed straszną rzezią, jaką Polsce i światu zgotował arcyzbrodniarz wszystkich czasów.

W dziewięć lat po tym, gdym powtórnie na Mazury przyjechał i to miejsce oglądał, pełen zdumienia dowiedziałem się, że właśnie tu, koło Kętrzyna, temu zbrodniarzowi już wtedy budowano jego główną kwaterę, że stąd rozniósł się pożar na cały świat.

Barcz jednak tego nie wiedział.

O tych tajemniczych robotach i planach nie wiedział ani Intelligence Service, ani nasz II oddział. Wiedziało tylko kilku zakonspirowanych zbrodniarzy z najbliższego otoczenia Hitlera.

XV

ROBACZYWY TRYUMF

Motto:

Bowiem co nas weseliło —
Od nas się już oddaliło.

Michał Kajka
(pieśni Mazurskie)

Z książki o ziemi i ludziach tylko wtenczas można sobie przyswoić wszystką jej mądrość, jeśli się ma sposobność w ziemi i w ludziach czytać jak w książce.

Tylko wtedy zdanie, że podróże kształcą ma sens. Same podróże, jak i same książki nie kształcą.

Takie jest prawo teorii i praktyki.

To też, gdym w roku 1936 pojechał do Prus Wschodnich, książkowo o tej ziemi, jej ludziach i dziejach dość szczegółowo oświecony, nie mogłem jednak oprzeć się przekonaniu i uczuciu, że jadę na obczyznę, za granicę. w cudze strony.

Ale granica, jak się przekonałem, jest pojęciem książkowym, geograficznym, no i policyjno-żandarmeryjnym.

Granica jest pojęciem bez granic: nie wiadomo, gdzie się kończy i gdzie zaczyna. Granica to sztuczna

konwencja prawa państwowego, podobnie niedorzeczna, co i konwencja rasizmu.

Bo gdym się znalazł na Pojezierzu Pruskim w jednej z wiosek ze zdumieniem spostrzegłem, że z nikim w tej wiosce nie mogłem się rozmówić... po niemiecku.

A przekroczyłem przecież granicę, rozmawiałem, jak chciała granica i statystyka niemiecka, z Niemcami.

Musiałem wbrew temu wszystkiemu mówić do tych „Niemców" po polsku.

I wtedy znaleźliśmy wspólny język.

Czy byli to Polacy, z którymi rozmawiałem?

Mowa i ziemia to dwa żywioły człowieka.

Lecz cóż sama mowa, gdy ten który mówi jak ja, tym samym elementem polskiej mowy, powiada że nie jest Polakiem, że jest on Mazurem.

Do ziemi i do mowy trzeba jeszcze elementu trzeciego — rozeznania ducha polskiego. Jeśli go zgaszono, zgasło i pojęcie polskości.

Ducha tego można jednak rozpłomienić.

Jeden z niemieckich bezstronnych znawców wschodnio-pruskich stosunków narodowościowych powiedział, że gdyby Polaków tam wpuścić, to ludność mazurska spolszczyła by się przez 2 lata tak jak przez lat 50 musiała by się pod rządami Niemców germanizwać.

W tym powiedzeniu nie ma nic przesady.

Prusy Wschodnie są wielkim kotłem narodowościowym, gdzie grupowały się pokolenia, rody, szczepy w którym ścierały się cywilizacje, religię, wierzenia.

Prusy, Jadźwingowie, Litwini, Niemcy, Mazowszanie, Kaszubi, Pomorzanie, Warmianie, słowem coctail szczepów, plemion, narodów.

Prusy Wschodnie są nieustanną imigracją ludów, są przez to wybitnym zaprzeczeniem teorii rasistow-

skiej, gdzie, o ironio dziejów, — ta teoria najżarliwszych miała wyznawców.

Krzyżacy po wytępieniu dawnych autochtonów Prusów, plemienia spokrewnionego z Litwinami, Jadźwingami, przekazali Niemcom nie tylko ziemię, ale i nazwę tych starych Prusów.

Prusak, to zepsuty gatunek Niemca, to taki żargon narodowościowy.

Pochodowi starych Prusów i tych neo-Prusaków przeciwstawia się pochód naszych Mazowszan, którzy zajmowali ten kraj od południa.

Jak powstała nazwa „Mazowsze" do dziś dnia nie jest naukowo w dość przekonywujący sposób przedstawione.

Naruszewicz nie wiadomo dlaczego wywodzi tę nazwę od Massagetów, którzy rzekomo przybyli z Azji, Święcicki wyprowadza od Masława, którego nazywano „Mazosem", co wygląda nieco szztucznie i naciągnięte.

Twierdzenie to obala Nestor, dziejopis ruski, który wyraźnie wspomina o „Mazowszanach".

Trzaskowski usiłuje wyprowadzić nazwę „Mazowsza" od słowa „mąż" przyczym „owsze", jako stopień wyższy oznaczałoby obfitość elementu męskiego. Ta teoria również nie daje się utrzymaćć.

W. Kętrzyński tworzy już nie „Mazowszan", ale Mazurów od litewskiego „mażuras" co oznaczało człowieka barczystego, krzepkiego, niskiego.

Prof. Brückner wywodzi nazwę Mazowsza od grodu Mazowa, Mazewa.

Najpowszechniej zda się przyjmuje pogląd że nazwa Mazowsza pochodzi od pierwiastka „maź" — mazać, od błotnistego terenu pierwotnego Mazowsza w okoli-

cach Rawy, Sochaczewa, Czerska, Wisły a szczególniej na licznych jeziorkach wzdłuż rzeki Jeziorny, płynącej na nizinie, gdzie się „mazały" koła na drogach i „mazała" socha na gruntach.

Nazwa Mazowsze jest starszą od nazwy „Mazury". „Masuren" zjawiają się w ostatnich stuleciach, kiedy to niemieckim historykom bardziej dogadzała nazwa inna od polskiej ,ażeby mieć podstawę do wyodrębnienia Mazurów od Polaków.

Niewątpliwie nazwa „Mazur", jak twierdzą znawcy tego przedmiotu, upowszechniła się u sąsiednich szczepów polskich pod koniec średniowiecza, w okresie Polski Dzielnicowej i miała w sobie charakter obraźliwy.

To prześladowanie Mazura przez sąsiadów wyraża się przez całe wieki dziejów w pogardliwym traktowaniu go, jako symbolu ciemnoty.

„Mazur rodzi się ślepy" — mawiano, lub gorzej jeszcze: „Gdzie się kończy kultura, tam napotkasz Mazura", które to powiedzenie Niemcy skwapliwie przyjęli

Nie był jednak Mazur taki ciemny, gdy potrafił się odcinać: „Tak, Mazur rodzi się ślepy, ale gdy przejrzy, i durnia przez dębową deskę zobaczy".

Bądź co bądź Niemcy umiejętnie wykorzystywali tę dzielnicowość naszą, tę różność religijną, bo oto dr Norbert Zimmer, jeden z pierwszych pionierów hitleryzmu w Prusiech Wschodnich pisał w „Kampf in Ostpreussen", że należy wśród Mazurów zbudzić germańskiego ducha ofensywy, by uwolnić Mazowsze z Warszawą spod jarzma polskiego".

„Mazur" nie był jednak taki ślepy, gdyż obdarzony wybitnymi cechami pioniersko - kolonizacyjnymi, zajmował pustkowia, ziemie niczyje i Polskę poszerzał.

Kolonizacji tej Polska, zapatrzona od czasów Jagiellońskich na wschód, nie umiała podsycić, ani zasilić.

Byliśmy obojętni. Nie pociągało nas morze, co tak lekkomyślny wyraz znalazło w starym szlacheckim, beztroskim powiedzeniu: „Polak gdy orze, nie dba o morze".

Posiadaliśmy cały kraj i puściliśmy go w arendę brandenburskim dzierżawcom.

Jedyną tenutą dzierżawną był hołd Niemca na Rynku Krakowskim przed panem polskim, a jako sługa Rzeczypospolitej pieczętował się według ówczesnego zwyczaju godłem polskim, orłem białym, dla odróżnienia pomalowanym na czarno i odwróconym w prawą stronę.

Taka jest geneza orła niemieckich Hohenzollernów, póki go nie zmieniła swastyka, owe dwa skrzyżowane hitlerowskie wytrychy.

Tymi Mazurami nikt się dobrze nie ciekawił. Od siedmiuset lat żyją własnym, szczepowym życiem.

Z Polski wywędrowali w czasie, gdy samo pojęcie Polski, jako państwa nie było dość skrystalizowane.

W procesie całkowania się państwa Polskiego nie brali udziału, choć z tym państwem łączyła ich ziemia i mowa.

I jeśli dziś pozostały tam gruzy tej polskości, to tylko cud tej mowy i tej ziemi.

Bo przecież gnębili tych Mazurów i Krzyżacy, ale i do Polski Mazurzy mają uraz zastarzały. Ten uraz zachował się w pieśni o niedobrym panu Gosiewskim aż do naszych czasów.

Ale mimo to od Krzyżaków, Niemców doznawali większych krzywd, to też cieszyli się polską victorią grunwaldzką, wierząc, że nastał kres ich niewoli.

I tę swą radość powierzyli dopiero dziś spełnionej legendzie.

Czy cieszą się z urzeczywistnienia nadziei?

Będzie o tym mowa w następnych rozdziałach.

*

Szczepem autochtonicznym, żyjącym dawniej na tej ziemi od Mazurów są Warmianie, (stąd nazwa Warmii), zamieszkali głównie w swej stolicy Olsztynie i jej okolicy oraz Wartemborku, Biskupcu, Nieświeciniu, Frombork), Bruniewie (Brausnberg), Reszlu, Zyborku, Dobrymmieście (Gutstädt), Licperdze, Ornecie.

Warmia jakby klin dzieli Pomorze Wschodnie na dwie części: wschodnią i zachodnią.

Szczep Warmian zamieszkiwał te ziemie od lat tysiąca. Spokrewniony był ze starymi plemionami pruskimi i litewskimi, ale i również z sąsiednimi plemionami słowiańskimi.

Trudno o ścisłą granicę pomiędzy dawniejszymi szczepami polskimi i pruskimi.

Olbrzymie bagniska i puszcze były jedynymi granicami, ale i zarazem łącznikami, jako miejsce wspólnych polowań i łowów.

Pierwszą próbę zaprowadzenia wiary Chrystusowej na ziemi warmińskiej podjął za sprawą Bolesława Chrobrego św. Wojciech, która skończyła się śmiercią męczeńską apostoła.

Dopiero Krzyżacy ogniem i żelazem utorowali Chrystusowi do pogan drogę, która była dla Chrystusa drugą drogą boleści.

Zdobytą ziemię krzyżowi okupanci zaczęli kolonizować niemieckimi przybyszami z zachodu.

Dawnych Prusów starło z oblicza ziemi środkami, które potępia nawet mało skłonna do obiektywizmu historio-grafia niemiecka.

Zwycięstwo pod Grunwaldem i Tannenbergiem zatrzymało pochód krzyżactwa.

Ale lud mazurski widzi, że zwycięstwo nie jest wyzyskane, śle więc posłów do króla polskiego z prośbą o opiekę i dalszą obronę.

Niestety, wtedy jednak na tronie nie zasiadał Bolesław Chrobry, który te sprawy rozumiał.

Dopiero w roku 1446 pokojem toruńskim, po 13-letniej wojnie z Krzyżakami, Warmia przypada Polsce i należy do niej bez przerwy do 1772 roku.

Na wyludnione obszary z Polski przybyły tysiące rodzin. Biskupi warmińscy sprawowali tu z ramienia króla władzę świecką. Stąd Warmia tak jest katolicką, jak Mazury ewangelickie.

Bo losy Mazurów potoczyły się nieco inną, niż Warmiaków drogą.

Ani Grunwald, ani wojna 13-letnia nie przyniosły im upragnionej wolności. Jęczą nadal w jarzmie krzyżackim.

Bo oto wielki mistrz krzyżacki Albrecht von Hohenzollern, pan na Królewcu i senator Rzeczypospolitej, przechodzi na luteranizm.

Panowała w średniowieczu zasada „cuius regio — eius religio" (czyje rządy tego i wiara). Za księciem i ziemia mazurska przechodzi na luteranizm.

Książę pruski, Albrecht nie czuje się jednak pewny, gdyż katolicki cesarz niemiecki, zgorszony postępkiem swego wasala skazuje go zaocznie na śmierć. Wtedy przebiegły Hohenzollern ucieka się pod opiekę swego potężnego wuja polskiego Zygmunta Starego.

Zjawia się na Rynku w Krakowie, składa hołd w roku 1525 i staje się wasalem Polski, czyli poddanym, przysięga wierność swoją i swoich potomków.

Poczciwy Zygmunt Stary wierzy.

Zdumiewającą wręcz jest rzeczą, iż arcykatolicka Polska, Polska „semper fidelis" (zawsze wierna), jedna z najoddańszych córek Kościoła, zawsze powolna życzeniom Stolicy Apostolskiej, po raz pierwszy może w swych dziejach oparła się polityce watykańskiej, gdy szło o sprawy wyznaniowe Prus Książęcych.

Tolerancyjny Zygmunt Stary nie ma nic przeciwko temu, że jego siostrzeniec Albrecht Hohenzollern sekularyzuje się i występuje z ordynku wyznawców Kościoła rzymsko-katolickiego.

Owszem, popiera go nawet przeciwko katolickiemu cesarzowi niemieckiemu, który z tego powodu grozi Polsce wojną.

Potężny Zygmunt Stary, w poczuciu swej siły, nie obawia się nawet koalicji cesarsko-apostolskiej.

Stać tego pierwszego szlachcica Rzeczypospolitej na fantazję szlachecką i kaprys, bo innymi pobudkami trudno sobie wytłumaczyć niezrozumiałą, dziwną i krótkofalową politykę pana Polski w stosunku do swego pruskiego sługi.

Za sprawą tedy wiernej córy Kościoła umocnią się w Prusiech — niewierny Rzymowi protestantyzm i ewangelicyzm.

Z jakiejkolwiek bądź strony ocenilibyśmy to zjawisko, tak ciężarne w skutki historyczne, jednym jego istotnym rysem będzie bezkonkurencyjna paradoksalność dziejowa.

W czasie wojny polsko-szwedzkiej za Jana Kazimierza, wasal Rzeczypospolitej, elektor brandenburski

Fryderyk Wilhelm, (der Grosse Kurfürst) łamie swoją i swoich przodków przysięgę, łączy się przeciw Polsce, swej dobrodziejce ze Szwedami, wbijając jej z tyłu nóż.

Tym sposobem nawet te luźne węzły, jakie Polskę z ziemią pruską łączyły, zostały w roku 1660 zerwane. Ci lennicy Rzeczypospolitej kładą podwaliny pod potęgę bismarckowskich i hitlerowskich Niemiec.

Ziemia Mazurska do tej potęgi była odskocznią.

Ziemia wschodnio-pruska miała stać się w przyszłości hitlerowskim „pancerfaust" wymierzonym w serce Polski.

*

* *

Na Rynku Krakowskim ciepłą ręką podarowano Niemcom ziemię mazurską.

Już na Rynku Krakowskim gad hitleryzmu się rodził.

Hołd Pruski był Polski robaczywym tryumfem, klęską Mazurów, a po latach, po latach, Rzeczypospolitej katastrofą.

Hołd Pruski to jedna z największych klęsk Polski przy pozorach sukcesu.

Albrecht oszwabił Rzeczpospolitą udanym hołdem tak, jak Hitler uśpił jej czujność udanym paktem przyjaźni.

Taka tego hołdu wymowa.

XVI.

RZECZYPOSPOLITEJ PASIERBY

Motto:

„Ojczyzno tęskliwa
zalewaj się łzami"

(Mazurska pieśń gminna)

Od pamiętnego hołdu Pruskiego i przeniewierstwa Fryderyka Wilhelma czasu wojny polsko-szwedzkiej różnymi koleinami historii pójdzie życie Ziemi Pruskiej.

Na Warmii ugruntuje się katolicyzm, na Mazurach — protestantyzm.

Rozdarcie religijne będzie tragedią tej ziemi. Ten separatyzm rozłupałby na dwoje jednolity granit etnograficzny szczepu mazurskiego, gdyby nie wspólny pień językowy.

Zaborca wykarczować tego pnia jednak, mimo najwymyślniejszych sposobów, nie zdołał.

Popularny był na Mazurach taki oto wierszyk obyczajowy:

„Nie bierz żony bildowanej, *)
Jak zegarek nakręcanej,
Co się polskiej gadki wstydzi,
A w niemczyźnie wszystko widzi.
To nie żona dla Mazura,
Gospodarza lub dla gbura —
Kto ma rozum, mówię szczerze,
Ten Mazurkę sobie bierze".

A oto już akcent wybitnie patriotyczno-społeczny:

„Czy to z Mazur czy z Poznania,
Choć różne nasze wyznania —
Nikt nam bracia, nie zabroni
Wspólnych sobie podać dłoni".

Zmieniła się religia, zgasła świadomość, a raczej może nie zdołała się jeszcze rozwinąć, ale język wspólny, wspólny obyczaj, pozostały.

Cóż z tego, że zębem germanizmu ten język poszarpany, ze zwyczaj i obyczaj pruskim werniksem pociągnięto, skoro gdy to odskrobać, widać podkład, głęboką warstwę mowy Reya, Kochanowskiego i wspólnego nam obyczaju.

Ziemia ta stała się przedpolem ścierania się dwóch prądów religijnych: katoliczyzmu i protestantyzmu.

Sfery katolickie widzą dla siebie niebezpieczeństwo, stąd też na Warmię idą największe asy kościoła z jezuitą, kardynałem Hozjuszem na czele.

Już w czasie wojny 13-letniej, jaką prowadził Kazimierz Jagiellończyk z Krzyżakami, Warmia odegra poważną rolę.

---

*) Bildowanej, z niem. kształconej.

Biskup von Legendorf, początkowo trzymający z Krzyżakami, odwraca się od nich, nawiązuje kontakt z kapitułą warszawską i wraz z szlachtą warmińską podda się obronie Rzeczypospolitej.

Odtąd Warmia z Polską wiąże się na specjalnych warunkach. Jest autonomiczną prawie jednostką w ramach Rzeczypospolitej pod rządami biskupów, którzy kolejno w liczbie siedemnastu, władając kościelnym tronem biskupim, zasiadali jakby i na świeckim tronie książęcym.

Warmia była perłą w koronie polskiej. Biskupi jej pochodzili z najwpływowszych domów magnackich, byli braćmi królewskimi, jak Batory, ich siostrzeńcami, kuzynami. Otaczali się przepychem prawie monarszym i rozwijali splendor dokoła swej władzy, chcąc zacmić konkurencję księcia pruskiego, którego szkatuła nie sprostała panom na Warmii, książętom Kościoła.

Przepych ten ujawnił się w sztuce kościelnej. Budowano i wyposażano świątynie, popierano sztukę i naukę.

Biskup Waczenrode sprowadza do Olsztyna swego siostrzeńca Kopernika, cieszącego się już wtedy światowym rozgłosem.

Warmiński biskup, kardynał Hozjusz dostępuje najwyższych zaszczytów, jakie kardynał, poza wyborem na Papieża, dostąpić może, bo przewodniczy w jego zastępstwie na Soborze Trydenckim i o mało w czasie conclave nie zostaje papieżem[10]).

Ten blask spływa i na Warmię dlatego, że kościołów tyle, że tyle kaplic, że tysiące krzyżów przydrożnych.

I przyznać trzeba, że biskupi nie żałują pieniędzy. Rozrzutność ta płynie nie tylko z chęci dogodzenia biskupiemu snobizmowi, ale ma także głębszy cel propagandowy: olśnić przepychem i bogactwem ubogie sąsiednie Mazury protestanckie, żyjące pod opieką takich

dziadów, w porównaniu z panami polskimi, jak pruskie Kurfuersty.

Akcja ta jednak była spóźniona. Ludność mazurska już mocno przywiąże się do religii swych książąt, nie słabiej, aniżeli lud Warmii do wyznania swoich biskupów.

Niejako w odpowiedzi na katolicką ekspansję religijną królowie berlińscy ogłaszają się głową kościoła ewangelicko-unijnego i takim kształtem tym mocniej wiążą i uzależniają ludność sobie podwładną z tronem.

Czy to się im udało?

Nie zupełnie, skoro Mazury jeszcze w latach 1890—1914 wykazywane były w statystykach niemieckich jako kraj rdzennie polski.

Dane urzędowe statystyki niemieckiej z roku 1910 co do obywateli, zamieszkałych na terenie Rzeszy tak się przedstawiają:

1.	Do języka macierzystego polskiego przyznało się	1.186.999 osób
2.	Do języka niemieckie i polskiego	133.743 „
3.	Do mazurskiego	194.314 „
4.	Do kaszubskiego	2.387 „

Nie ulega wątpliwości, że statystyka ta była robiona pod kątem widzenia niemieckiej polityki narodowościowej.

Niektóre powiaty mazurskie według ostatnich spisów ludności liczyły 90% i więcej Polaków.

Polaków, nie Mazurów!

Taka jest potęga słowa, mowy polskiej, obyczaju polskiego.

I jeżeli podziw bierze, że katolicka Warmia ostała się polską, tym głębiej zastanawia, że ewangelicki Ma-

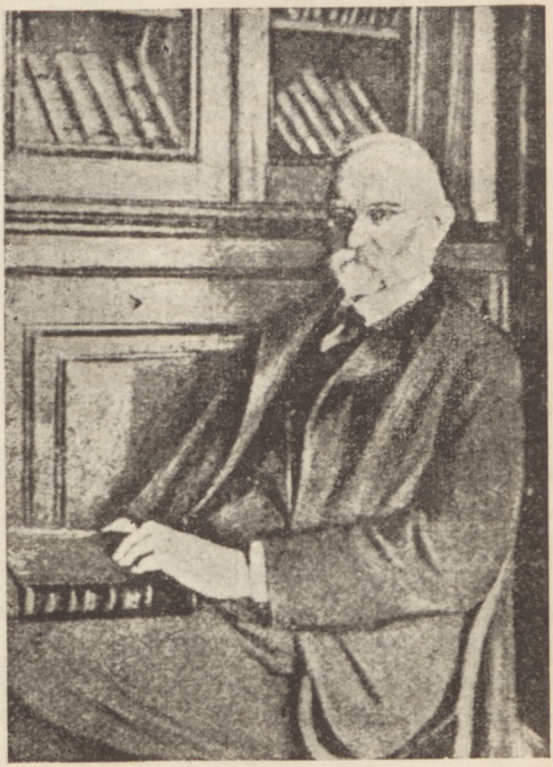

Wojciech Kętrzyński, chluba nauki polskiej, wiedzę swą i serce oddał sprawie mazurskiej

zur, sam może często, nie mając rozeznania, przy Polsce przez mowę swą pozostał.

Pozostał mimo manewrów i sztuczek germanizacyjnych swych pasterów.

Sprawił to cud książki polskiej.

Jakiej książki?

Tą cudowną książką, tą ewangelią Mazura jest kancjonał, czyli śpiewnik mazurski Jerzego Wasianskiego, od dwustu lat do ostatnich czasów używany przez Mazurów podczas nabożeństw.

Ten kancjonał od kołyski do trumny towarzyszy Mazurowi.

Nowonarodzonemu dziecku kładą go pod główkę, by uchronić od uroku, kładą również u śmiertelnego wezgłowia Mazura ,iżby go dobry duch, Kołbóg na tamtym świecie prowadził.

Całe życie mistyczne i religijne Mazura jest w tej księdze.

Kancjonał ten to jakby dowód osobisty polskości Mazura.

Nie mogąc na razie uderzyć w Kościół Katolicki, Niemcy gotują cios Kościołowi ewangelickiemu.

Ażeby większy nań wpływ uzyskać król pruski w r. 1817 poleca przeprowadzić unię wyznań i sekt ewangelickich, a sam staje na czele jako ich głowa.

Tak powstaje „Kościół unijny" (zwany urzędowo: „Preussische Landeskirche").

Polscy księża ewangeliccy nie podporządkowali się unii, wystąpili z niej, albo całe życie prowadzili z nią walkę pod skrzydłami kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Lud mazurski w wielu miejscowościach przywiązany do mowy swych praojców nie chciał chodzić na niemieckie nabożeństwa i kazania.

Starzy Mazurzy gromadzą się skrycie po domach prywatnych, modlą się po polsku, śpiewają pieśni polskie i wysłuchują kazań swych przygodnych kaznodziejów, wyrosłych z ich gromady.

Jednym z natchnionych gromadkarskich kaznodziejów samoukow był Bogumił Leyk*).

To nazwisko zrośnie się trwale z dziejami męczeńskiej i poniewieranej ziemi mazurskiej.

Kaznodzieją z bożego przyzwolenia był również Reinhold Barcz*), postać ujmująca pogodą ducha, dobrym, ewangelicznym stosunkiem do ludzi.

Życie tych gromadkarzy wybijało się wysoką postawą etyczną.

Miałem sposobność być na takim nabożeństwie tych „Gromadkarzy", jak się w swej skromności nazywali.

Zdało mi się wówczas, żem się obudził w czasach apostolstwa pierwszych, prymitywnych chrześcijan, a tak nieskończenie chrześcijańsko pełnych i w ludzkim pojęciu tak doskonałych.

Z niejednym z nich rozmawiałem i wspólnie kilka godzin przebywałem w ich towarzystwie.

Byli radzi memu przybyciu. Stałem się dla nich gońcem od Polski, choć daleki byłem od tego, ażeby tak szczytną misję sobie przywłaszczać.

Wypytywali o Warszawę, o szczegóły nie raz takie naiwne i nieważne z mego punktu widzenia, a takie ważne dla nich.

Warszawa, zaledwie 100 kilometrów od ich granicy położona, tak bezgranicznie leżała daleko.

Bo to nie była granica. To było coś gorszego — kordon!

Pruski kordon sanitarny przed polską książką, przed polską pieśnią, przed tą polską... „zarazą".

Bo łatwo tych poczciwych Mazurów było tą Polską „zarazić".

Nie powiem, żeby Polską jako całym systemem gospodarczym, czy społeczno-politycznym byli oczarowani. Cywilizacja berlińska, z wszelkimi wygodami powszedniego dnia, bardziej im przemawiała do smaku, aniżeli polska, często nieporadna, improwizacja.

Kiwali głowami, gdym mówił, że Gdynia, że Centralny Okręg Przemysłowy, że to i inne.

Ale oni wciąż swoje:

— Jo, rychtyk, ale wy nama lepsi zaśpiewajto po waszemu, po warszawsku.

I dopiero pieśń i słowo polskie, mimo, że tak niedołężnego miały we mnie delegata, zrobiły swoje.

Wzruszały!

Krążyły pękate kufle „psiwa" jeden za drugim, trącaliśmy się i pili na zdrowie Polski.

Nie nawykły do takiej masówki „piwiarskiej", zdrowie Polski okupiłem nazajutrz własną niedyspozycją.

Co robić? Nie wypadało. Zresztą czego się nie robi... dla ojczyzny!

Musiałem też przemawiać, a jakże.

— Fajnie mówzicie, — słyszałem z prawa i z lewa pochlebną opinię biesiadników.

— Et, wam się tylko tak wydaje, — sadzę się na skromność.

Oponują grzecznie:

— Fajna wasza mowa, nie taka jak nasza, wy mówzita tak po warszawsku „hochpolnisch", my tak sobie „platujem" po polsku.

Pomyślałem sobie w tej chwili, że i Rej i Kochanowski też chyba „platowali", skoro mowa tych poczciwych

ludzi w niednym tak żywo przypominała arhaizmy Jana z Czarnolasu.

Oni tak podświadomie łaknęli czegoś, co im mówiło o Warszawie, o Polsce.

Jeden z nich tylko, dość widocznie mając w czubie, nie mógł się nadziwić skąd ja potrafię mówić tak prawie „dychť" po mazursku.

Powiedziałem mu, że w całej Polsce wszyscy tak po mazursku na codzień gadają, od dozorcy począwszy do samego prezydenta włącznie.

Kiwał głową i rzekł po namyśle:

— Niemiecka mowa nie jest taka.

A po chwili dodał z melancholią:

— Żebyśta jeszcze — mieli naszą wiarę... tobyśta byli „dychť" jak my, Mazury.

Nie miałem już czasu na wykład, że ten germanizm „dychť" tak samo jest w użyciu na polskim, jak i na pruskim Mazowszu, że wzajemne oddziaływanie językowe były tak w złem, jak i w dobrem dość częste itd.

Kontakty te zerwał dopiero hitleryzm, a był przecież czas, że pielgrzymki pobożnych spod Mławy, Ciechanowa, Przasnysza, Makowa, chodziły bez przeszkód przez granicę do Gietrzwałdu, miejsca cudami „słynącego" na tak zwane „Łosiery", czyli ofiary pątnicze.

Chciałem, odwzajemniając się za komplement pod adresem mej mowy, powiedzieć, że ich dialekt mazurski bardzo mi się podoba, że w swej staropolszczyźnie stwardniały lśni antracytem nieporównanej wartości.

Dałem spokój, bo by sądzili, że się z nich naśmiewam.

A oni mówią piękniej po polsku, aniżeli ja, aniżeli nieraz obcymi naleciałościami naszpikowana mowa inteligencka.

To nic, że pełno w ich narzeczu mazurskim cudzych zwrotów i przybłędów językowych, ale ten tynk pruski prędko da się zeskrobać.

Pozostawimy wszakże taki piękny wyraz jak „słuchanica" zamiast używanego u nas konfesjonał.

Jeśli może być „kazalnica", — ambona, to dlaczegóżby konfesjonał nie miał być słuchalnicą. Ksiądz słucha spowiedzi. Prawda?, że językowo i logicznie i poprawnie, a przy tym pięknie!

O padłej krowie, czy koniu, w ogóle o chudobie mówi się, że „umarł", umarło", natomiast o ludziach — że „zdechli".

Nie wszędzie, ale w niektórych miejscowościach tak mówią.

Brzmi to dla naszego ucha napozór przykro.

Sam słyszałem, jak „dziewka", dziewczyna wyraziła się ku memu wielkiemu zgorszeniu, że „matka dawno już zdechli". „Dziewkę" mamy i u Kochanowskiego — oznacza córkę, dziewczynkę.

W wyrazie „zdechli" nie ma nic, co by obrażało nasze poczucie językowe. „Zdechli" — to znaczy — wyszli z dechem, z oddechem, stracili dech.

Gorzej natomiast jest z nazwami niektórych zapadłych wiosek! Te już na pewno do atlasu geograficznego się nie nadają, gdyż noszą takie nazwy jak: Parzydupki, Zasraje, Zapierdki itp. Wyrazownictwo realistyczne, ale przecież polskie.

Poczciwy Mazur, który się dziwił, że mówię podobnie jak on, nie mógł zrozumieć, że ja i on mówimy po polsku, że jego dialekt pochodzi z tego samego pnia, co dialekt kaszubski, góralski, górnośląski, pomorski, że bodaj bliższy jest przez swą zrozumiałość polskiemu ję-

zykowi literackiemu, aniżeli inne dialekty naszego kraju.

Mazur nie mówi po mazursku. On mówi po polsku, gdyby nawet temu przeczył.

Leksykon Brockhausa i Meyera, a więc źródło chyba w tym wypadku nie podejrzane, z całą szczerością, jak rzadko u niemieckich autorów spotykaną, powiada, że Mazurzy to „polnischer Volksstamm", a więc lud polskiego pochodzenia.

*

* *

Tyle jednak lat życia pod obcym dachem, zdala od rodzinnego, polskiego domu, zrobiło pod niejednym względem swoje.

Niemcy wcześnie odrutowali Mazurów od sąsiedztwa z ich krajem macierzystym. Dorywcze kontakty pątnicze raz do roku nie zdołały na tyle więzi narodowej podtrzymać, ażeby przeszkodzić obcej obyczajowości.

Kordon policyjny przeciwko wpływom polskim stawał się coraz bardziej nieprzenikniony.

Hitler odgrodził łączącą nas z Mazurami miedzę sąsiedzką wysokim... mazurskim murem. Wiedzieliśmy więcej co się dzieje w Chinach, aniżeli na Mazurach.

Na uzasadnienie swej tezy o niepolskim pochodzeniu Mazurów, wskazywali w sposób nieraz zgoła groteskowy, że ludność warmińska i mazurska nie zna kolęd polskich, w dzień Bożego Narodzenia nie jada jak w rdzennej Polsce klusków z makiem, nie zna tradycyjnego opłatka wigilijnego itd.

Nie mogąc podważyć wspólnoty polsko-mazurskiej od strony języka, jęli się podważać obyczaj, tradycję.

Istotnie, niektóre weselne, czy żałobne zwyczaje, obrzędy, są tu nieco różne, aniżeli w innych dzielnicach Polski.

Ale to nic a nic nie mówi o odrębności szczepowej tego ludu, przeciwnie — świadczy na korzyść bogactwa folkloru polskiego.

To raczej my przecywilizowani odbiegliśmy od prawzoru obyczaju słowiańskiego, który na Mazurach dochował się jeszcze w postaci szczątkowej.

Piszę o tym, gdyż byłem uczestnikiem i naocznym świadkiem obrzędu pogrzebowego u pewnej rodziny gospodarskiej, na wsi mazurskiej.

Gospodyni pochowała syna. Dorodny, zdatny, jak to się mówi, chłopak.

Byłem przygotowany na płacz i lament w domu, ciężką żałobę. Syn, i to jedynak. Pozostałe same córki.

I co za spokój! Po pogrzebie, przed posiłkiem i odmówieniu specjalnych modłów za umarłego, zaproszeni goście raczą się kielichem wódki, krążącym dokoła stołu.

Czyż nie miała ta gospodyni więcej kieliszków, szklanek choćby?

Owszem, pełno było tego szkła w tym zamożnym domu. Ale zwyczaj jest silniejszy nad przepisy higieny. Te kieliszki w kredensie dla oka, dla honoru zamożnego domu, ten jeden dla okazania sąsiedzkiej szczerości.

A potem pląsy. Harmonista zasiadł w kącie izby. I ku memu zgorszeniu, matka, poniechawszy żałoby, rozpoczęła taniec z sąsiadem.

Tego obyczaju pogrzebowego, korzeniami swymi tkwiącego w prasłowiańskiej stypie, fale wód germanizacji pochłonąć nie zdołały.

To nie jest więc ziemia Smętka, gdy na przekór śmierci panuje prawo życia.

Mazur jest Polakiem z mowy, obyczaju, krwi, ziemi, kość z kości naszej.

Chciałem powiedzieć tym Mazurom, że gdyby mieli rozeznanie, byliby takimi Mazurami, jak ich bracia, sąsiedzi przez miedzę, na południowym Mazowszu, jak mławiacy, ciechanowiacy, warszawiacy, krewni i skoligaceni z pobliskimi kurpiami i że bardzo prędko zasmakowaliby... w kluskach z makiem.

Ale separatyzm też zapuścił wśród nich dość głębokie korzenie.

W swoim własnym przekonaniu nie są oni ani Niemcami, ani Polakami, są Mazurami.

Krzyżacy ich gnębili, więc chętnie oddaliby się pod opiekę Rzeczypospolitej, o której wiedzieli, że jest łagodna i tolerancyjna, ale ta Polska stała zawsze do nich tyłem, a frontem do wschodu.

Mazur miał żal do Polski, że była mu zawsze macochą. Ta zadra głęboko utkwiła w jego świadomości i przekazana została również w ustnej tradycji.

Na tym gromadkarskim zebraniu mistyków mazurskich wspominano mi hetmana Gosiewskiego.

Trzeba chyba bardzo być oczytanym w historii i mieć dobrą pamięć historyczną, ażeby przypomnieć sobie, jak mało hetman Gosiewski znał topografię Rzeczypospolitej, skoro zapuściwszy się w pogoń za wojskami szwedzkimi, rozbił nieprzyjaciela w r. 1656 pod Prostkami, ale zarazem sądząc, że to kraj nieprzyjacielski zezwolił najemnym wojskom tatarskim, żeby splądrowały, popaliły osiedla wioski i miasteczka mazurskie, mordowały, paliły, a ludność uprowadziły w niewolę.

Stanisław Nowakowski red. „Gazety Olsztyńskiej" zasłużony działacz plebiscytowy

Ks. proboszcz Walenty Barczewski—pisarz, działacz, przywódca ludu warmińskiego

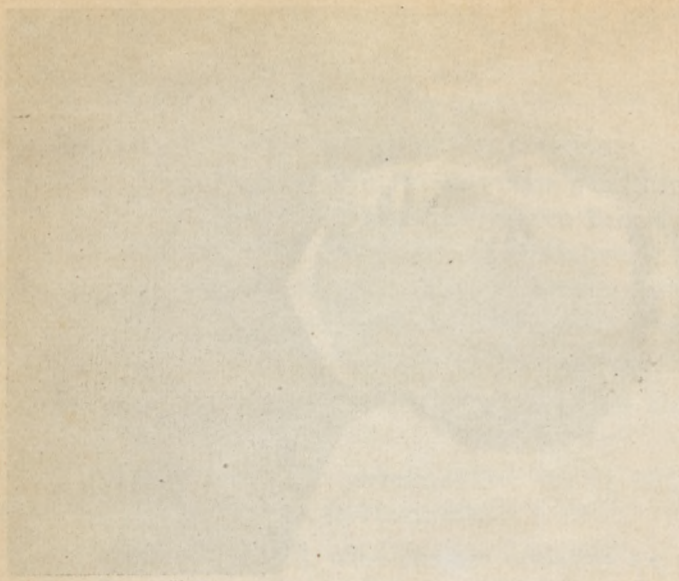

Juścić były to ziemie Kurfürsta, który zdradził swego pana, nieszczęśliwego króla Jana Kazimierza, ale lud przecież zamieszkał tu polski.

Zapiekły musiał to być żal mazurski do hetmana Gosiewskiego, skoro po dzień obecny śpiewają swój horał popularną pieśń „Ojczyzno tęskliwa zalewaj się łzami.

Mazur nigdy nie miał szczęścia do Polski, był zawsze jej pasierbem. Był to kraj polski bez polskiej ojczyzny.

Były to gruzy polskości.

Na tych gruzach w nowej Polsce zakwita nowe życie.

Zwycięski żołnierz polski w przymierzu z żołnierzem Armii Czerwonej przekroczył pruski kordon sanitarny i wyrąbał Mazurom drogę do Polski.

Warmiacy i Mazurzy już nie będą Rzeczypospolitej pasierbami.

CZĘŚĆ DRUGA

I

„NA TROPACH KOŁBÓGA"

Motto:

„Czucie i wiara silniej do mnie mówi,
niż mędrca, szkiełko i oko.

(A. Mickiewicz)

Już dziesięć lat, jak obszył, zapadło się w otchłań niepamięci, gdym po raz drugi stanął na Mazurach.

Mieliśmy wtenczas rok 1936.

Kto z nas wówczas żywych rachował, że na tak małej przestrzeni czasu tak wielka przewali się historia z gigantyczną wojną, z nieczłowieczym cierpieniem?

Kto w najzuchwalszych wizjach, nie będąc prorokiem, a tylko takim szarym, popielatym człowiekiem z ulicy, z tramwaju, z kawiarni, mógł ostrością widzenia wybiec na spotkanie tym dniom, które ku nam przyszły w tak nieoczekiwanej glorii, w takim oszołamiającym tryumfie?

Co pozostało z tego Ostpreussen?

Dziesięć lat, sekunda dziejów, a przecież taki ogrom przeżycia.

*

* *

Przepycha się auto prawie bezgłośnie po czarnym dywanie asfaltu i oto, nieoczekiwanie dla mnie, jadę powtórnie na te Mazury.

Jadę już nie maskując się pozorami, ani tłumacząc się w niemieckiej ambasadzie, czy konsulacie, już nie do Allensteinu za obcą wizą, ale do Olsztyna, do wolnej stolicy ziemi warmińsko-mazurskiej.

Wciśnięty w róg auta, ukołysany miarowym pulsem pracującego motoru, przymykam oczy i otwieram na roścież wrota wspomnieniom.

Jak to też wypadnie tu konfrontacja umarłego wczoraj z żywym dzisiaj?

Czy zastanę tu tych samych ludzi, którzy przed dziesięciu laty dzieje i sprawy tej ziemi szeptem mi opowiadali?

Bo tu po polsku mówiło się przecież z tłumikiem. Sciszona i nieśmiała była tu polskość.

Prawie zdławiona hałaśliwym prusactwem.

Czy zastanę Seweryna Pieniężnego, Kajkę, lirnika mazurskiego, owego zuchwałego Barcza, który „osobistym" był wrogiem Hitlera?

Dopieroż wspomnieniom, a gawędom nie będzie końca.

I chciałbym się zobaczyć ze wszystkimi, wszystkimi, z którymi się na Warmii i Mazurach zetknąłem, z owymi cichego, a gorącego serca robotnikami na niwie polskiej.

Już nie żyją! A żyćby mogli.

Nawet na cmentarz do nich nie pójdę, bo cmentarze ich przeważnie nieznane, bo grobem dla wielu jest dół obozów koncentracyjnych.

Zresztą nie wiem, może który jeszcze się odezwie, może który zmartwychwstanie.

Ślad po nich na Mazurach zaginął. Kto jednak dla ziemi i ludzi pracował, tego ludzie i ziemia nie zapomną.

Nie żyją!

A jakby tu ich wskrzesić, żeby umiłowane Mazury ujrzeli wolne, przygarnięte i pokochane przez Macierz, żeby zobaczyli jak tu Polska do swoich przyszła ze swoim i po swoje.

Nie ma ich! A co by powiedzieli?

Czyby dali wiarę, że to jawa, a nie sen, że ta cała odmiana stanie się tak piorunowym błyskiem, że tu Polska przyszła tak raptem w błyskawicy dziejów, po wiekach nocy?

A jednak nie sen. Rzeczywistość!

Na Warmii i Mazurach cudowna przemiana.

Dziś tu polskość głośna, zdobywcza, triumfująca.

Polska powrotną falą wraca znów w swoje prastare słowiańskie łożysko.

Wsłuchajmy się jak polskością tętni rytm społeczny tej ziemi, jak już krwistym obiegiem krąży życie gospodarcze, jak tu wszystko nasycono polskością.

Przed laty dziesięciu były tu dwie anemiczny żywot wiodący spółdzielnie polskie, tolerowane jedynie przez Niemców na użytek dyplomatycznego pokazu.

Dzisiaj w Olsztynie, Elblągu, Braniewie, Szczytnie istnieją spółdzielnie rybackie ,wszędzie oddziały „Społem", spółdzielnia Mazur, jest teatr, Uniwersytet Ludowy; ba filia Uniwersytetu Toruńskiego, gimnazjum, Instytut Mazurski i szkoły, szkoły.

Pomyśleć jeno, jak szalona odmiana, jaki rozmach zaledwie w kilkanaście miesięcy pionierskiej pracy.

Czyż nie zdumiewające tempo wysiłku?

Mam prawo to powiedzieć, bom widział tu przed dziesięciu laty polskość konającą, a dziś patrzę szerokimi od podziwu oczyma na ten renesans polskości.

Rozmawiam z osadnikami zza Buga, spod Święcian.

— Jakże wam tutaj? — zagaduję, syna śpiewnych kresów.

— Chwalić Boga. Co tu zresztą ukrywać. Z początku było ciężko jak to zawsze na początku bywa, ale dziś mam już konia, dwie krowy, pola obsiane, i co więcej chcieć.

Ten osadnik o przedwojennym Smętku nic nie wie, nie słyszał o nim.

Czy tu dużo Niemców?

Pytanie proste, a przecież skomplikowane.

W przekonaniu statystyki nie ma ich prawie na Mazurach, w opinii ludności napływowej Niemcy nie są jeszcze wysiedleni.

Problem poważny i trudny, najtrudniejszy bodaj do rozwiązania.

Te sprawy załatwia czas.

Ziemia Mazurska na razie fermentuje. Jest to rzecz zwykła.

Przecież Polska przyszła tu tak z nagła, że Smętek całkiem zbiec nie zdołał i jeszcze bruździ.

On się jeszcze kołacze wśród gruzów.

Jeszcze nie zatarte zupełnie są jego ślady.

Ale już się zacierają.

Miejsce Smętka zajmuje stopniowo dobry Kołbóg i uprząta po nim gruzy.

Jesteśmy już na tropach Kołbóga.

II.

CHŁOPSKI BOCIAN NA BEZCHŁOPSKIEJ ZIEMI...

Motto:

„Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
„I rozpiął czarne skrzydła wczesny sztandar wiosny..."

(A. Mickiewicz)

Ziemie Odzyskane, a więc i Ziemia Mazurska żyją na razie odrębnym stylem gospodarczego życia.

Najwyraźniej to się ujawnia w dziedzinie rolnej. Parcelację tu przeprowadza się stopniowo.

Żeby ten proces mógł się odbyć potrzeba dwóch warunków: ziemi, ludzi i sprzętu. Tych ludzi na razie brak, jeszcze większy brak inwentarza i sprzętu.

Osadnictwo się rzuciło na Dolny i Górny Śląsk, na Pomorze Zachodnie, na niezniszczone i dobrze wyposażone tereny przemysłowe i rolniczo-przemysłowe.

A cóż uboga, pocharatana mazurszczyzna?

Toteż Państwo musiało objąć rolę dawnych właścicieli obszarników i przez swych komisarzy, bądź pełnomocników, zająć się zagospodarowaniem opuszczonych i zdewastowanych majątków.

Rozumie się, że jest to tymczasowizna, która ustąpi miejsca z chwilą, gdy spółdzielnie parcelacyjno-osadnicze przystąpią do podziału ziemi między chłopów.

Z wszystkich majątków dawnych junkrów wschodnio-pruskich zagospodarowano zaledwie 40% *).

Jeżeli tę cyfrę będziemy mierzyli skalą statystyki, to nie jest ona imponująca, a skoro przyłoży się do niej miarę organizacyjnego wysiłku, to ten wysiłek jest nadludzki.

Bo czymże był ten kraj po ustaniu działań wojennych?

Ziemią bez życia i bez ludzi.

Tu nawet zwierz i wszelkie inne stworzenie opuściło swoje legowisko.

I zacznij gospodarkę na takiej pustoszy, na gruzach, na takiej smętkowej umarliźnie!

A przecież zaczęliśmy i zaszczepiliśmy nawet już pionierski entuzjazm.

Mogę pisać cyframi i faktami.

Proszę zauważyć, że zaledwie minął rok od ukończenia wojny, a Olsztyn liczy przeszło 40.000 mieszkańców**) i jest już nasycony. Jego pojemność mieszkaniowa zwiększy się, gdy się rozwinie budownictwo i naprawa zniszczonych przez wojnę obiektów.

Z zaludnieniem wsi jest gorzej. Bo cóż mieszczuch-Wziął walizę, czy plecak, zapakował swe „majdany" i już jutro, albo po jutrze wisi, niezdarnymi, lecz jakże rozczulającymi kulfonami, wypisany pionierski szyld: Józef Kawka, szewc warszawski.

Ale Józef Wrona zza Buga, czy spod Rzeszowa nie zapakuje brony, czy pługa do walizy... z taką łatwością,

*) Stan taki istniał w dniu 30.6.1946 r.

**) Przed wojną liczył przeszło 60.000.

Stara Kuspielowa mimo swych 90 lat nawleka igłę nitką i czyta „Gazetę Olsztyńską" bez okularów

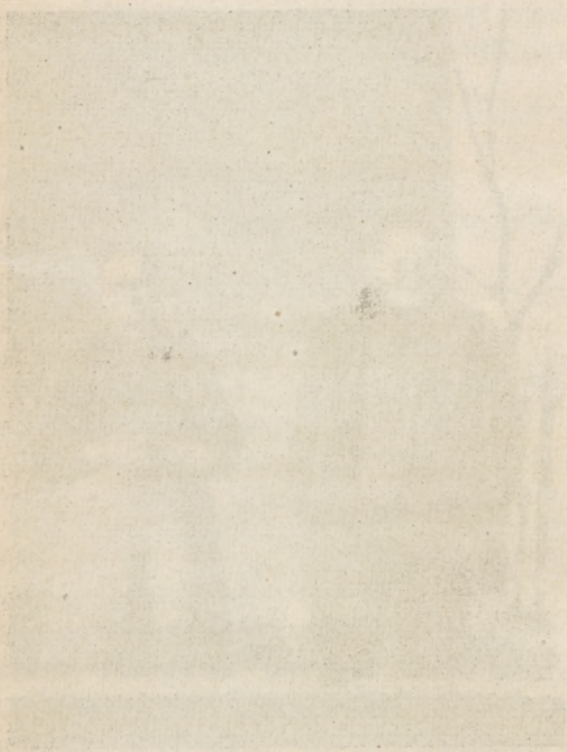

jak Franciszek Krukowski brzytwę, nożyczki i w tydzień po przybyciu ma już rozległą klientelę, poleca się jako fryzjer męski i damski z ondulacją.

W tej proporcji sprawę osiedleńczą szacując, stanie się zrozumiałe, dlaczego miasta i miasteczka na Mazurach są już bez mała w 80% zasiedlone, gdy wieś zaledwie w 40 proc. i to nie mam pewności, czy cyfra ta aby nie jest przesadna.

Lecz nawet i ta cyfra nie jest zaprawiona pesymizmem. Była by taką, gdyby nie to, że ona wciąż pęcznieje rośnie jak zacier na drożdżach.

*

* *

Oderwijmy się od miasta i wyjedźmy w teren.

Dyrekcja Olsztyńska Zarządu Państwowych Nieruchomości Ziemskich poszła, jak to się mówi na rękę mej ciekawości i ułatwiła mi wyjazd w okolicę.

W towarzystwie majora Morozowicza lustrujemy majątki państwowe.

Ale najpierw kilka cyfr.

Dyrekcja Olsztyńska sprawuje zarząd nad 922 opuszczonymi majątkami poniemieckimi w 11 podległych jej powiatach*).

Część tych majątków oddano już spółdzielniom osadniczo-parcelacyjnym, tak, że jeszcze ponad 800 majątków znajduje się w rękach Zarządu.

Niestety, z tych majątków zagospodarowano nie więcej, ponad 160.

Ale w wysiłku, w staraniach, w zapobiegliwości? Praca tytaniczna!

---

*) Stan z roku 1946.

Wszyscy wiemy po jak wyboistej drodze przechodziło życie wojenne Prus Wschodnich.

Ziemia i budynki zryte tu były granatami, kartaczami. Te, które ocalały z pożogi, domagają się naprawy. Obory i stajnie z inwentarza wymiecione. Rozpacz, że ręce załamać.

Nie załamano rąk.

Dyrekcja jęła się syzyfowej pracy.

Co nie było stratowane czołgiem ,zryte żelastwem, wyniesione chciwą ręką szabrowniczych mętów, zaczęto skupiać, inwentaryzować, rozdzielać, zabezpieczać.

Do jednego z takich już majątków zagospodarowanych jedziemy z majorem Morozowiczem.

—A kiedyż wreszcie będzie to wasze cudo, ten Orliniec, — pytam po godzinnej jeździe nieco już znużony jednostajnością smutnego widoku.

Pola puste ,wioski nieme.

Posuwamy się po najbardziej pustynnej okolicy w północnym kierunku, pod Elbląg.

— Zaraz, zaraz, — redaktorze, już tylko miniemy Morąg, to i bliżej celu.

Oto i Morąg, niewielka mieścina. Wóz nasz radośnie wpada na rynek, że to ludzi zobaczył po takim bezludziu.

Gwarno i rojno, bo dzień targowy.

Handel ożywiony. Przy małym, wązkim typowo kresowym wózku, zaprzęgniętym w kudłatego, na pozór nieporadnego konika, któremu nad kołtuniastą grzywą sterczy coś w rodzaju pałąka od kosza, stoi kępka ludzi.

Dobijają ceny o prosiaka. Prosię oczywiście kwiczy bez zdania racji, bo przecież młode, nie zdatne pod nóż.

— Tak panoczku, nie mogę, sam dawszy za niego dwa tysiączka — mówi, jakby lamentował nadbużański chłop.

— I jo ni mogę, człojekoju jesta dzisia ciężko, wy chceta gwałt psijendzy za totego szczura.

Po mowie i akcencie nie trudno się było zorientować, że to się zetknęły dwa odmienne światy regionalne.

Ale tych tubylców, tych Mazurów, czy Warmiaków na rynku znaczna mniejszość. Nad targiem góruje wileńszczyzna swą melodramatyczną i jakby wiecznie zdziwioną mową.

Wioski zachodnie ogromnie się skresowiły; w miastach natomiast przeważnie żywioł z centralnej Polski.

Rodowitych warszawiaków w Olsztynie bodaj więcej niż... w Warszawie.

Olsztyn jest jakby przedpolem stolicy.

Zresztą kogo tu nie ma. Ot, kawiarnia pod firmą „Węgrowianka".

Wchodzimy na piwo, bo na dworze spiekota.

— Pani, to pewnie pochodzi z Węgrowa! — zagaduję właścicielkę podczas, gdy nalewa nam z butelki do kufli.

— A pan skąd wie?

— Po oczach i po mowie. Wszystkie węgrowianki mają takie ładne oczy.

Była ładna, była i młoda, więc banalny komplement przyswoiła sobie z dobrą wiarą.

Roześmiała się aprobująco:

— A co, nie zgadłem?

Śmiejemy się wszyscy troje szerokim śmiechem.

— Czy pani tęskni za Węgrowem, że aż go na szyldzie uzewnętrzniła?

— Nie, już się przyzwyczajam, ale zawsze miło wspomnieć miejsce, gdzie się urodziło, gdzie się miało dzieciństwo.

— A dzieci nie?

— Tu nam urodził się chłopiec, — mówi chełpliwie.

— Brawo, ten to już napewno za Węgrowem nie będzie tęsknił! — uzupełnia mój major.

Sentyment ludzi do dawnego miejsca zamieszkania jest niepokonany nawet latami.

To takie człowiecze. Niekiedy nawet i dobrobyt tej tęsknoty nie ocukrzy.

W Olszytnie np. co krok napis: „Warszawianka", „Wilnianka", Kresowa", szewc warszawski, krawiec poznański itp. Tak samo we wszystkich miastach mazurskich. Co z tego wszystkiego wyjdzie, gdy się ten kocioł regionalny zmiesza, wygotuje? — dzielę się uwagą z majorem.

— Wytworzy się typ nowego fizycznie człowieka. Taka mieszanka dobrze ludzkości robi.

My, w centralnej Polsce, głowimy się nad tym, jak ułożyć współżycie na Ziemiach Odzyskanych różnych grup etnicznych z ludnością z dawien dawna tu osiadłą, rozdzieramy szaty i przejaskrawiamy poszczególne wypadki, tu i tam występujących objawów dzielnicowości, a tymczasem samo życie robi swoje, niepostrzeżenie prawie cichcem, rzeźbi nowe oblicze tego regionu.

Nigdzie statystyka Urzędu Stanu Cywilnego nie ma tej wymowy, co właśnie na Warmii i Mazurach.

To są ciekawe księgi, mimo ,że zawierają tylko nic nie mówięce nazwiska.

To są naprawdę... księgi rodzaju.

Co one mówią tym, którzy umieją w nich czytać?

Mówią, że z każdym miesiącem liczba mieszanych małżeństw wzrasta.

Tak jest w miastach, wioskach, osiedlach.

Chłopcy z Kongresówki, czy Małopolski żenią się z Warmiankami, Mazurkami i na „odwyrtkę".

W tej robocie życia fermentuje świeży zacier.

Porozmawiajcie ,proszę z sołtysem wsi Kajny, gm. Dywity, Józefem Żurawskim.

Wieś jest mieszana, pół na pół. Panuje święta zgoda. O wójcie, człowieku z centralnej ojczyzny, Warmiacy powiadają, że mu i tutejszy nie wart zawiązać rzemyka u trzewika.

Takich, oby więcej, powiadają.

— No dobrze pytam, — a jak tam wedle ożenków, czy młodzież garnie się do siebie?

— O, i jak, — słyszę odpowiedź, — w naszej parafii mamy już nawet i przychówek w kołyskach z rodziców tutejszych i nowoosiadłych.

— To już są mali autochtoni! — określam żartobliwie przychówek, śmiejąc się.

— A jakże, mazurskie pogłowie będzie wzrastało. W sąsiedniej wiosce już dwie wyszły zapowiedzi, jednego milicjanta spod Warszawy z Mazurką i drugie, tylko nie baczę*) czyje.

Śmiejemy się wspólnie, a przysłuchująca się przypadkowo naszej pogwarce młoda, zdrowa blondyna, warmiaczka, ni stąd ni zowąd wtrąca się do rozmowy, ze szczerością tym ludziom właściwą:

— Panie, niech pan z Warszawy przywiezie mi jakiego chłopa! — i śmieje się całą klawiaturą swych białych zębów.

---

*) nie baczę, — nie pamiętam.

— Czyż mało tu warszawiaków na miejscu? — pytam.

— Jest ich świat, ale wszystkie obsiedlone i zajużwojowane przez koleżanki — z podrobionym smutkiem rzecze dziewczyna.

Oj, będzie ciężko, bo w Warszawie chłopów mało, mężczyźni tylko na kartki I-ej kategorii.

— Ot i młodość, chciwe to na ożenek, — kiwa głową sołtys.

Tak, samo życie wypełnia doły i wyrwy niewoli wieloletniej i okrutnej wojny.

Mali osadnicy chodzą z małymi „autochtonami" (co za wyraz!) do szkół. Chodzą z heroizmem, prawie nieraz bez butów, a najczęściej bez ciepłej odzieży.

Bo przed wojną na Warmii kilkanaście było zaledwie szkółek powszechnych, na Mazurach — żadnej. Dziecku, idącemu do szkoły polskiej, w niektórych miastach i miasteczkach nie wolno było pokazywać się na głównych ulicach.

Dziecko musiało przemycać się bokiem, ukradkiem prawie.

Dziś samych przedszkoli na terenie woj. olsztyńskiego jest 207, szkół powszechnych 635, do których co dzień kroczy szerokim frontem blisko 70-tysięczna dywizja małych pionierów Rzeczypospolitej*).

I to wszystko pospołu cementuje jedna tradycja i tych do niedawna zamieszkałych po tamtej stronie miedzy i tych z tej strony zaoranej granicy.

Już nie oddziela nas żelazna kurtyna.

Swobodnie poruszam się po ziemi Smętka, dziś ziemi Kołbóga.

Już jaśniej na Mazurach.

---

*) Stan z roku 1946.

*
* *

A oto i Orliniec, do którego jedziemy z reporterską wizytą.

Orliniec!

Któż mu nadał tak wzruszająco — romantyczne imię? Piękny to majątek, posiadłość magnacka.

To była siedziba jednego ze wschodnio-pruskich junkrów, których przepych i zbytek wyrastał na trudzie i pocie polskich robotników, tłumnie jeżdżących przed tamtą jeszcze wojną światową na „saksy".

Dziś zagościła tu w wyniku drugiej wojny, już wojny wszechświatowej, sprawiedliwość.

Te rozparcelowane majątki służyć będą tym, którzy tu służyli.

*
* *

Dawniej Prusy Wschodnie, ze względu na wysoką wartość pasz, były wielkim rezerwatem hodowlanym.

To pozwalało na hodowlę okazowych gatunków koni, trzody chlewnej. Obecnie konie i bydło należą do rzadkości.

Czyni się nadludzkie wysiłki, aby choć w części wyrównać dawny stan posiadania.

A jakie to zadanie, niech mówią cyfry:

Orliniec w roku 1940 posiadał 103 konie, dziś zaledwie 14, bydła w 1936 roku — 285 sztuk — obecnie — 34. Świń hodowano w 1936 r. — 283 sztuki, dziś — 30 sztuk łącznie z prosiętami.

Takich Orlińców już częściowo zagospodarowanych jest na Mazurach mało. Ale i ten majątek był przejęty w stanie, że się na płacz i przekleństwo zbierało.

I w Orlińcu i w Daniłowie i w tylu innych majątkach zalegała zupełna umarlizna: szczera ziemia i niebo.

A w tej chwili Orliniec ma szkółkę drzew owocowych, założono warzywnictwo na większą skalę, a Daniłowo, istna bombonierka, tonie w kwieciu tam, gdzie było przed rokiem śmietnisko.

I z tej Dośnicy bezludnej, którą zwiedzamy, wyrośnie posażna panna. Teraz jest opuszczonym jeszcze kopciuszkiem, bo brak ludzi oraz inwentarza.

A była tu kiedyś wspaniała rezydencja.

O jej świetnej przeszłości świadczą pobite lustra w złoceniach, stylowe połamane szafy, na trzech nogach kołyszące się ciężkie stoły dębowe ryte w herbach i pokrętnych ornamentach, wspaniały taras pałacowy, na nim poprute wnętrza kanap, otoman, butelki, sprzęty kuchenne, słoma ,jakieś żelastwo, — słowem śmietnik wojny.

Lecz i Dośnica włączy się w proces gospodarczej przemiany.

I w Dośnicy krowa ryknie, pies zaszczeka i repatriancki koń zarży, przybędzie koń drugi, trzeci i jeszcze krowa i druga krowa.

Przybędą ludzie, obsieją, odwrócą zagon pługiem na zimę do góry kożuchem i będzie jej pod śniegiem ciepło.

I ziemia zacznie owocować.

— Wierzę, że tak będzie na przyszły rok? — co majorze?

— Wszystko zrobimy. Ale jeszcze pokażę redaktorowi nasze Daniłowo, mały mająteczek, bo te to olbrzymy po kilkanaście set hektarów.

Wioska rybacka na Mazurach

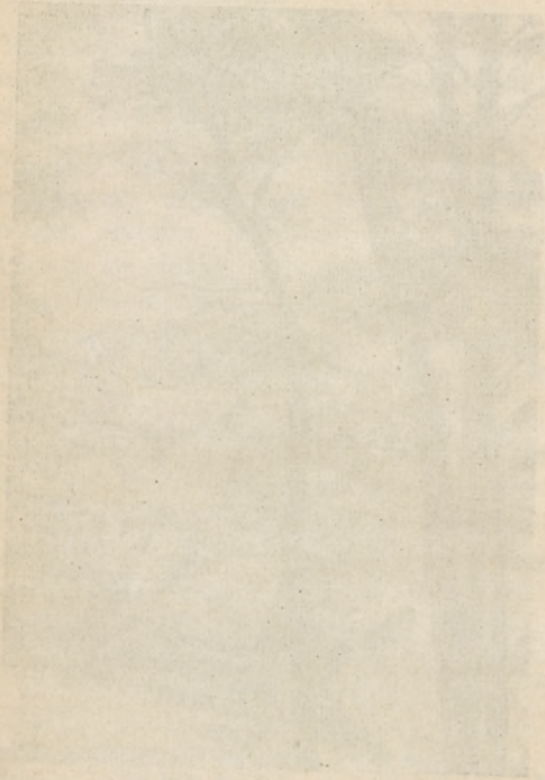

Lustrując Orliniec i Daniłowo, urzeczony byłem tym pionierskim porywem ludzi, którym powierzono maciupeńki skrawek Polski.

Jak oni kochają tę placówkę.

Mówi się tak wiele o egoizmie prywatnego władania, jako sumie szczęścia i osobistego zadowolenia.

A przecież można pokochać własność wspólną z nie mniejszym przywiązaniem.

*

— Malutki! malutki!, a pokaż się panom z miasta, — woła pani P., żona rządcy majątku Daniłowo, gdyśmy oglądali zabudowania i obory.

Ten malutki to pupilek gospodyni.

Malutki przybiegł do nas na znajomy sobie głos zadyszany, chrząkając i merdając węzełkiem swego krótkiego ogonka.

Przedstawił się nam w całej swej półrocznej okazałości.

— Widzę, że pani lubi gospodarstwo?

— Przecież, mój panie, bez prosiaczków w domu tak smutno..

Wracamy do Olsztyna. Zapada już wieczór. Dokoła pustkowie, które zaczyna się zaludniać. Życie już kiełkuje.

Oto jakiś pionier dłubie w ziemi jakimś importowanym z kresów, zabytkowym pługiem, czy sochą, jakiej używał zapewne jego prapradziad w epoce chyba odwrotu Napoleona spod Moskwy.

Orze w krowę, poci się chłopina i krowina, która z trudem udaje konia.

— Skresowił się zachód! — komentuję obrazek oświetlony purpurą zachodzącego słońca.

— Przyjdzie czas, że się uzachodni, — odpowiada major z optymizmem i zarazem opowiada mi a propos „skresowienia" zdarzenie, które wyglądałoby na anegdotę, gdyby nie to, że opowiadający uwierzytelnił ją swym słowem.

— Kupa z tego było śmiechu, ale przed tym to był naprawdę mały problem. Niech redaktor posłucha.

— Mieliśmy na jednym z majątków robotnika — repatrianta.

Poczciwy człowiek: uczciwy, rzetelny, pracowity. Uczciwy, jak przeważnie wszyscy ci kresowi prości ludzie.

Mówię panu, że to bardzo wartościowy element. Z trudem się klimatyzuje, bo warunki, bo otoczenie, technika, postęp.

Wszystkiemu się dziwi. Gdy się sprowadził, dałem mu za pałacem mały domek mieszkalny, oszklony, widny duży pokój, kuchnia, podłoga. Mieszkanie jak się patrzy.

Po tygodniu spotykam go i zagaduję:No, Wańczuk, jak się wam mieszka?

Byłem przygotowany na wylew słów, wyrażających wdzięczność i zadowolenie. Ale chłopisko podrapało się w pokudłaną głowę i nie odpowiedziało ani tak, ani siak.

Myślę sobie, ot wdzięczność! A mógłbym mu przecież dać mieszkanie w szczytowym domu czworaków z wybitymi szybami, z opadającym i zaciekającym dachem, ze zniszczonym piecem, słowem rudera.

Ale mówię sobie, zacne chłopisko, niech pomieszka po ludzku.

Od tego dnia upłynęło sporo czasu. Zapomniałem prawie o tym Wańczuku.

Aż kiedyś, przechodząc około tego domku, patrzę w okna, zaglądam do mieszkania przez szybę — pusto.

Coś mnie tknęło. Wchodzę od sieni do izby. Nikogo! Jakby wymiótł.

Czy gdzie wywędrowali na inne miejsce? Bo to się często zdarza, że osadnik, repatriant, nieraz sam nie wie, czego chce i wciąż szuka czegoś lepszego, korzystniejszych warunków.

Czyżby Wańczuk szukał czegoś lepszego?

Kazałem Wańczuka zawołać, chcąc sprawdzić co jest.

Wańczuk zjawił się z miną zafrasowaną, nie wiedząc, czego by administracja od niego chciała.

— Wańczuk, powiadam, co z wami, dlaczegoście opuścili wasze mieszkanie, czy za małe, wilgotne, co wreszcie jest?

Wańczuk chwilę pomyślał, coś ważył w sobie, jakby się mocował, wreszcie rzecze z determinacją:

— A bo z tą moją starą ciężko wytrzymać. Za nic nie chce w tej chacie murowanej mieszkać. Powiada, że nie swojo, tak cudzo, nie tak, jak u nas za Bugiem. Przeniesłim się w drugie miejsce.

Istotnie przeprowadzili się do drewnianej, zapuszczonej leśniczówki, stojącej w zaniedbaniu na skraju lasu.

Wańczuk miał dalej do roboty, ale bliżej mu się zdało do tych nadbużańskich stron ojcowych.

Tu jemu i Wańczukowej było jak u siebie. W domku z werandą, z ogródkiem, w cegłach, czuli się nijako.

A ja, — śmiejąc się powiada major, — miałem zamiar uszczęśliwić ich na swój sposób. Nie można więc kogoś przymusić do szczęścia.

Zostawiłem Wańczuka w tej ich nowej kurnej chacie.

— Zobaczy major — powiadam na to — że następne pokolenie, a nawet jeszcze sama Wańczukowa zasmakuje w cywilizacji, na co major przytakująco:

— I ja tak sądzę! —

— A jak z repolonizacją, ilu tu jeszcze Niemców?

— U nas na Mazurach proces repolonizacji dokonał się szybciej, aniżeli na innych terenach wyzwolonych.

Zagadnienie niemieckie w skali lokalnej u nas już nie istnieje. Polska tu mocno się usadowiła.

Na majątkach pozostały jeszcze tylko siły fachowe, potrzebne do obsługi maszyn. Bo te majątki, te latyfundia ziemskie są tak zmechanizowane, że chwilami przypominają warsztat fabryczny.

Odsetek elementu niemieckiego jest znikomy, gdyż inżynier polski, polski agronom, czy mechanik przezwyciężają trudności powojennego życia gospodarczego.

Tu wszystko trzeba było tworzyć i montować na nowo. Zniszczenie było ogromne.

— Ale pola jeszcze puste, — powiadam, wzięty pesymizmem, patrząc na owe olbrzymie płachty ziemi, niegdyś złotej pszenicą, która aż gadała z niebem, a dziś leży zagłuszona jałowizną, chwastami i zielskiem.

I niebo jest smutne, mimo słońca i ziemia markotna, ziemia w gospodarczym znaczeniu niczyja, bezpańska.

Ziemia ta będzie chłopska! — słyszę uwagę majora.

— I z warsztatu kapitalistycznego wyzysku musi się stać placówką społecznego dobrobytu — dodaje.

Na razie wokół przeważnie bezludzie i boląca cisza. Dokoła jeszcze żałość i smętnisko, ale już bez Smętka.

Tędy przechodzili ludzie wojny, teraz przyjść mają ludzie pokoju i pracy.

Niepokaleczone bombami całe chaty, obejścia gospodarskie, otwartymi bramami i oknami zapraszają człowieka:

Niech tu przyjdzie!

I na raz wzrok mój poszedł ku górze i uśmiech wyrwał mi z ust ciepłe słowa:

— Majorze, patrzcie — o, o! tam!

— Co, gdzie?

— A no tam, na prawo, na tej przez pół rozwalonej stodole, widzicie? Bocian!

— Osadnik! — śmieje się major.

— Pewno pierwszy pionier w tej zgruchotanej wiosce, — dodaję.

— Będzie ich więcej!

— Bocianów? — pytam.

— Pionierczyków! — śmieje się major.

I zrobiło mi się w oczach jaśniej a na sercu weselej i ni stąd ni zowąd, przejęty wyskandowałem patetycznie strzęp mickiewiczowskiego poematu.

„Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny.

I rozpiął czarne skrzydła, wczesny sztandar wiosny...".

Wiosny Ziemi Odzyskanej.

Wjeżdżamy do Olsztyna.

III

WESELEJ JUŻ W KRAINIE SMĘTKA

Motto:

Dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom, ani...politykom.

Wproch padła „krzyżacka zawierucha", ale wraz z nią padła i cała gospodarka, wszystek dobrobyt materialny i wszystka kultura rzeczowa ziemi mazurskiej.

Wróciliśmy pogorzelcy na pogorzeliska.

Niemiec zostawiał za sobą pustynię, rąbał meble, niweczył dobro, którego z sobą unieść nie zdołał.

Ogrom zniszczenia wojennego na Pomorzu Wschodnim, optymistycznie ceniąc, można określić na 80%.

Tak, jak ten Orliniec, jak ta Dośnica wyglądało całe piękne województwo mazurskie.

Oto statystyka tego, co tu było, a co jest*).

	Przed wojną	W roku 1946
koni	200.000	12.000
krów	600.000	7.217
trzody chlewnej	800.000	8.361
owiec	100.000	2.229
drobiu	2.700.000	3.983

*) Dane statystyczne z dn. 1 stycznia 1946 roku.

Gdy porównamy liczbę ludności z ilością żywego inwentarza, to dysproporcja z palącymi potrzebami rolnictwa i aprowizacji jest ogromna.

Województwo mazurskie długi jeszcze czas skazane będzie na pomoc aprowizacyjną województw centralnych, zwłaszcza, że odłączono od niego najżyźniejsze powiaty Powiśla jak sztumskie, kwidzyńskie, malborskie i przyłączono do województwa gdańskiego.

Brak sprzężaju, siły pociągowej, niedostateczna ilość traktorów i fachowej obsługi, wszystkie te czynniki składają się na niesamowystarczalność żywnościową tego województwa.

Ten chłop nadbużański, któregośmy widzieli jak orał w krowinę samym sobą, jest jeszcze przedmiotem zazdrości ze strony przesiedleńców, którzy wychodzą w pole z łopatami. Bo i to się zdarza.

To są fakty. To jest naprawdę pionierstwo. Warunki chłop ma twarde.

Dola osadnika nie jest godna zazdrości.

Właśnie tu na tej najbiedniejszej i najbardziej spustoszonej ziemi, jakie odzyskaliśmy, plaga gryzoniów wzrasta do rozmiarów dopustu Bożego, jest jedną z siedmiu biblijnych plag egipskich.

Bezczelność szczurów dochodzi do tego, że w biały dzień pod okiem bezradnych mieszkańców zagrody, defilują sobie po gospodarskim obejściu, a jakby im ziemi było mało wspinają się po ścianach zabudowań, włażąc na sam wierzchołek szopy, lub stodoły.

Szczur jest oswojony tak, jak kura, gęś, z tą tylko różnicą, że się złapać nie daje. I biada małym prosiętom.

Brama pokrzyżacka w Olsztynie

Gmach teatru w Olsztynie zbudowany przez Niemców na pamiątkę „zwycięstwa" plebiscytowego.

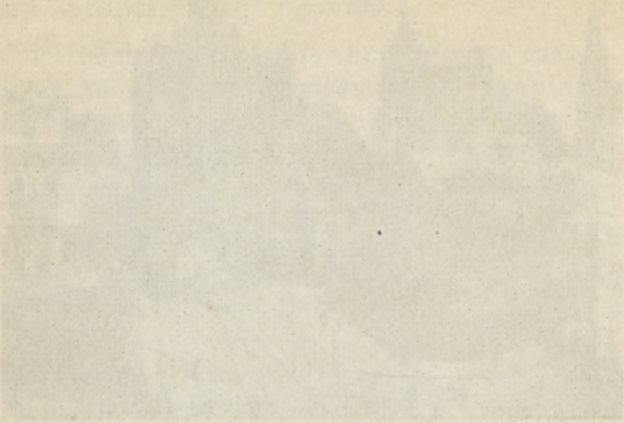

Co więcej, szczur potrafi rzucać się na ociężałe maciory. I wogóle gwiżdże sobie na kota, choćby najcięższej bokserskiej wagi.

Tchórzy tylko przed psem, zwłaszcza pinczerkiem, szpicem, lub owczarkiem. To są katy na tych padalców.

Ale o psy na zachodzie również trudno. Pogłowie ich tak się zmniejszyło, jak pogłowie inwentarza.

Nareszcie nauczyliśmy się cenić psa.

Ta uwaga nasuwa mi się podczas wizyty u jednego z gospodarzy, przesiedleńca, we wsi Pasym, pod Szczytnem.

— Zagraj, chodź tu, do nogi, — woła osadnik Kwiatkowski spod Makowa, przedstawiając mi jednocześnie tego kudłacza.

— A podajże panu redaktorowi łapę. Tak, dobrze, podaj drugą.

Uścisnąłem łapę Zagraja, który zadowolenie swe ze spotkanego zaszczytu wyraził merdając filuternie ogonem i poszczekując ochrypłym barytonem.

Widzicie panie, — mówi Kwiatkowski, chłop na twarzy śniady i ściągły, słusznego wzrostu, — to mój cały pomocnik, bez niego nie wychodziłem orać w pole.

— Bójcie się Boga! Słyszałem, że tu na tych Mazurach zaprzęgacie do pługa krowy, siebie, rodzinę, że ryjecie ziemię szpadlem ale, jak dotychczas nie obiło mi się o uszy, ażeby który z osadników zaprzęgał do pługa psa.

Kwiatkowski się śmieje na całą szerokość swej szczerej twarzy, aż mu zwisłe wąsy poszły do góry pod sam nos i rzecze:

— Orać to ja już orzę w konia. Mam go z przydziału, koń nie lichy. Zorałem i obsiałem 10 morgów, bom późno konia dostał.

— No, a jaka w tym rola Zagraja?

— Zagraj nic, ino latał po polu i co mysz wyskoczy, już ją ma, już ją dusi.

— Musiał dobrze się pożywić!

— Widzi pan, że nie. Jucha taki zmyślny, że mysz zdusi, już leci za drugą, za trzecią, bez wytchnienia. Latał po tym polu z wywieszonym ozorem i szczekał z uciechy. Ale potem to już się zmachał. Odpoczął i znów pędzi jak wariat.

Panie co tu tych myszy polnych było, nie dasz pan wiary. Żebyś pan widział, to całe ich ławice płynęły, czy to w czasie orki, czy żniwa. Tu nie jeden pies, a tysiące takich, jak Zagraj, miało by co do roboty.

Zagraj jakby rozumiał, że o nim mowa, przybiegł w zwariowanych susach i w wilczych swych zębach przyniósł drgającego jeszcze szczura, wielkości kota, jakby na pokaz, jakby chcąc się pochwalić, że jego gospodarz i pan mówi rzetelną prawdę.

— Myszy to jeszcze większa plaga niźli szczury, — mówi frasobliwie Kwiatkowski. Całe moje pole i pola sąsiadów dziurawe jak sito.

Poprzedniego roku z metra zboża zebrałem tylko dwa, a powinienem zebrać sześć do siedmiu. To wszystko zjadły myszy i jakaś zaraza, która się rzuciła na zboże.

Tak się mozoli osadnik-pionier na odzyskanych Mazurach.

Ten trud można by nazwać, jeśli się ktoś lubuje w ozdobnym słownictwie — gospodarczym bohaterstwem.

Czy Kwiatkowski jest zniechęcony?

Kwiatkowski jest uparty, bo powiada: — Stąd się nie ruszę. Latoś jest mi już lepiej, mam konia, krowę,

przychówek, na przyszły rok już będę sadził buraki cukrowe.

Do wiosny będziemy mieli jeszcze marne przeżycie, ale jakoś przeżyjem i mało pomału chłop do dzieci przyjdzie, — zakończył sentencjonalnie zdrową filozofią chłopa, świadomego swej wartości i wartości tej ziemi, którą mu Polska dała do obróbki.

Obróbki! Takich Kwiatkowskich na Mazurach jest więcej, jest ich już gromada.

*

* *

Wszystko od nowa trzeba zaczynać: naprawa mostów, dalsze uruchomienie martwych linii kolejowych, uspławnienie kanałów, odbudowa sieci telekomunikacyjnej i wreszcie odbudowa miast.

To są wszystko czołowe zagadnienia zarówno: odbudowa rolnictwa z uwzględnieniem jego hodowlanego charakteru, jak i reforma ustroju rolnego i akcja repolonizacyjna.

Jak ten ostatni, a bodaj naczelny problem wygląda w cyfrach:

Liczba ludności województwa mazurskiego wynosiła:

	1.4.1946	1.10.1946
Repatriantów	78.044	94.747
Przesiedleńców	147.679	159.675
Mazurów i Warmiaków	65.279	67.552
Niemców	98.472	96.800
Innych	154	232
	389.628	419.006

Przed wojną teren ten zamieszkiwało 970.278 osób.

Chłonność ludnościowa województwa może dojść przy racjonalnej odbudowie spółdzielni parcelacyjno-osadniczych do 1.200.000 mieszkańców.

A zatym wyrasta tu podwójne zadanie: odbudowa i przebudowa ustroju gospodarczego.

Warmia i Mazury — to kraj, który posiada dostateczne warunki, ażeby stać się nie tylko wystarczającym sobie, ale w wyniku zdrowej, celowej i zaciekłej pracy, krajem bogatym, mogącym wyżywić do 2 milionów ludności.

Potrzeba do tego dwóch elementów: wkładu finansowego i zasiedlenia go pracowitą ludnością.

O ten drugi element łatwiej. Chłop polski pazurami wydziera skarby strzeżone przez ziemię.

Dosłownie pazurami . Wtym powiedzeniu nie kryje się ozdobność stylistyczna.

Trzeba te pazury wyposażyć w narzędzia i ziemi trzeba dać nawozu, ażeby dała chleba.

Województwo mazurskie będzie zdolne wyżywić dwa województwa: warszawskie i robotniczą Łódź.

Temu województwu trzeba jednak dać.

Do ut des (daję, żebyś dał). Taka jest żelazna formuła życia.

Niemców stać było na luksusowe alimentowanie Prus Wschodnich, bo to była ich baza uderzeniowa na Warszawę, na Moskwę.

Prusy Wschodnie pochłaniały rocznie około 170 milionów marek subwencyj i różnych dotacyj, a dostarczały zaledwie 16% swej produkcji rolnej.

W odbudowie tej bazy wypadowej przyświecały Niemcom cele strategiczne, o czym świadczy choćby

sieć linii kolejowej (11.000 km dróg bitych, 1.200 km dróg wodnych, 3.000 km linii kolejowych).

My te ziemie podnosimy w widokach służby pokojowej. My przekreślamy poniemiecki kierunek gospodarczy, znacząc własną linię rozwojową, odpowiadającą potrzebom ogólnopaństwowym.

Warunki naturalne gleby i klimatu nadają województwu mazurskiemu charakter rolniczo-handlowy, uzupełniając się odbudową i rozbudową przemysłu lokalnego, związanego z przetwórstwem spożywczym.

Prusy Wschodnie ,które wśród prowincji niemieckich należały gospodarczo do kategorii „D", dziś, gdy tworzą z Polską nie tylko jedność geograficzną, ale i gospodarczą, mają wszelkie dane rozwoju, zwłaszcza jako kraj rolniczy.

Pomorze Wschodnie musi być Polską „A". Mazury nie chcą stać w roli podopiecznych innych dzielnic kraju.

Ale trzeba im pomóc.

*

* *

Rolnik siał tu przeważnie żyto, poza tym jęczmień i owies których przeciętna wydajność z 1 ha wynosiła: żyta 15,8; jęczmienia 21,2 i owsa 20,1%, to jest o jedną trzecią więcej niż przeciętnie w Polsce.

Dobre plony dają oprócz ziemniaków (196,82 z ha), także buraki cukrowe, len, konopie.

Wielka przestrzeń pastwisk sprzyja znacznej hodowli bydła, koni, świń, owiec.

Pomorze Wschodnie jest ziemią na ogół ubogą, a ponadto zrujnowaną. Stąd też w osadnictwie usprawiedliwione opóźnione.

Wynika to też po części z nieznajomości tego kraju, będącego w tak długiej niewoli i tak szczelnie izolowanego od Polski.

Nam się wydaje, że bogactwem tej ziemi są lasy. A tu tymczasem jest inaczej. Już przed wojną Prusy Wschodnie nie mogły dostarczyć Niemcom potrzebnej ilości surowca dla miejscowego przemysłu, który zapotrzebowanie swe pokrywał przede wszystkim w drzewie sprowadzanym z za granicy.

Ogólnie biorąc, lasy nie przekraczają 20% powierzchni województwa. Lesistymi okolicami są tylko południowe i wschodnie tereny.

Nie mając naturalnych bogactw kopalnianych, przemysł, rzecz zrozumiała, nie mógł się rozwijać i przed wojną, tym bardziej trudno go odbudować po wojnie.

Sytuacja bowiem na tym odcinku tak wygląda:

Zniszczenia wojenne w dziale przemysłu metalowego wynoszą 90%, obuwianego i włókienniczego 90%, drzewnego — 80%, energetycznego i cukrowniczego— 50%, materiałów budowlanych 40%.

Ogólnie biorąc uszkodzenia obiektów wynosiły średnio 71%.

Ani jednej fabryki całej nie przejęliśmy w spadku po Niemcach. Wszystko gruzy.

Odbudowę przemysłu, jak i rolnictwa trzeba było rozpocząć od podstaw, wygrzebując urządzenia fabryczne oraz zwożąc z terenu rozrzucone maszyny i remanenty przemysłowe w postaci fabrykatów, półfabrykatów i surowców.

Odbudowa przemysłu napotykała na trudności wskutek nie tylko wielkiego zdewastowania urządzeń,

zgruchotania, bądź spalenia gmachów, ale i wskutek braku fachowców oraz trudności transportowych.

I z tych ruin poczęto się dźwigać.

W niespełna rok po oswobodzeniu*) uruchomiono 30 obiektów przemysłowych, odbudowano oraz naprawiono 1.136 km linii elektrycznej, kosztem około 70 milionów zł. Uruchomiono częściowo elektrownię w Elblągu, cukrownię w Malborku, Rastenborku, w Starym Polu, roszarnie lnu i konopi w Szczytnie, produkującą obecnie 20 ton pakuł miesięcznie, fabrykę maszyn rolniczych w Reszlu, fabrykę drzewa w Pasłęku i Olsztynie, produkujące seryjnie meble biurowe, fabrykę wyrobów blaszanych w Elblągu, garbarnie w Pasłęku i Zalewie, pięć cegielni i kaflarnię.

Ogółem w styczniu 1946 roku włączono w proces produkcyjny 42 zakłady, zatrudniające 5.718 robotników.

Jak na ubogie i zdewastowane Mazury jest to wyczyn nadludzki, wysiłek wzbudzający podziw.

Cztery cukrownie znajdujące się w terenie, mogące przerobić 5.000 ton buraków na dobę, nie mogły jeszcze całkowicie być wykorzystane ze względu na ograniczony zasięg plantacyjny, wynikający z braku osiedleńców oraz inwentarza. Uruchomiono w sumie 40 zakładów przetwórczych na ogólną liczbę 45 istniejących przed wojną.

Przemysł drzewny, z powodu braku kredytów, nie mógł rozwinąć należycie swej działalności. Na globalną cyfrę 200 zarejestrowanych zakładów i obróbki drzewa, zdołano ożywić zaledwie 6 tartaków.

Rolnictwo więc nie nadąża jeszcze za swym przemysłem przetwórczym. Sprawa ziemi jest bowiem znacz-

*) Według danych wojewódzkiego urzędu statystycznego mazurskiego z dnia 1.4.1946 roku.

nie powolniejsza. Odbudowa rolnictwa będzie wymagała dłuższego czasu.

* * *

Nie posiadając bogactw kopalnianych, ziemia mazurska posiada osobliwe bogactwa w licznych jeziorach. Jest to kraj tysiąca jezior.

I przed tą dziedziną gospodarki społecznej ściele się ładna droga.

Jeziora zajmują około 100.000 ha. Dostarczają one takich gatunków ryb, jak szczupak, sandacz, węgorz, leszcz, sielawa, sieja, płotka.

Okręg mazurski produkował przed wojną 4 mli. kg, z czego 240 tys. kg węgorza i 80 tys. sielawy szło na eksport zagraniczny.

Na zarybienie jezior sprowadzono 7,5 ton narybku węgorza.

Największy w Prusach Wschodnich rybny ośrodek przetwórczy znajdował się przed wojną w Braniewie, doszczętnie dziś zdewastowany.

Nad jeziorami mazurskimi pracowało około 2.000 rybaków.

Rybostan tych wód uległ poważnemu zniszczeniu na skutek działań wojennych i rabunkowej gospodarki poszczególnych grup wojskowych.

Obecnie w eksploatacji znajduje się 38.000 ha jezior. Wyeksploatowano:

w październiku 1945 r.	21.000 kg
w listopadzie	30.000 kg

Przed wojną okręg mazurski eksploatował 250.000 kg. Był to maksymalnie możliwy do osiągnięcia poziom w ciągu roku. Najważniejszą przyczyną, która hamuje

Wnętrze kościoła w Gietrzwałdzie, dokąd przybywały pielgrzymki pobożnych

rozwój rybołóstwa na Mazurach jest brak wykwalifikowanych rybaków.

Obecnie pracuje na tym terenie zaledwie 300 rybaków. Natomiast sprzętu rybackiego nie brak.

Stopniowo jednak gospodarka rybna wychodzi z okresu chaosu, a to dzięki powstaniu spółdzielni rybackiej, których jest dotychczas siedem. Zorganizowane one są w Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej i „Rybol".

Wojewódzki Wydział Rybacki rozplanował pracę na przyszłość a jednym z większych zadań jest dokształcanie przez odpowiednie kursy rybaków już pracujących i wykształcenie nowego elementu fachowego.

Poważnym zadaniem będzie zorganizowanie zarybienia dla wszystkich obiektów, celem uzupełnienia strat, poczynionych przez działania wojenne i rabunkową gospodarkę frontową.

Uruchomiono już jedną z trzech wylęgarni sielawy i siei, produkującą 30 milionów kg ziarn ikry.

Specjalnie ważnym odcinkiem pracy gospodarczej i społecznej jest spółdzielczość mazurska.

*

* *

Jak się tu Polska usadowiła na tych swoich zapomnianych dzierżawach, które po tylu wiekach stały się wreszcie jej częścią nierozerwalną.

Spod Smętkowych gruzów wyrasta życie.

IV.

SAMI SOBIE NATCHNIENIEM

M o t t o:

Nie utracić swego domu
Ani ziemi naszej —
Sam nie zjeść kaszy nikomu,
Nie dać się zjeść w kaszy.

Andrzej Samulowski
poeta warmiński

Gdy wspomnieniem ujmę sobie 10 lat życia, a myślą przeniosę się na ówczesne, niewolne Mazury, z przerażeniem widzę, że działy się tam rzeczy gorsze aniżeli Oświęcim, Majdanek, Treblinka.

Te wszystkie potworne akty okupacyjnej zbrodni niemieckiej były wyrazem zoologicznej nienawiści, godzącej w istnienie biologiczne narodu, jednak mimo całego brutalnego systemu bezsilne, ażeby znieść z powierzchni ziemi naród blisko 30-milionowy.

W tej wojnie i w tej walce wyniszczał się także potencjał niemiecki. Ginęliśmy masowo, ale z nadzieją. Na Mazurach nadzieja prawie wyschła.

W tych zmaganiach z wrogiem Polska się wykrwawiała, ale i rodziła mścicieli spod Monte Cassino i na polach Lenino.

Walka na Mazurach z polskością prowadzona chytrze, perfidnie, podstępnie, brutalnie wzmacniała germańskie siły biologiczne i rodziła pruskich janczarów.

Z tych janczarów składały się bataliony uderzeniowe na Polskę, na słowiańszczyznę.

Renegat jest najgorszym okazem człowieka. Tacy odszczepieńcy jak Skowronek, Worgotzki i inni najdotkliwsze zadawali ciosy polskości na Mazurach.

Janczarowie budowali potęgę mocarstwową Niemiec. Dostarczali im w czasie pokojowym uczonych, myślicieli, a w okrecie wojny „bohaterów narodowych", Nowotnych, Kostrzewów, Brauchitschów, Jesionków.

Wytrwaliśmy dzięki Wasiańskim, Barczewskim, Donimirskim, Kajkom, Kętrzyńskim, Pieniężnym, Szczepańskim, Lancom, Linkom, Leykom, Barczom, Samulowskim i tylu, tylu innym.

Jest tych bojowników sprawy polskiej legion.

Czy wielu zna dzieje życia tak światłej postaci, jaką była postać Andrzeja Samulowskiego z Gietrzwałdu?

Ten pisarz, poeta warmiński, społecznik, już na łożu śmierci i w podeszłym wieku, gdy przyjdą go się radzić co zrobić z Mazurami i Warmią, wołał ostatnim tchem swego żywota: Brać siłą, nie czekać!

Niemcy nazywali tego nieugiętego Polaka polskim Bismarckiem. Samulowski cieszył się przyjaźnią samego Matejki. Wielki artysta żywo interesował się życiem Warmii i Mazur, stąd częste Samulowskiego podróże do Krakowa. A odwagę ten Warmiak posiadał nielada, skoro pojechał na odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego do Krakowa.

Taka tu była twarda Polska.

*

* *

Przesiewając w głowie te myśli naraz w kamerze mej pamięci wywołała się klisza obrazu sprzed 10 laty, gdym widział takie oddziały mazurskich janczarów, kroczących z pieśnią „Deutschland Deutschland über alles".

Do dziś tego motywu nam w pamięci ostre, wyraziste zdjęcie.

Może w tym batalionie Hitlerjugend maszerował i Nowotny i Kostrzewa...? komendanci Oświęcimia, Majdanka, którzy mieli zgotować Polsce los starych Prusów, Łużyczan, los tylu szczepów starosłowiańskich, na których kościach wzniesiono Berlin.

I Olsztyn nazywali już „małym Berlinem". Przygotowywali teren i stwarzali odpowiedni klimat duchowy.

„Mały Berlin" na ziemi, która była jeszcze w wiekach XV, XVI kołyską piśmiennictwa polskiego, ogniskiem bujnej cywilizacji polskiej, siedzibą, jednego z najstarszych uniwersytetów europejskich.

Albo jeszcze lepiej „Mały Berlin" na ziemi, gdzie w wieku XIX i XX w wielu wioskach mazurskich po niemiecku się nie dogadało.

Od góry aż do dołów społecznych, do samych trzewi narodu była tu Polska i Polska...

Konająca, ale jeszcze na łożu śmiertelnym, ostatnim tchem agonii szepce uparte zaklęcie:

Wytrwamy i wygramy!

Aż dziw chwyta, że ci ludzie wszystko przetrwali. Kto to sprawił? Cud polskiej książki, gazety, polskiej modlitwy.

Kilka szkółek, kilka świetlic, jakieś tam organizacje gospodarcze, kółka śpiewacze — ot i wszystko, co ostatnią cienką nicią zszyte było z Polską.

Tradycja się przecież nie zerwała, choć już omdlewała i gasła.

Przyszliśmy na swoje tereny i tworzymy renesans polskiej myśli, polskiej kultury .

Dwa lata pracy społeczno-państwowej, gospodarczej. Dopiero kilkanaście miesięcy, a jakiż sukces?

Nie wstydzimy się takiej propagandy, za którą stoi mocna cyfra i sprawdzalny fakt.

Przedwrześniową mocarstwowość przyjęliśmy na słowo i to było wyrazem szczytowego patriotyzmu.

Z takiego szczytu złudzeń, jakże bolesny był upadek na dno rzeczywistości.

Nasza mocarstwowość nie wytrzymała próby czterech tygodni.

Dochodzimy teraz do zdrowia, a że dochodzimy wielkimi krokami już w tym samym jest wielkość polskiego geniuszu.

Ten geniusz jest nam natchnieniem.

Przestajemy być natchnieniem narodów.

Myślimy teraz o sobie.

V

MŁODY LAS

Motto:

Młodość życia jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały —
Choć przemija sama szparko.
Ślad jej dłuta wieczno-trwały.

A. Asnyk

Spośród wielu osiągnięć w dziedzinie repolonizacji ziemi warmińsko-mazurskiej, największe bodaj i najdonioślejsze są efekty uzyskane na polu szkolnictwa.

Nie znaczy to, ażeby wszystko w tej materii było zrobione, ale to pewna, że zrobiono wszystko, co dało się zrobić.

Warmia i Mazury są pokryte siecią szkół, do których uczęszcza 70 tysięczna armia małych pionierów nowej rzeczywistości na terenach, gdzie szkolnictwo trzeba było budować od przyciesi.

W odróżnieniu od innych terenów Ziem Odzyskanych, mazurska kraina tysięcy jezior ma kilkusetletnie bogate tradycje kulturalno-oświatowe.

Szkolnictwo polskie sięga tu odległych czasów, bo aż wieku XVI .Przy kościołach, po wsiach powstają

szkoły parafialne, po miastach nie brak nawet szkół średnich.

W roku 1865 język polski odgrywa w szkolnictwie tylko rolę języka pomocniczego, a nauczyciele chcąc odstraszyć uczniów od języka polskiego, zadają po kilkanaście stron obojętnego tekstu na pamięć, ażeby zadanie było nie wykonalne.

Przeróżne były metody wzbudzania wstrętu do nauki języka ojczystego, począwszy od szyderstwa, ośmieszania mowy polskiej, aż do najwymyślniejszych kar.

Hitleryzm szkole polskiej zadał cios ogromny, ale nie ostateczny. Na Powiślu bowiem, na Warmii jeszcze się tlił kaganiec oświaty.

Na Mazurach już było zupełnie ciemno. Ani jednej szkoły polskiej. Mazurzy stracili zupełnie kontakt duchowy z kulturą macierzystą.

W roku 1928 na terenie ówczesnych Prus Wschodnich nauka języka polskiego odbywała się:

w pow. sztumskim w 10 szkołach — 248 dzieci,
w pow. kwidzyńskim w 1 szkole — 16 dzieci,
na Warmii w 2 szkołach — 22 dzieci.
Razem 13 szkół — 286 dzieci.

Szczytowym punktem rozwoju szkoły polskiej w Prusach Wschodnich po pierwszej wojnie (jeśli to rozwojem nazwać można), był rok 1930/31. Istniało wówczas na tym terenie 20 szkół z 21 nauczycielami i 373 uczniami.

O przyczynach niedorozwoju szkoły polskiej na ziemi Pomorza Wschodniego nie trzeba już chyba się rozwodzić. Są one znane.

I dopiero z chwilą powrotu Warmii i Mazur do Macierzy, szkolnictwo polskie odrazu wzięło dobry start i dziś pochlubić się może wynikami, które przynoszą zaszczyt polskim talentom organizacyjnym.

Kościółek w pobliżu Grunwaldu

Piękny zabytek drewnianego kościoła w pow. ostródzkim

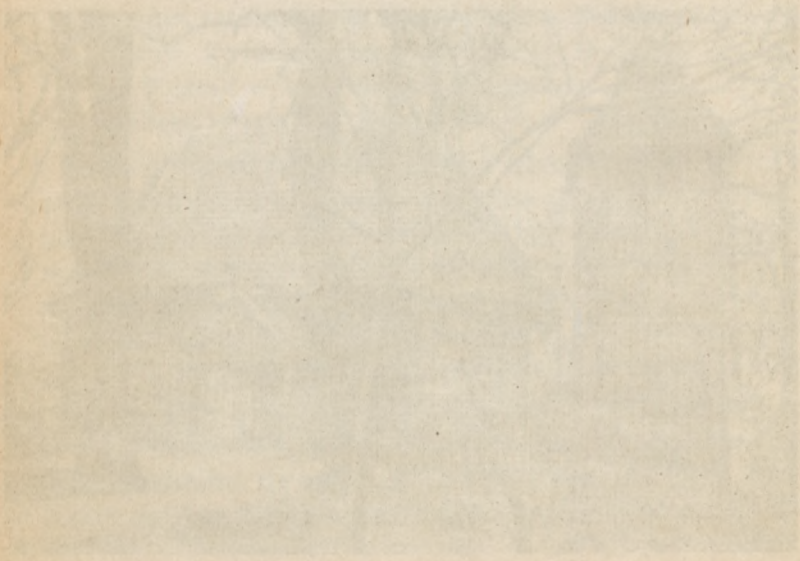

Nie mała oczywiście w tym zasługa Kuratorium Szkolnego w Olsztynie .

Ale pozostawmy zasługi, mówmy o tym, co zrobiono i jakie jeszcze są braki.

Otóż jeśli chodzi o szkolnictwo powszechne, to jego stan w dniu 1 listopada 1946 r. wyglądał:

ilość szkół	1.513
„ nauczycieli	652
„ dzieci szkolnych	56.868

Przedszkoli w tym okresie było 215 i 250 wychowawczyń, 7.132 dzieci, kiedy z początkiem roku szkolnego 1945-46 było zaledwie 35 przedszkoli i 1.050 dzieci.

Istnieją również zakłady kształcenia nauczycieli w Olsztynie, Giżycku, Morągu, Mrągowie, Szczytnie.

W okręgu warmińsko-mazurskim czynnych jest 16 szkół średnich, ogólnokształcących. Uczy w nich 125 nauczycieli, a nauki pobiera 578 uczni.

Rozwija się również szkolnictwo zawodowe. Jest liceum komunikacyjne, gimnazjum stolarskie, szkoła spółdzielcza, liceum handlowe, zawodowe gimnazjum krawieckie, gospodarstwa domowego ,do których uczęszcza 985 uczniów.

To są naprawdę blaski organizacyjne szkolnictwa polskiego w woj. olsztyńskim.

A cienie tego szkolnictwa?

Nauczyciel na Ziemiach Odzyskanych boryka się w trudnych warunkach, tak trudnych, że są one na pograniczu biedy i nędzy.

Nauczyciel zazdrościł zawsze uposażenia przedstawicielom innych zawodów i zawsze z poświęceniem pełni swą służbę.

Na Mazurach ludność tak miejscowa, jak i napływowa jest uboga.

Biedni są przeważnie rodzice biednej, przez wojnę skrzywdzonej Ziemi Mazurskiej.

Tu ludzie nie mają sobie co od ust odjąć, ażeby dać dziecku na kształcenie. Dzieci przychodzą do szkoły obdarte, wymizerowane, bez książek i zeszytów. Te rzeczy są za drogie dla kieszeni ich rodziców.

Widziałem taką szkołę na wsi pod Olsztynem, mieszczącą się w jednej wielkiej izbie, ale w tej izbie brak ławek! Chłopskie dzieci uczą się stojąc, lub siadając na ziemi, na parapecie okna...

Czy nie heroizm ze strony dziatwy i nauczyciela?

I takich szkół na Mazurach i Warmii więcej.

Oto problem szkolny. Czy ma go rozwiązać tylko rząd, który tyle włożył w dzieło odbudowy szkolnictwa?

Czy przywilejem społeczeństwa jest tylko krytyka, bez obowiązku współdziałania?

Młody las na Mazurach musi wzrastać w takich warunkach, ażeby naprawdę mógł „rzeźbić i wykuwać swój żywot" i cały żywot tej ziemi takim „cudem wróconej na ojczyzny łono".

VI

LUDZIE BEZ OJCZYZNY

M o t t o:

Mazuri, ojczyzno moja,
płakający kwiatuszku!
Dusi cię śmiertelna zmora
dusi cię bez przestanku.

Michał Kajka

Każdy obraz składa się ze światła i cieni.

Pomówimy o tych cieniach ze spokojem i rozwagą, jak powaga tego zagadnienia żąda.

Nie wszystko jest tak dobrze i nie wszystko to złe, co tam się stało obciąża konto naszej młodej III-ej Rzeczypospolitej.

Źle by było, gdybyśmy twierdzili, że wszystko tam jest dobrze.

Odwaga kocha się w prawdzie i tę prawdę trzeba wyłożyć.

Tak będzie najlepiej.

Nie wszystko tam, w tej krainie jezior się rymuje, jakbyśmy chcieli.

A dlaczego, skąd i co, że Mazurom krzywda?

Najpierw o krzywdzie nieświadomej, bo nie przemyślanej gruntownie w zakresie planowania administracyjno-ustrojowego.

Województwu Mazurskiemu amputowano razem siedem powiatów: cztery (Kwidzyń, Sztum, Malbork, Elbląg) w dolinie Wisły, i trzy w dolinie Niemna: (Ełk, Oleck Gołdap) i przyłączono do woj. gdańskiego oraz białostockiego.

Powiedziało się już na innym miejscu tej publikacji, że województwo mazurskie ma być nastawione na produkcję hodowlaną, bo taką rolę wyznaczyła jej przyroda. Tereny te nie posiadają bogactw kopalnianych; z tymi bogactwami leśnymi również mitologia, tedy cóż tej prowincji pozostaje? Rola ubogiej krewnej w zespole innych dzielnic polskich.

Jak prowadzić gospodarkę hodowlaną, gdy odcięto pastwiska i cenne tereny pod uprawę roślin pastewnych?

Nie trzeba być agronomem, żeby na to pytanie odpowiedzieć.

Ze wszystkich więc zamiarów, że w przyszłości okręg mazurski miałby się stać okręgiem rozbudowanym według potrzeb rynku wewnętrznego, jak eksport bydła, koni, trzody chlewnej do krajów skandynawskich i bałtyckich — senne marzenie.

Konie wschodniopruskie słynęły w całych Niemczech i eksportowano je aż do Zagłębia Ruhry.

Powiaty nadwiślańskie stanowią poza tym najżyźniejsze tereny Prus Wschodnich i mają najbardziej rozwinięty przemysł.

Odłączenie więc wspomnianych terenów pozbawia województwo mazurskie zasadniczych podstaw samowystarczalności.

Jak wygląda teraz sprawa od strony przemysłowo-handlowej. Okręg mazurski obcięty o 7 powiatów nie będzie zdolny uruchomić zakładów przemysłu spożywczego na skutek niedoboru surowcowego. Straci więc jeszcze jedno z nielicznych źródeł finansowych.

Przemysł rybny oraz drzewny, które uważa się jako podstawowe dla województwa mazurskiego, nie rozwiązuje sytuacji.

Należy tu jeszcze zaznaczyć, że odłączone cztery powiaty Powiśla, na skutek zerwania mostów na Wiśle, przez długi jeszcze okres czasu skazane będą na uciążliwe i okrężne, a więc i kosztowne komunikowanie się ze swą metropolią, Gdańskiem, natomiast w sposób zupełnie naturalny ciążą do województwa mazurskiego.

A teraz rozgryźmy problem od strony ludnościowej.

Sprawy ludności polskiej na terenie Prus Wschodnich, wobec takiej konfiguracji administracyjno-terytorialnej będą się decydowały w trzech ośrodkach dyspozycyjnych: w Gdańsku, Olsztynie, Białymstoku.

Każdy z nich swoiście rozstrzygać będzie sprawy repolonizacji, polityki osadniczej, wyznaniowej itp.

Utrudniona łączność Powiśla prawobrzeżnego z Gdańskiem opóźnia normalizację stosunków w tych powiatach.

Podkreślić należy, że Polacy na Powiślu byli elementem w całych Prusach Wschodnich najbardziej narodowo uświadomionym z uwagi na żywe kontakty z Pomorzem, stąd Powiślanie stali się niejako pośrednikami kultury polskiej dla pozostałych terenów Prus Wschodnich przez swe związki rodzinne i wspólną tradycję z Warmią i Mazurami.

Jeszcze bardziej rażąco wygląda sytuacja w trzech powiatach południowo-wschodnich, przyłączonych do

białostocczyzny, która właściwie nigdy problemu niemieckiego nie znała i którego ludność wykazywać może szczególny brak zrozumienia dla spraw mazurskich.

Obawy te pogłębia jeszcze niebezpieczna różnica wyznaniowa (ewangelicy — katolicy).

Ełk, stolica regionalna Mazurów-ewangelików, ogniskująca przez wieki polski ruch mazurski została dziś, w dobie zwycięstwa Polski, — przekreślona jako takie centrum, ognisko, co staje się ze szkodą dla samorzutnej repolonizacji okręgu mazurskiego.

Postulat polityki repolonizacyjnej tych obszarów obliczony samo przez się rozumie, na dłuższy termin, tym bardziej wymaga jednolitych środków i metod działania.

Przemieszanie środowisk włącza zbyt wiele elementów przypadkowych, utrudniających planową akcję.

Pominięcie tych zasad stwarza obraz w swym absurdzie wyjątkowy: ocalonych Mazurów nie scalamy, wprost przeciwnie, dokonaliśmy rozbioru tej dzielnicy, uderzając w jej historyczność, w jej tradycję.

Kościół rzymsko-katolicki nie poszedł wzorem administracji świeckiej i utrzymał jednolitość wyznaniowego obszaru. Diecezja olsztyńska (warmińska) obejmuje także 7 powiatów, które od woj. mazurskiego odpadły.

Nikt nie zaprzeczy, że Kościół posiada wysoko rozwinięty system organizacji, a poszanowanie i umiejętność operowania elementem tradycji jest osnową jego potęgi.

Dlaczego mielibyśmy jako państwo tym elementem tradycji pogardzać, jeśli nie godzi to w postęp?

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że Mazur jest do tradycji ogromnie przywiązały, że umiłowanie regionu rozwinięte jest do granic wybujałego separatyzmu.

To nie jest takie straszne. Te regionalne prądy odśrodkowe tylko wtedy rozsadzają więź plemiennej wspól-

noty, gdy się jakiemuś szczepowi przymusem narzuca miłość i szczęście.

Naród polski, jak wszystkie słowiańskie szczepy i narody, jest historycznie młody, jeszcze nie zakończył swego procesu fermentacyjnego.

Mazowsze, owa dziś centralna Polska, na początku wieku XV jeszcze nie była Polską w sensie ustroju polityczno-państwowego.

Mazury Pruskie po raz pierwszy w swych dziejach są ścisłym członem polskiego organizmu państwowego, o tym nie trzeba zapominać.

Mazur jeszcze historycznie się nie wyżył. Musimy nawet przymknąć oko, zrobić koncesję na rzecz niewinnych, a tak zrozumiałych przejawów regionalno-separatystycznych.

To wcale nie uderza piorunem w spólny pień życia państwowego.

Tąk samo i tendencje narodowe, nie wyjaskrawione schorzeniami szowinistycznymi, czyż godzą w zasadę wszechludzkiej solidarności?

Nawet Niemcy, ci notoryczni gwałciciele podstaw samostanowienia narodów, a przecież do zagadnienia mazurskiego zbliżali się na palcach, subtelnie i wychowywali sobie janczarów i... Bartków zwycięzców, z których napewno niejeden odżegnywał się od niemieckości, jak złe od święconej wody.

Właśnie Niemcy wmawiali Mazurom, że są oddzielnym jakimś narodem, aby ich od Polski odstręczyć i potem połknąć.

My tego wmawiać nie będziemy, bo temu zaprzecza wspólna im i nam podstawa językowa. Ale też nie będziemy ich siłą brać w ramiona, kochać po swojemu.

Tyle narosło między nami krzywd z przeszłości i teraźniejszości, że odbudowa zaufania musi się zrodzić z rozumnej i celowej polityki narodowościowej.

Mazur jest przeczulony swą krzywdą i najmniejsze z naszej strony uchybienie aparatu administracyjnego będzie traktował, jako uderzenie w jego ewangelicką mazurskość.

Na przestrzeni dziejów tej ziemi od zamierzchłych czasów, aż do dni prawie dzisiejszych ściga Mazura krzywda i zbrodnia.

Krzywdzili ich Krzyżacy, krzywdzili ich królowie polscy, pozostawiając ich w niewoli germańskiej, skrzywdził hetman polski, Gosiewski, że lament tamtych dni w pieśni Mazura dziś jeszcze odbija się echem, krzywdziła ich Hakata, Bismarck, Hitler, ale najbardziej boli krzywda, doznana od swoich.

Tragiczny szczep polski.

Po siedmiuset latach jarzma pruskiego uśmiechnęła się im szansa.

Marzenia gorących synów mazurskich stały się ciałem i w przedsionku nowej ery życia, pod uśmiechniętym wolnością niebem polskim, ogłuszono ich obuchem słowa: To Niemcy!

Weszliśmy z początkiem wojny na ten obszar jak zwycięzcy do podbitego kraju.

Trzeba jaknajrychlej usunąć osad goryczy.

Mazur nie może być wiecznie bez ojczyzny.

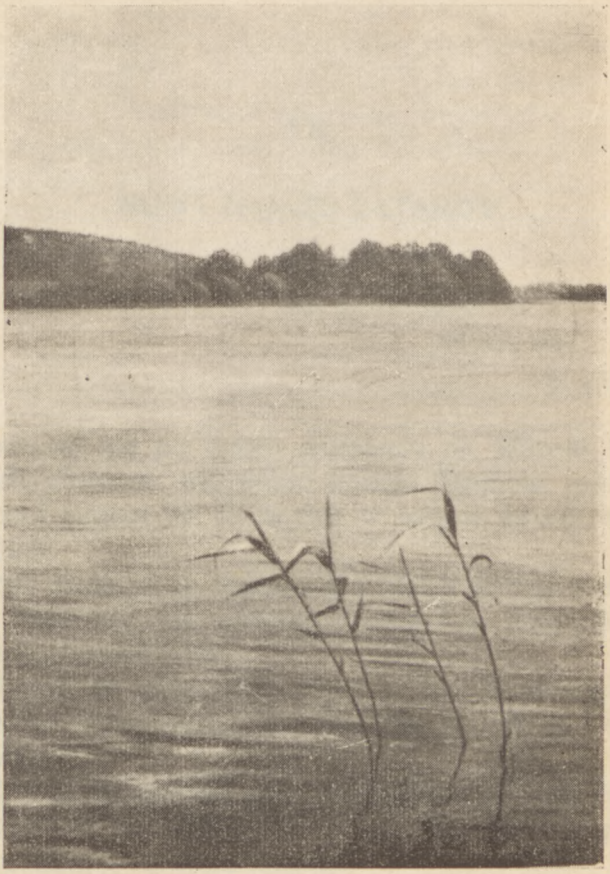

Jezioro Śniardwy na Mazurach z widokiem na Czarcią Wyspę

VII.

NOWY NAJAZD TATARÓW

Motto:

„Od takiej skargi
bieleje włos".

K. Ujejski

Zjawiwszy się po latach dziesięciu na Wármii i Mazurach, chciałem odwiedzić starego Kuspiela, młodego Barcza i zapytać jak im się żyje w ramach nowej rzeczywistości.

Nie mogłem się przepytać o moich starych znajomków. Może nie żyją, a może — co gorsza, żyją rozsiani po lagrach niemieckich.

Barcz, to sobie dałby radę, bo młody, energiczny, odważny. Chciałbym widzieć śmiałka, któryby go nazwał „Niemcem".

On by się potrafił sam „zweryfikować", bez żadnej komisji. Ale ten Kuspiel stary, ten Bar niedołężny, ci „gromadkarze" i wielu innych?

Co z nimi? Nie widziałem ich, nie mogłem z nimi o Polsce pogawędzić. Może poniewierają się gdzieś w Niemczech z kancjonałem Wasiańskiego, odczytują stare pieśni, biadolą i marzą już o tym, ażeby na ostat-

nią drogę życia znalazł się ktoś taki, co im tę polsko-ewangelicką relikwię do trumny włoży.

Czy bym zastał tu Kajkę, gdyby żył? Jeśliby żył, czyby czekał swej kolejki na „repolonizację"?

Chyba by czekał. Bo któż z tych osadników, przesiedleńców słyszał o lirniku mazurskim, Kajce, o budzicielu ducha, poecie i społeczniku Samulowskim z Gietrzwałdu, o rodzinie Pieniężnych? i tylu innych.

Dom, drukarnia „Gazety Olsztyńskiej", ten przyczółek polskiej myśli i narodowego uczucia w gruzach.

I nie ma „Gazety Olsztyńskiej".

*

* *

Wyjeżdżam w teren jak przed laty i nie poznaję. Zmasakrowane miasta, popalone wioski, a co nie zdruzgotane i zgorzałe, dotknięte żywiołową klęską szabru.

Nowi ludzie, repatrianci, osiedleńcy, przesiedleńcy, pomieszane regiony, potasowana ludność miast, wiosek i gdzie niegdzie tubylec Warmiak, Mazur.

Miejscowi ludzie to przeważnie starcy, kobiety, dzieci.

Mazurzy w sile wieku, młodzież, albo po tamtej stronie Odry, albo tu zahukani, zaszczuci, obnażeni przez szabrownictwo, siedzą cicho, napiętnowani jako Niemcy, hitlerowcy.

Jest to potworny rozdział historii wyzwolenia ziemi mazurskiej, który oby nie przeszedł do tradycji, jako drugi najazd Tatarów.

Zła tradycja się trzyma. Będzie to drugie poprawione i uzupełnione wydanie gminnej opowieści o niedobrym hetmanie Gosiewskim.

Rolę Tatarów przejął szabrownik .

Prawda, że władze nasze podobnie, jak hetman Gosiewski, ukróciły samowolę rozpasanego motłochu szabrowniczego, ale pamięć krzywdy pozostanie.

Co tu się wyprawiało, skóra cierpnie.

Oto fakty nie zmyślone, ale oficjalnie przez Komisję Wojewódzką zbadane i zarejestrowane:

Na czele tej Komisji stał człowiek tej ziemi, znany działacz Sowa, świadectwu jego można zawierzyć.

Co Komisja stwierdziła:

W Dąbrowie nie rozplakatowano odezwy wojewody o stosowaniu kary śmierci za akty terroru i rabunku.

Zarząd gminy wykręcał się, że odezw takich nie otrzymał. Komisja znalazła je w piecu.

Podobny fakt zdarzył się w Waplewie.

Bezkarność jednostek spośród osadników posuwała się tak daleko, że wywłaszczano samowolnie Mazurów z gospodarstw, zabierając im inwentarz żywy i martwy, zapasy na zimę, a właścicielom narzucili rolę niewolników, mających pracować na nowego pana.

Komisja kilkakrotnie w swych relacjach podkreśla niski poziom moralny wójtów i sołtysów. Wszystkich Mazurów i Warmiaków traktują narówni z Niemcami.

W wielu wypadkach Komisja stwierdziła, że Mazurzy nie otrzymywali kart aprowizacyjnych.

Zdolni do pracy członkowie wywłaszczonych rodzin brani byli do przymusowych robót w majątkach ziemskich, przyczym stosowany był system krańcowego wyzysku.

Zdarzały się i takie kwiatki, że wysiedlono do Niemiec Mazurów, a Niemców pozostawiono na miejscu. Tak było nie tylko w wiosce Grabin, ale i w wielu innych.

Właściciel sklepu w tej wiosce do spółki z wójtem zrobili „sitwę", w skutek czego miejscowa ludność mazurska nie otrzymywała przez pewien czas przydziałów.

Wyjątkowo zabagnione były stosunki w gminie Szyldek, gdzie na wielką skalę wywłaszczano Mazurów.

Przy wydawaniu zapomóg Mazurom, jeden z wójtów stale się zwracał z napomnieniem: „Dać wam każdemu po 250 batów, a nie po 250 złotych".

Ale to jeszcze nic w zestawieniu z tym łotrostwem, jakie się wydarzyło w tych stronach.

Pewnemu osadnikowi ogromnie przypadła do gustu gospodarka Mazura Zachei. Chąc ją zdobyć, a pozbyć się właściciela na zawsze, łotr podrzuca w zabudowaniach Zachei jakiś stary karabin, i następnie oskarża właściciela zagrody przed władzami bezpieczeństwa.

Zacheję aresztowano. Sprawa się potem wyjaśniła. Było jednak późno. Zacheja zmarł w areszcie.

Burmistrz miasteczka Dąbrowna stał na czele bandy łupieżców. Za jego przykładem utworzyła się również banda w sąsiedniej wsi, w której skład wchodzili sami „luminarze", jak sekretarz magistratu, wójt, nauczyciel. Dorobili się oni już dość sporego majątku.

W gminie „Pietrzylas" ofiarą terroru padł Mazur Sątek. Ludność tubylcza pod takim znajdowała się strachem, że jeden z gospodarzy nie mógł już wytrzymać i powiesił się w przystępie obłędu.

W gminie Miłomłyn, Tyrowo, gminie Biesal i w wielu innych ludność miejscowa zdana była na łup chciwości podłych ludzi.

Wspomniało się tu o tych sporadycznych zdarzeniach w imię historycznej prawdy, która nie znosi retuszu.

Tak, to było w pierwszych dniach zamieszania. Powtórzyła się historia z hetmanem Gosiewskim.

Ale to wszystko przeminęło z wiatrem.

Odpłynęła brudna fala.

Dobry Kołbóg objął władztwo nad tą wiecznie krzywdzoną ziemią.

VIII

POD KĄTEM WIDZENIA „PIERZYNY"

Motto:
Róbmy, co każe duch Boży,
a całość sama się złoży.

Co pan tak żałuje tych „wasserpolaków", przecież to zakute łby niemieckie.

Czy pan był podczas okupacji, zwłaszcza na granicy dzisiejszych Mazur? Widział pan, co ci kochani pobratymcy wyprawiali na Mazowszu? — jednym tchem, nie dając mi przyjść w dyskusji do słowa, pytlowała starsza jejmość, którą przypadkowo poznałem w pewnym towarzystwie.

Była to osadniczka: sklep, pięć pokoi umeblowanych, konie, bryczka, dwie krowy.

— A pani łaskawa z jakich stron?

— Z Polski!

— Czy tu nie Polska?

— To są Ziemie Odzyskane, Prusaki.

— I jak się państwo wśród tych „Prusaków" czują?

— Nie mam nawet czasu o tym myśleć, z mężem jesteśmy tak zaharowani. Rozumie pan, trzeba tu polskość ugruntować.

— Ale co pani ci „Prusacy" zrobili, że się pani odzywa o nich z taką pogardą?

— Jakto co? Czy panu żandarmi niemieccy nie wyrządzili żadnej krzywdy? Bo nas w przasnyskim w domu obrabowali z pierzyn, mebli, usunęli z mieszkania.

Dwóch tych żandarmów mówiło po polsku zupełnie dobrze. Powiadali, że są z Mazur. Przychodzili do nas często po bimber, po jajka, mówiąc śmiesznie: „matka, daj jajka". Nie gardzili i kaczką, gęsią. Musieliśmy się okupywać.

Znajomość przez nich języka polskiego ułatwiła Niemcom robotę złodziejską.

Zwłaszcza tej puchowej pierzyny, mówię panu, nie mogę do dziś odżałować. Przeszukałam tutaj w całej okolicy, nawet gotowa byłabym kupić, ale nie znalazłam.

Takie jest nastawienie niektórych przybyszów do problemu mazurskiego, nastawienie pod kątem widzenia pierzyny, zegarka, mebli.

Za dwóch żandarmów Mazurów, nawet powiedzmy ostatnich drani, musi koniecznie odpowiadać cały powiat ostródzki, albo olecki, wogóle cała Warmia z Mazurami, a „mścicielem" na własną rękę miał być pierwszy lepszy „pionier".

Czy łotrów, wysługujących się Niemcom dla zysku nie było wśród Polaków z innych dzielnic?

A iluż to dzisiaj, udających patriotów i katonów, ordynarnie współpracowało z okupantem?

To wszystko owej „pionierce" spokojnie wyłożyłem.

Oczywiście bez skutku. Na argument „pierzyny" nie miałem kontrargumentu. Owszem, miałem, ale to był dla mojej znajomej argument nie do przyjęcia.

Zespół objazdowego teatru kukiełek p.n. „Bajka", zorganizowany siłami nauczycielstwa na Warmii i Mazurach w roku 1938. Kierownictwo tej placówki spoczywało w rękach nauczyciela Fr. Piotrowskiego

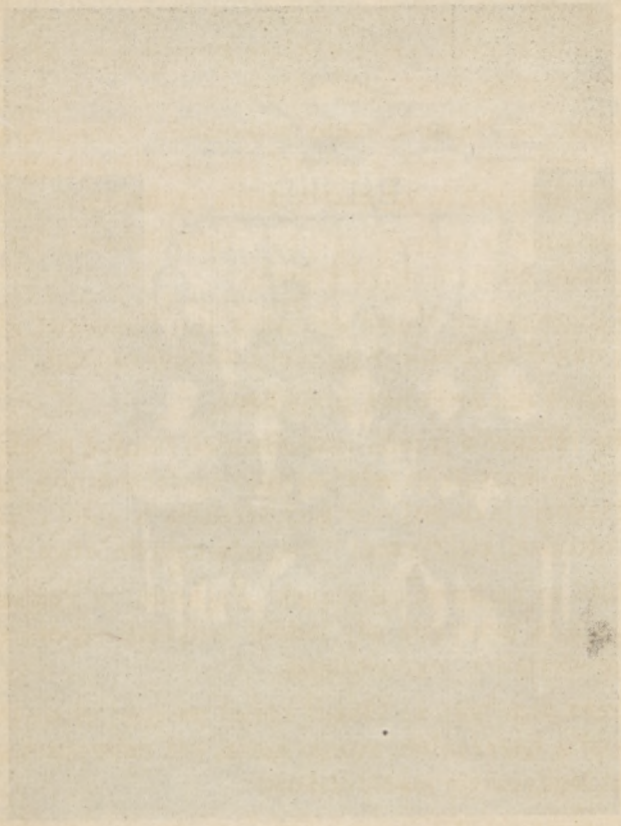

Gdybyśmy wypadki dnia oceniali z szerokiej perspektywy historycznej, największa „pierzyna" nie miałaby wartości piórka.

Nie potrafimy myśleć historycznie.

Zegarek, czy pierzynę poświęcić trzeba nie raz i nie dwa dla tych racji, które dyktuje konieczność dziejowa i wyższy sens życia gromadzkiego.

Żądać od Mazura, żeby pokochał Polskę, gdy tej Polski wcale nie znał, a poznał ją ostatnio z najgorszej strony — jest, jak to się mówi, dziką pretensją.

Zdziwiłoby nawet, gdyby było inaczej, po tylu krzywdach doznanych od Polski.

Wystarczy, że Mazur etnicznie jest Polakiem, choćby się nawet tej Polski wypierał i od niej usuwał.

Trzeba mu tę Polskę przybliżyć.

Nie Mazurów trzeba uświadamiać i uczyć polskości, ale przede wszystkim uświadomić społeczeństwo, czym były Mazury, jaka jest rola tych terenów w całej strukturze społecznej, politycznej i gospodarczej Państwa.

Robi to zasłużony Związek Zachodni w Poznaniu, ale praca ta przerasta siły jednej instytucji społecznej, słabo materialnie wyposażonej.

Przez sam fakt, że Mazur został na swej ojcowiźnie, że został z narażeniem swego życia, już najwymowniejszą jest legitymacją jego polskości.

Przecież władze niemieckie ewakuując te tereny, uprowadzały ludność pod przymusem, grożąc w razie oporu rozstrzelaniem.

Nie egzaltujmy się zbytnio Mazurami — Polakami, nie wpadajmy w krańcowe deklamatorstwo „o niespo-

żytej sile", o „więzi" o ukochaniu przez Mazurów Macierzy itd.

Czułostkowość sztuczna zaciemnia nieraz prawdę obrazu, w najlepszym wypadku śmieszy.

Mazur ostał się przy swej mowie, przy swej ziemi nie pod wpływem propagandy, lecz mocą swego chłopskiego musu trwania przy ziemi i z ziemią.

Czy dawne to czasy w Polsce, gdy chłop nie był jeszcze Polakiem, a dziś nim jest, ba więcej, jest tej Polski gospodarzem?

Procesy historyczne nie odbywają się w warunkach przeżyć jednej doby.

Nie obawiajmy się tego, że Mazur dłuższy jeszcze czas będzie siebie nazywał Mazurem. Ważne to, że on swą dumę szczepową akcentuje po polsku, że czyta swój kancjonał drukowany w języku polskim.

Reszta przyjdzie sama.

Róbmy tylko co każe duch Boży, a całość sama się złoży.

IX.

NA MAZURACH UPRZĄTAJĄ GRUZY

M o t t o:

O, Warnijo, o Warnijo.
Ty ziemnio swento moja,
Krsio mech przodków zlano —
Kędy spojrzę, wszędzie ludno.
Ty prześliczny raju!
Że na Ciebie jak Bóg miły.
Nima w świecie kraju.
(warmińska pieśń ludowa)

*

Ludu Warmiński! I ty śmiesz
po tym zmartwychwstaniu Polski
wątpić w Twoje zmartwychwstanie?
Czekaj cierpliwie i módl się.
Bliski ten czas, który nas połączy.
(Samulowski)

Czyła się dużo egzaltowanych wypowiedzi z patetycznym okrzykiem: Z sercem do tej ziemi!

Juści że z sercem, ale korzystniej byłoby wołać: — z rozumem!

Osobliwie ta rozwaga potrzebna przy traktowaniu problemu „dzielnicowości".

Takiej mozaiki różnorodnych elementów etnicznych, jak na obszarach dzisiejszego Mazowsza Pruskiego nie spotykamy w żadnej innej prowincji Polski.

Już przed wojną na tym niewielkim skrawku ziemi ścierały się trzy regionalne ambicje: Powiślanie (Kwidzyń, Sztum, Elbląg, Malbork, obecnie przyłączeni do woj. gdańskiego), Warmiacy i Mazurzy.

Najbardziej narodowo uświadomieni są przez swe związki z Pomorzem Powiślanie, najmniej Mazurzy z przyczyn, o których się już mówiło.

Warmianie, przywiązani do kościoła katolickiego, osiągnęli taki stopień rozeznania polskiego, że nawet zaciekła propaganda części zniemczonego kleru polskiego tego uświadomienia nie mogła zagasić.

Kościół na Warmii był dla polskości siłą dośrodkową, odśrodkową na Mazurach.

Nie da się więc zaprzeczyć istnienia pomiędzy Warmiakami z jednej strony, a Mazurami z drugiej, pewnego dzielnicowego uprzedzenia, pogłębionego odmiennością wyznań religijnych, choć złączonych etniczną wspólnotą.

Mówi się „Warmiacy", (od Warmian starego szczepu prasłowiańskiego). Ściślej rzecz biorąc jest to taki sam anachronizm, jak nazwa „Prusacy" dla Niemców.

Prusacy właściwie dawno już wyginęli, albo rozpłynęli w innych grupach etnicznych, również i po starych Warmianach nie pozostało śladu.

Ludność południowych części Pomorza Wschodniego jest ludnością, której trzon stanowili osadnicy z sąsiednich ziem mazowieckich.

Wszystko to więc są raczej ziemie mazurskie i stąd słuszna i trafna nazwa „województwo mazurskie".

Gdybyśmy szli dalej nicią tradycji, wtedy ziemie obszaru tego województwa aż po Mławę i Ciechanów

trzeba by zwać ziemią zawkrzyńską, bo stanowiły w XI stuleciu osobne księstwo zawkrzyńskie.

Nie sięgajmy wszakże tak daleko i pozostańmy przy tej tradycji, jaka się utrzymała i wyrobiła.

Pomiędzy Warmiakiem tedy, a Mazurem, poza religią, nie ma zasadniczych różnic etnicznych.

Ale pewna niechęć istnieje. Warmiak uważa się za coś lepszego. W plebiscycie dał za Polską więcej głosów, aniżeli Mazur.

Do tych różnic i niechęci lokalnych doszły różnice napływowe. Repatriant co innego, aniżeli osadnik, czy przesiedleniec.

Poznańczyk akcentuje swoją wyższość wobec Kresowca, Małopolanin boczy się na przybysza z centralnej Polski i odwrotnie.

Słowem regionalna wieża Babel.

W takich warunkach o powody do zadrażnień nie trudno.

Czy to takie niebezpieczne?

Bynajmniej. To się wszystko pomału utrze, zhebluje, zmontuje, ułoży.

Niech się tylko pożenią!

Będzie tak samo, jak było z Gdynią. Już nawet przed wojną począł się na tamtym terenie krystalizować do pewnego stopnia lokalny snobizm dzielnicowy — „My z Gdyni, my gdynianie.

Będziemy także mieli: My, Mazurzy, my z Mazur.

A Mazury nie byle co? Mają przeszłość historyczną, którą im niejedna z dzielnic pozazdrościć może.

I mimo wszystkich ich oporów i zadrażnień proces krystalizacji już się odbywa, powoli, niewidocznie.

Dziwne, a zarazem pocieszające można na tych terenach zauważyć zjawisko. Okazuje się bowiem, że ele-

ment kresowy, ci zabużańscy, ci wileńscy repatrianci, najłatwiej się zżywają z ludnością miejscową.

To potwierdzili mi znawcy i obserwatorzy tutejszych stosunków. Najgorszy element dały powiaty sąsiadujące o miedzę z Mazurami i powiaty centralnej Polski.

Te miejscowości dostarczyły największego szabrowniczego kontyngentu.

Ale ta brudna fala już odpłynęła i wciąż odpływa.

Życie wchodzi w swoje łożysko i będzie biegło nurtem uregulowanym.

*

* *

Asymilacja od dołu samorzutna, jest najtrwalsza.

Już obserwuje się jej objawy. Już poczyna się wytwarzać klimat przyjacielski, braterski sąsiedzki.

Przykład daje i tym razem Powiśle. Promieniowało w okresie niewoli i teraz poczyna oddziaływać zbawiennie na układ międzydzielnicowych stosunków.

Wzorem może służyć sztumskie, specjalnie gmina Nowy Targ.

W tym Starym Targu, jak mi opowiadano, na 900 mieszkańców, rodowici Powiślanie stanowią 80 proc.

Współżycie między nimi a napływową ludnością i repatriantami zza Buga układa się więcej, niż życzliwie. Całej wsi przyświeca jednak myśl przewodnia: dobro gminy.

Obywatel Preis, zamożniejszy gospodarz, nie zawaha się sprząc swych koni ze szkapą Zarębskiego, uboższego od niego repatrianta, ażeby tylko ten zdążył na czas zaorać i zasiać.

To już nie tylko sąsiedzka przysługa oddana gromadzie, ale i Polsce.

W ziemi malborskiej nie odosobniony to model dobrego współżycia ludzi z różnych stron kraju.

I na Warmii i na Mazurach ustępują stopniowo zadrażnienia i niechęci miejsca wzajemnemu, dobremu sąsiedztwu, a nawet braterstwu.

Życie składa się ze światła i cieni. Tego światła będzie coraz więcej, tylko trzeba te mroki sztucznej germanizacji prześwietlić.

A to przez uświadomienie tak jednej, jak i drugiej strony: przybyszów na temat, czym jest Powiśle, Warmia, czy Mazury, jaka jest ich przeszłość i jaki wnieśli wkład do dziejów kultury polskiej, a tubylcom ukazać wyższość naszej kultury duchowej nad niemiecką, zapoznać z prawami naszymi do tej ziemi i wykazać nasze z nimi związki plemienne.

Słowem, niech Mazur nabierze przeświadczenia, że nie jesteśmy tu nowymi okupantami, że Polska tu się nie dokwaterowała przemocą, ale jest współdziedziczką wspólnych dóbr narodowych.

Ten nowy styl życia już się wytwarza w życiu organizacyjnym tak gospodarczym, jak i oświatowym: związki, biblioteki, teatr, organizacje spółdzielcze, szkoły oświata poza szkolna, towarzystwa śpiewacze, kluby sportowe, harcerstwo, związki młodzieżowe, koła P. C. K. i cała ta suma myśli i uczucia prężna i ogarniająca tu polskość.

„Polactwo", jak mówią na Mazurach, rośnie, rozwija się przez książkę.

Kuratorium szkolne zorganizowało przy pomocy Komitetu Narodowościowego kursy wieczorowe dokształcające w rzeczach wiedzy o Polsce.

Jeden z takich kursów prowadzi Halina Donimirska, sama pochodząca z Warmii.

Dobrze się złożyło, że Warmiacy i Mazurzy dostają wiedzę o Polsce z pierwszej ręki, od współziomków.

Osobliwe to są kursy, obejmują skalę wieku uczących się od 16 do 65 lat.

Uczą się czytać i pisać po polsku. Piszą z zapałem na skrawkach papieru. Nie stać ich na zeszyty.

Na takich kursach, urządzonych przez organizacje społeczno-oświatowe, wyrąbuje się w dżungli uprzedzeń wiekowych drogę do Polski.

Tak oto na Mazurach uprzątają gruzy.

*

* *

Wracam któregoś niedzielnego popołudnia z wycieczki terenowej do Olsztyna i tak się złożyło, że wracam tą samą drogą, którą przed dziesięciu laty jechałem z sympatycznym Barczem.

Z dala przede mną, na szosie porusza się jakiś szary ruchomy blok.

Auto nasze dogania maszerujących. Zielono-szare mundury, proporczyki, rogate czapki.

„My hufiec mazurski

„Do boju gotowy!

Szumny śpiew harcerski obija się o ściany gęstego lasu po obydwu stronach szosy i przez las, ustokrotnionym echem wali swobodnie poprzez nieistniejący już graniczny kordon, ku Polsce — jak dobra nowina.

Przypomniałem sobie młodego Barcza. Co by powiedział, czy by wierzył swoim oczom?

Szofer na mą prośbę zwalnia biegu maszyny. Zrównałem się z kolumną. Wychylam głowę i zaczepiam na końcu malca, kroczącego bojowo a zamaszyście, wybi-

Tysiącletni dąb na Mazurach

Okolice Grunwaldu.

jającego nogami pomimo zmęczenia w takt harcerskiego werbla.

— No i co mały, zmęczyłeś się, jak się nazywasz, dokąd tak maszerujesz, pętaczku kochany?

Przeszył mnie zabójczo sztyletem swych ciemnych dużych, przenikliwych oczu:

— Panie, panie, tylko bez pętaczków!

„I pomaszerował dalej!...

Rozumie się, że z „sercem w plecaku" mocno urażonym do mnie.

— O tym, żeby mi wyjawił swe nazwisko nie było już mowy.

Ale to zresztą było mi już obojętne, gdyż poznałem od razu, że członek tego mazurskiego bojowego hufca, należy do awangardy Polski, która nie będzie dostarczała janczarów, nie będzie polską krwią dokarmiała „krzyżackiego gadu".

— Widzi pan — przerwał moje myśli, śmiejąc się ze mnie szofer, — potrzeba to było panu z tym „pętaczkiem" zadzierać?

A po chwili rozgadał się, pytając:

— Jak pan myśli, czy tu będzie Polska?

Odpowiedziałem:

— Tu zawsze była Polska, a zresztą, — dodałem po chwili żartobliwie, — niech się pan spyta tego... „pętaczka".

X

PROCES WERYFIKACYJNY SMĘTKA

Motto:

Nie taki djabeł straszny
jak go malują.

(z przysłów ludowych)

Specjalny rozdział wypadałoby poświęcić Smętkowi, ażeby przeprowadzić jego weryfikację.

Cóż za osobliwa niekonsekwencja, zapyta Czytelnik niniejszej publikacji, zatytułowanej „Na gruzach Smętka".

Jak to tak, z jednej strony bije się podzwonne Smętkowi, ażeby już z gruzów i popiołów nie powstał, a z drugiej — kruszy się kopie o jego rehabilitację, weryfikację.

Sprawa wszakże Smętka jest zupełnie jasna i prosta.

Żeromski Smętka przedstawił z najgorszej, jaką sobie można wyobrazić strony.

Niestety ,wielki pisarz pokrzywdził polskiego Smętka, każąc mu być sprzymierzeńcem teutońskiej sprawy.

A że zrobił to genialnym i nadchnionym piórem, nic też dziwnego, że konterfekt tego pomorskiego djabła

ukazał się nam tak, jakim go autor „Wiatru od morza" chciał widzieć, czy widział.

To czarowne pióro sprawiło, że poczciwa polskiego djabła odmiana regionalna, jakim jest Smętek, przeobraziła się w teutońską postać demoniczną, czyhającą na zgubę ziemi przymorskiej i jej ludzi.

Idąc śladem wielkiego pisarza i Wańkowicz zdeformował oblicze duchowe Smętka pisząc reportaż „Na tropach Smętka"*) i nie troszcząc się o autentyzm regionalny.

Smętek Wańkowicza to jakiś zaprzedaniec, konfident germański, słowem taki volksdeutsch — kanalia, służąca interesom hitlerowskiej III Rzeszy.

„On to — jaki pisał w „Wietrze od morza" — Żeromski — ów Smętek, który przybył ze Skandynawii, wszelkimi sposobami pobudza żądze, psuje krew spokojną, oszustwami i gwałtem uczy łamać prastare zwyczaje łowieckie, rybackie, bartnicze...".

Dowolność poetycka w deformowaniu rzeczy jest z dawna niekwestionowanym prawem twórczych umysłów.

Poeta, artysta, pisarz nie są historykami, których obowiązuje ścisłość i objektywizm przedmiotu.

Żeromski jest w tym wypadku poza krytyką.

A Wańkowicz? Wańkowicz pisał reportaż, a reportażem rządzą inne kanony. W deformacji i dowolności autor owej książki poszedł dalej, bo umiejscowił Smętka tam, gdzie Smętek właściwie nie zaglądał.

Smętek na Mazurach nie był tak znany, jak na Kaszubach, Mazury to domena Kołbóga, ducha jednooso-

*) właściwie powinno być „Na tropach Smantka" — gdyż Kaszubi „ę" wymawiają jak „an" (nosowo) „Niech cię Smantk porwie" — zaklnie Kaszuba.

bowego, przyjmującego na siebie postać dwojaką, w zależności od zadań, jakie ma na ziemi do wypełnienia. Raz jest duchem dobrym, to znów duchem karzącym, złośliwym.

Lecz i Kołbóg, jak i Smętek nie są stronnikami germanizmu, nie sprzysięgli się przeciw Polsce. Są to twory ludowej fantazji tak rodzime, takie polskie. Ale i z Kołbóga Wańkowicz zrobił sługę Smętkowego..., pisząc błędnie „Kołbuk" według niemieckiej transkrypcji.

Zresztą Wańkowicz wyrządził zarówno Smętkowi, jak Mazurom ogromną krzywdę. Przestrzegano go, żeby nazwisk nie podawał, a on dla celów zupełnie niezrozumiałych, ostrzeżenie zlekceważył, choć zdawał sobie sprawę z następstw takiego stanowiska.

Dziś tej krzywdy już się nie wymaże. Stało się. A może pisarz i nie uprzytamniał sobie tego, co robi, skoro w przedsłowiu do swej książki „Na tropach Smętka" (str. 7) pisał na dwa lata przed wojną:

„Niemcy są narodem rycerskim, dostałym historycznie, pełnym żywotnych sił. Nasze dwa narody muszą z sobą rozmawiać bardzo jasno. Jeśli mamy żyć w zgodzie, a czemubyśmy nie mieli powtórzyć tego etapu w historii kiedy od Polski Piastowskiej aż po XVIII wiek kolaborowaliśmy w dziedzinie kościelnej, politycznej, gospodarczej i kulturalnej, to najprędzej przyczyni się do tego zmiana nastawienia pewnych czynników niemieckich do mniejszości polskiej w Niemczech".

Naród rycerski, „kolaborowaliśmy".

Czy ta „kolaboracja", której wyrazem był pakt polsko-niemiecki, wyszła nam na zdrowie, na to odpowiedział chyba jasno ów „naród rycerski w okresie okupacji".

Wracam do Smętka.

Sam pierwiastek tego słowa nie dowodzi, ażeby Smętek, czy Kołbóg wywodzili się ze Skandynawii, ażeby byli potomkami germańskich złych mocy.

Przecież Smętek w swej nazwie ma tyle powiedziałbym nawet liryzmu, tęsknoty, smutku, a nic nie wskazuje na to, ażeby był upostaciowaniem germańskiego ducha.

Smętek, jest wybitnie polskiego pochodzenia, jest niezaprzeczenie tworem wyobraźni poetyckiej ludu pomorskiego.

Hucze się po cmentarzach (smentarz po mazursku), wciąga ludzi w bajora, sprawuje rządy nad topielicami w jeziorach, wyrządza szkody rybakom, jednak na tego szatana jest zawsze jakaś rada, jakieś słowo zaklęcia, znak krzyża itp.

Ale Smętek nie jest zausznikiem landrata, czy gestapo, to regionalny polski szatan, jak djabeł Boruta, Kusy i tylu innych.

Jest niezawodnie wyrazicielem zła, ale nie jest jakimś okupantem ziemi przymorskiej, czy mazurskiej.

O Smętku Żeromski dowiedział się od wielkiego miłośnika morza i przymorza Bernarda Chrzanowskiego, który autorowi „Wiatru od morza" był przewodnikiem po wybrzeżu.

„Wędrowałem"*) — pisze B. Chrzanowski — „nadając" czasami jako „odkrywca" nazwy. Na przykład: grocie w Kolibkach „Grota Marysieńki", polanę w redłowskich wzgórzach, obramowanej białymi brzozami, a z drugiej strony czarnymi świerkami „Dolina Smętka".

Trudno nawet przypuszczać, aby tak płomienny patriota jak Chrzanowski germańskimi symbolami nazwał swą tak piękną dolinę, o której pisze z entuzjazmem.

Dolina Smętka —ileż w tej nazwie uroku, czaru, melancholii, a jak nic z fatalizmu czy demonizmu, zła. A zupełnie już wykrzywioną w hitlerowski grymas postać otrzymał poczciwy polski Smętek Wańkowicza, tym potworniejszą, że umiejscowioną na tle tragedii ludu mazurskiego, miażdżonego w żelaznych kleszczach germańskiego potwora.

Smętkowi przypisano czyny, których nie popełniał.

Rażące dla ucha i fonetycznie po prostu nie zrozumiałe jest zestawienie dźwięcznego, sentymentalnego prawie imienia Smętka z tą rolą, jaką mu każe Wańkowicz odgrywać w służbie swastyki.

Nie, Smętek brzydziłby się taką robotą.

I ta ohydna rola Smętka, podana sugestywnie, zamazała jego polskie oblicze i przyczyniła się do powstania w umysłach polskich germańskiego kompleksu smętkowego.

Odtąd już będziemy pisali, mówili o Mazurach jako o krainie Smętka.

Czas już ten kompleks przezwyciężyć.

Niewątpliwie Mazury smętna to kraina, bodaj najtragiczniejsza z wszystkich połaci naszego kraju, ale nie stało się to za sprawą Smętka takiego, jakim go nam Wańkowicz ukazał.

Na tych baśniach o Smętku i Kołbógu i tylu innych gadkach, przypowieściach mazurskich, jak na fundamencie najtrwalszym zasadzała się polskość duszy mazurskiej.

Wyobcować Smętka z poezji ludu kaszubskiego czy mazurskiego byłoby z krzywdą i dla Smętka i dla samej kultury polskiej.

Śmętka musimy odgermanizować, po prostu przywrócić go do czci i pozwolić mu żyć w pieśni, oraz przypowieści gminnej.

Juścić, że to jest nicpoń, niegodziwiec, jest to zły duch, z którym walczyć Mazur musi, ale przecież życie całe jest walką.

Szkic ten nie jest zatem obroną Śmętka, ale próbą jego weryfikacji.

Nie taki Śmętek straszny, jak go Wańkowicz maluje, bo przeciwwagą dla Śmętka jest dobry duch tej ziemi, bardziej regionalnie mazurski aniżeli Śmętek, Kołbóg, bożek domowego ogniska mazurskiego, który gdy chce, czyni dobrze, a czynić może i źle.

Znajdujemy się w nowym okresie naszych dziejów, na tropach właśnie owego Kołbóga.

Mazurzy nie wymawiają litery „ł" często więc słyszy się Kobóg.

Kołbóg — to bóg stojący w kole lub wśród „kołów". Jest to niezawodnie pozostałość prastarej mitologii słowiańskiej.

Wyobraźnia ludu nadawała Kołbógowi wielorakie postacie, najczęściej jednak jawił się jako ptak, wylatujący przez otwór kominowy.

Kołbóg płatał mieszkańcom domostwa najprzeróżniejsze figle, ale gdy dbali o niego, odżywiali go wedle jego upodobania, stawał się uczynny, dobry i pożyteczny.

Musimy tedy dziś dbać o tego mazurskiego Kołbóga.

Bo dawna Rzeczpospolita o tej wiernej, i garnącej się do macierzy ziemi zapomniała.

Działo się to na przestrzeni tylu wieków.

Musimy natrafić na ślad Kołbóga.

Jesteśmy już prawie na tropach.

Starożytna brama kościoła w Świętolipkach, prześliczna robota warszawkich majstrów

Kilim mazurski z r. 1788

Nie straszny nam Śmętek.

Niech wespół z Kołbógiem świadczą w swych baśniowych opowieściach, tak jak świadczyli pokoleniom mazurskim od prastuleci, że duch tej ziemi przesycony jest polskością i polszczyzną, że żył w pieśni, w baśni i że to mu torowało drogę do Polski.

XI

O, PIEŚNI GMINNA...

Motto:

Pola już bziałe, kłosy się kłaniają
Stworzycielowi cześć i chwałę dają.
(Z kancjonału Wasiańskiego)

Mazur jest zatruty niemiecką propagandą.

Obrazą jednak dla niego byłoby, gdybyśmy go nazwali Niemcem.

W swym przekonaniu czuje się Mazurem.

W procesie krystalizowania się narodowości polskiej, z winy wyłącznie naszej, Mazur zapóźniony jest o całe stulecia.

Posiada on świadomość odrębności szczepowej, jeszcze nie włączonej w nurt dziejów Polski.

To dowodzi, że Polska, jako państwo, jako naród, niezakończyła swego historycznego rozwoju.

Okres Polski dzielnicowej trwa.

Polska, jako państwo, jako naród nawet, jeszcze fermentuje, bo cała jej dawność historyczna jest stosunkowo świeża.

Państwo nasze posiada obecnie szanse naprawienia zaniedbań dziejowych w stosunku do Mazurów.

Zadanie to trudne i łatwe zarazem. Łatwe, bo z mieszkańcami Pojezierza Mazurskiego łączy nas wspólny nurt obyczaju i zwyczaju, języka, legendy, słowem wszystko, co się składa na treść plemienną narodu.

Trudne, bo trzeba przezwyciężyć zastarzałe i zapiekłe urazy, narosłe w historii pokoleń.

Trzeba tych Mazurów, którzy już w XIII stuleciu wędrowali z ziemi Piastów do ziemi puszcz nieobeszłych, jezior niezgłębionych, gdzie zakładali swe Zielonki, Dąbrowy, Olszówki odciągnąć od przepaści i topieli germańskiej. Musimy ich pociągnąć do wspólnoty rodzin słowiańskich słowiańską cywilizacją, tradycją.

Trzeba ich naprowadzić na ślad Kołbóga.

* * *

Wśród ślicznych, owianych tęsknotą wspomnień, baśni i legend mazurskich jest jedna baśń gminna, która zbliża Mazurów do swego kraju macierzystego.

Topielice, świetliki, nawet taki sam, jak nasz diabeł Boruta, a do tego i Konopka, który jako żywo przypomina swymi przygodami naszego pana Twardowskiego, baśnie o Madeju, o Mazurze, co oszukał diabła, czarcie wyspy, w tym wszystkim odzwierciadla się dusza polska w Mazurze, tkwiąca swymi korzeniami w pomroce prasłowiańskich niepisanych dziejów z czasów świętych lip i gajów pogańskim bóstwom ofiarowanych.

A te uroczystości żniwne dożynki („Zazinek-ozinek") jakże nam polski obyczaj przypominają, ze wszystkimi śpiewami, przyśpiewkami z których najstarsza w kancjonale Jerzego Wasiańskiego zamieszczona, rodowodem swym sięga ponoć XVII wieku i tak się zaczyna:

„Pola już białe, kłosy się kłaniają
Stworzycielowi cześć i chwałę dajo
Wołajo: pódźcie sierzpy zapuscajcie!
A Pana chwalić nie zapominajcie.
Cekalim przez rok dobrotliwy Boże,
Pókiś gotował na pokarm to zboże —
Gdy je już dajes, ochotnie zbieramy,
Tylkoć z Twej szczodrej ręki żywność mamy.*)

Wpływy polskie i obyczaj, (niejedne z nich do dzisiejszego dnia przetrwały) tak się rozszerzyły, że Mazurzy ewangeliccy ulegając im, w dzień patrona żniw, św. Jakuba, powstrzymują się od pracy.

Jest to tzw. „odpust mazurski", choć ewengelicy odpustów nie uznają.

Wierzenia i obrzędy na Mazurach nie są jednak tak bogato rozbudowane, jak w innych regionach Polski a to dlatego, że ten region mazurski z życiem duchowym Polski był słabo związany. Wpływy polskie tam nie docierały. Mazurzy żyli resztkami swego prasłowiańskiego kapitału duchowego.

Kołaczą się tu podania nam wspólne i odrębne o upiorach („wieszczych"), zmorach, czarownicach („cioły"), błędnych ognikach, krasnoludkach dobrych, pomagających w domu lub złośliwych i złych, odmieniających dzieci, o wielkoludach tzw. „stolemach", których często utożsamiano z Krzyżakami.

Ale to wszystko są już okruchy, resztki, strzępy podań, wierzeń, baśni i obrzędów.

---

*) Pieśń ta, pochodzi z wieku XVII, a której autorstwo przypisuje się poecie mazurskiemu Bernardowi Rostkowskiemu, znajduje się w kancjonale Jerzego Wasiańskiego i śpiewana była w czasie odpustów jako pieśń żniwna.

Zdumiewającą jest rzeczą, że niektóre obrzędy religijne na Mazurach nie są znane. Na przykład nie znana jest tam choinka, ani wigilia Bożego Narodzenia z opłatkiem, choć przecież choinkę mają Niemcy. Nie ma obrzędu zaduszek, a Święto Zmarłych obchodzi się raczej na Wielkanoc.

Rzecz tym osobliwsza, że nie zna ani choinki, ani opłatka nawet arcykatolicka i pobożna Warmia.

„Nauka" niemiecka te momenty wykorzystywała dla podkreślenia, że Polskę z Mazurami nic nie łączy.

A przecież powołajmy na świadka mądrość narodów, owe przysłowia.

Są one nam i Mazurom wspólne:

„Nowy Rok pogodny, zbiór będzie dorodny".

„Światłość jasna w dzień Wincenta
niesie hojne nam procenta".

„Kiedy styceń najostszejsy, to i rocek najpłodnieszy"

„Kiedy w styczniu mróz panuje,
tedy rolnik wykrzykuje".

„Kwiecień suchy, mokry maj,
będzie żyto jako gaj".

„Burze w maju częste, snopki w żniwach gęste".

„Gdy na psiersy maja śron, obiecuje hojny plon".

„Łubogiemu zitrz zawdy w łoczy zieje".

A nawet wśród przysłów i pogwarek takie typowe jak dla Polski mazowieckiej:

„Siedzi jak na niemieckim kazaniu".

I po tamtej stronie miedzy kazania dla Mazura wygłaszane w obcym języku były niemieckie, a więc... nieme, niezrozumiałe.

Te przysłowia, te pogwarki, baśnie legendy, opowiadane przez lud w czasie długich wieczorów zimowych to materiał, co czeka na zbieracza, któryby to wszystko ujął w kształt poetyckiego słowa.

Wiele z tych skarbów zapadło się w bezdno zapomnienia, pozostałe szczątkowe okruchy legend, baśni, jakie się jeszcze dochowały do naszych dni, czas na światło z mroków niepamięci wydobyć i odświeżyć.

A oto jedna z tych czarujących baśni:

Było to dawno, bardzo dawno. Nieprzejrzane bory pokrywały wtedy cały kraj mazurski a w zapadłych uroczyskach i niedostępnych górach rządziło się złe. Topielice zwabiały człowieka w trzęsawiska i moczary.

Było to królestwo drapieżnego zwierza.

Porwał ci ten zły duch, potępieniec czarci, prześlicznej urody królewnę i w niedostępnym umieścił ją zamczysku.

Królewna całuśkimi dniami zalewała się łzami. Zlitował ci się nad nią dobry Kołbóg i żeby się jej nie cniło, ofiarował jej rękawiczki — samoprządki, — którne przędły ze słomy złoto, takie złoto, jak ona sama.

Królewna nie cieszy się ze złota, ona chce być na wolności, ale złe przemienia się w różne postacie i nie daje Kołbógowi uwolnić królewny.

Aż ten rozjadowiwszy się przybiera na się kształt wspaniałego ptaka i na skrzydłach ze złota i tęczy królewnę unosi.

Królewna wróciła do domu, król uradowany wyprawił jej i pięknemu królewiczowi huczne weselisko.

A w nagrodę zaproszono Kołbóga w kumy.

Wesele trwało 9 dni i 9 nocy.

I ja tam z Kołbógiem byłem, mniód i psiwo piłem...

*

* *

Taka jest osnowa tej pięknej baśni mazurskiej z różnymi oczywiście regionalnymi wariantami.

Takie są strzępy owej legendy, zachowanej w głębokich rejach pamięci mazurskich i warmińskich pokoleń.

A choć to tylko strzępy, przecież trwają dłużej, aniżeli prochy, które gromadzi ziemia, bo żyją z człowiekiem i człowieka przeżywają.

Odzyskaliśmy na Mazurach nie tylko prochy, grobowce, cmentarze, ale człowieka przez pieśń gminną.

To są żywe dokumenty, to są dowody i to jest sól tej ziemi.

O, pieśni, Arko Przymierza...

* *

*

Na gruzach Smętka ocknęło się życie.

Smętkowe tropy zaciera ślad Kołbóga.

„Pola już białe, kłosy się kłaniają!..”

PRZYPISY

P R Z Y P I S Y

1.

ADAM MICKIEWICZ DO KSIĘDZA MROŃGOWIUSZA

Paryż, 24 lutego 1852 r.

Niniejsza odezwa nasza z obcej a dalekiej ziemi niesie Ci w rodzinnym polskim języku poselstwo braterskich i obywatelskich uczuć naszych. Wygnanie, na które od lat tylu skazani jesteśmy, nie odjęło nam na miłości ojczyzny, ani żarliwości w jej służbie, ani pamięci zacnych współziomków, którzy z wiernością w powołaniu swym wzorem się stali.

W długim życiu Twoim, które niech Ci Bóg w zdrowiu przedłuża, byłeś takim wzorem. Sam, śród obcego języka, bez wszelkich ożywczych zachętów, które obecność pracowników na wspólnej niwie wzajemnie sobie udziela, mocą jedynie miłości powołania swego uzacniłeś życie Twoje niezmordowaną, nieprzerwaną owocną pracą około języka polskiego, który dochowujesz w całej jędrności i świeżości jego istoty.

Zgromadzeni w Towarzystwo miłośników rzeczy i pamiątek narodowych, czujemy być obowiązkiem naszym oddać głośny hołd zasłudze Twojej przekonani, że w tym całej Polsce stajemy się tłomaczami, a w naszym akcie nietylko Tobie, ile raczej sobie zaszczytu szukamy. Owóż zapraszamy Cię, Szanowny Rodaku, abyś raczył zostać członkiem Towarzystwa naszego, którego ustawy i sprawozdania do niniejszego pisma załączamy i spodziewamy się, że nam tego oczekiwanego zaszczytu nie odmówisz.

Przy tym zaproszeniu, postanowiliśmy skwapliwie i jednomyślnie ofiarować Ci znak widomy uczuć w załączonym tu upominku wyobrażającym oblicze i zasługi dostojnego męża, którego wiemy, że spólnie z nami uwielbiasz, a który od lat wielu Towarzystwu naszemu przewodniczy. Okoliczność ta nie pozwala Prezesowi naszemu niniejszą

odezwę samemu podpisać. Ulegając z ochotą życzeniu kolegów, poczytuję sobie za miły zaszczyt wolę i uczucia Towarzystwa moim podpisem zaświadczyć.

W zastępstwie Prezesa, członek Rady Towarzystwa Historycznego konserwator Biblioteki Narodowej.

Adam Mickiewicz

2.

MRONGOWIUSZ DO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W PARYŻU

Gdańsk, 15 marca 1852 r.

Gdzie się obejrzę, wszędzie pustki! Nie widzę już owych przyjaciół sprawy polskiej. Zniknęli po części z widowni tego świata. Tylko we śnie wyobraźnia lubi się jeszcze bawić z nimi. Gdy się tak chorowity nudzę i za nimi tęsknię, aliści nadchodzi lube pismo Pańskie z nominacją na członka Towarzystwa Historycznego z drogim upominkiem medalu Szanownego Prezesa Towarzystwa, i przerywa na chwilę myśli melancholiczne.

Z rozczulonym sercem uznaję wielkość obowiązku do wywdzięczania się za łaskawe względy, którymi mnie Panowie zaszczycili. Żałuję, że mój wiek podeszły, w 88 roku życia, i ciągła chorowitość przeszkadza mi być czynnym. Zielony kolor nadziei spełzł nam i powtarzały się częste w życiu owe dzieje Syzyfa, kamień pod górę toczącego.

Któżby nie ubolewał nad losem narodu polskiego. Niewybadane są drogi Pańskie. Ale koniec może być zawsze wesoły.

Z głębokim uszanowaniem zostaje łaskawych Panów moich wielce obowiązany i pokorny sługa

Celestyn Mrongowiusz
kaznodzieja przy kościele Św. Anny

3.

„MAZURY MÓWIĄ PO POLSKU, A NIE PO MAZURSKU"

„Gazeta Olsztyńska" numer 65 rok 1923

„Niedawno pytano się mnie, w jaki sposób można wystąpić przeciwko tym Niemcom, którzy twierdzą, że mowa Mazurów nie jest

mową polską. Wątpimy, aby tacy ludzie dziś się jeszcze znaleźli, którzyby tak twierdzili. Jednakże wszystko jest możliwem. Może się coś podobnego zdarzyć nam przy dopominaniu się o szkoły polskie na Mazurach. Mogą nam powiedzieć, że Mazurzy nie mówią po polsku, lecz po mazursku. Mogą tak powiedzieć ewentualnie Niemcy posłom naszym w sejmie pruskim. A więc zbierać należy materiał i zawczasu ataki wrogów naszych uniemożliwić. Piszemy w tej sprawie i prosimy także Czytelników, ażeby o ile to jest możliwem w tych sprawach głos zabierali.

Gdybym np. był posłem polskim w sejmie pruskim przywlókłbym na trybunę parlamentarną zaraz cały stos materiałów. Gdybym się dopominał o szkoły polskie na Mazurach, zabrałbym ze sobą „biblię" to jest wszystko Pismo Święte Starego i Nowego Poczynienia podług Edycji Berlińskiej z roku 1810 i Gdańskiej z roku 1832 dla pożytku zborów polskich, Ewangielickich za przyczyną Głównego Towarzystwa biblijnego na nowo przedrukowane. Czwarte wydanie".

Biblia liczy około 1300 stron, a więc to wielka księga.

Zabrałbym także leksykony Brockhausa i Meyera, ale nie wszystkie jedynie tomy dotyczące Mazur i Mazurów. Tam bowiem wyraźnie powiedziano, że Mazurzy to „polnischer Volksstamm", a więc polski lud, a jak polski lud nie może mówić inaczej, jak tylko po polsku.

Gdybym był posłem zabrałbym jeszcze więcej materiału. Zabrałbym kilka egzemplarzy Superintendenta Hensela, a mianowicie: „Kalendarz Królewsko-Pruski ewangielicki na rok 1920". W kalendarzu tym znajduje się bowiem 5 prześlicznych piosenek ludowych mazurskich nadesłanych wydawcy przez pewnego rodowitego Mazura. Pieśni te przekonywującym dowodem, że Mazurzy mówią po polsku i są Polakami.

Zabrałbym także Postyllę Dombrowskiego, zabrałbym kilka numerów „Pruskiego Przyjaciela Ludu" z pieśniami z warszawskiego śpiewnika dla ewangielików, zabrałbym olbrzymią pakę, gdyż wiem, że Niemcom bismarkowskim, zaimponować mógł jedynie taki dr Niegolewski rzucając Bismarckowi pod nogi pęk dokumentów z okrzykiem: „Hier sind die Beweise!" (Oto dowody).

Pokazałbym Niemcom te wszystkie księgi i zapytałbym się, czy jest jaki poseł w tej sali, naturalnie Niemiec, który zna język polski i który umie czytać po polsku. Kazałbym mu czytać. Gdyby te księgi i czasopisma nie były polskiemi, natenczas żaden Niemiec znający język polski nie mógłby przeczytać ani słowa. Nie dość na tem. Przyprowadziłbym jako poseł na trybunę parlamentarną Superintendenta

Hensela z Jansborka i zapytałbym go się, gdzie się podziała jego ciekawa broszura „Unsere evangelischen Masuren". Zapytałbym się go, czy ta broszura już wyczerpana, czy też ją z obiegu wycofano. (Została skonfiskowaną przez rząd niemiecki — przyp. autora).

Ten Mazur renegat i poseł nacjonalistyczny mógłby być żywym dowodem polskości Mazurów. Kazałbym mu mówić po polsku, kazałbym mu czytać gazety polskie z Warszawy, z Poznania, kazałbym mu potem czytać i śpiewać pieśni ludowe z jego własnego kalendarza. Ten poseł Mazur musiałby mi służyć do moich eksperymentów, wykazując dobitnie, że Mazurzy mówią po polsku i są Polakami. Jest tam jeszcze jeden poseł Mazur — renegat, który nazywa się Krysik, a po niemiecku Krischick.

Gdyby ten poseł się atoli bał gniewu swoich przyjaciół politycznych, gdyby mi uciekł z sali posiedzeń sejmu pruskiego natenczas odczytałbym głośno i wyraźnie ustęp z jego własnej broszury, w którym stwierdza, że narzecza mazurskie, pomijając pewne gramatyczne chropowatości i naloty obce jest ponad wszelką wątpliwość językiem polskim. Dosłownie „Ein Beweis dafür, dass der hochpolnische und masurische Dialekt, abgesehen von grammatikalischen Unebeukeiten des letzteren und von fremlandischen Bestandteilen des ersteren, einander so nahe stehen, dass sie als eine Sprache angesehen werden kännen.

Sądzę, że to świadectwo posła monarchistycznego i nacjonalistycznego, Superintendenta i rodowitego Mazura, przekonałoby także każdego członka izby, że mowa Mazura jest mową polską i że Mazurzy są Polakami".

4.

„MORITURI — MAJĄCY UMRZEĆ"

Artykuł Stanisława Nowakowskiego w jubileuszowym numerze „Gozety Olsztyńskiej" z dnia 1 kwietnia 1936 r.

(wspomnienia)

Było to w roku 1885, kilka miesięcy przed narodzeniem „Gazety Olsztyńskiej". Na Warmię zjechał z Torunia Ignacy Danielewski, by poznać stosunki i stworzyć plan obudzenia uśpionej i germanizacją przywalonej polskości w Prusach Wschodnich. Uczestniczył w zebraniach w Olsztynie i Wartemborku, gdzie doszło do ostrej wymiany zdań z nauczycielami i niektórymi księżmi. Opisał potem swą podróż

w „Gazecie Toruńskiej", zaopatrując niewesołe spostrzeżenia w tytuł łaciński „Morituri", określenie polskie zaopatrując słusznie w znak zapytania.

Prawie jednocześnie na łamach śląskiego „Katolika" i „Gońca Wielkopolskiego" do ziomków, w szczęśliwszych warunkach żyjących, serdeczne apele o pomoc dla Warmii zanosi Andrzej Samulowski, księgarz od 1887 roku osiadły w Gietrzwałdzie. Błagał i zaklinał, by nie pozwolili zasnąć braciom na Warmii.

Osobiście zamierzał wydawać gazetkę ludową, lecz wyprzedził go w tem zbożnem dziele Jan Liszewski z Klebarka.

Liszewski autor „Swatów", pierwszego utworu regionalnego, który dopiero trzydzieści lat później znalazł godnego naśladowcę w osobie księdza Walentego Barczewskiego, gorąco umiłował lud polski i jego zwyczaje, natomiast walk politycznych unikał w swojej „Gazecie."

Inny temperament miał Seweryn Pieniężny, Poznańczyk ze szkoły prof. Rzepeckiego, powstańca z 1863 roku. Pieniężny nie był skłonny do porozumienia z politykującym klerem, który należał bez wyjątku do niemieckiego stronnictwa centrowego. On i jego „Gazeta Olsztyńska" okrzyczana przez przeciwników politycznych jako „wszechpolska", w końcu zwyciężyli.

Konkurencyjne centrowe pisemko drukowane w języku polskim „Warmiak" i „Nowiny Warmińskie", po wyborach, które dały mandat poselski polskiemu kandydatowi, księdzu Wolszlegierowi, same się zlikwidowały. Do współpracowników ks. Barczewskiego i ks. Osińskiego przyłączyli się niebawem ks. dr Bilitewski, ks. Peć i młody ks. Feliks Schreiber z Mikołajek, założyciel Domu Kopernika w Olsztynie.

Niech mi będzie wolno, jako późniejszemu współpracownikowi śp. ks. Barczewskiego w Polskiej Radzie Ludowej, dodać, że i on oddziaływał na redakcję „Gazety Olsztyńskiej" w duchu pojednania katolików. Do takich rzeczników sprawy katolickiej należał również literat Eugeniusz Bucholz z Ornety, którego prace historyczne, drukowane w Gazecie, są niewyczerpaną kopalnią wiedzy o Warmii.

O Warmii, trzeba ze smutkiem wyznać, wiedziano na innych ziemiach polskich niewiele. Do cudownego miejsca, Gietrzwałdu, szły co roku po żniwach pielgrzymki. Słyszało się coś niecoś o pamiątkach po biskupach polskich i opowiadania o zamku Olsztyńskim, mylnie mniemając, że to ten, którego bronił Karliński. Znawcy podziwiali basztę, z której nasz nieśmiertelny Kopernik śledził ruchy ciał niebieskich, wysoką bramę i domy z arkadami na rynku.

Od roku 1912, w którym przeprowadzono próbną mobilizację, wojna wisiała na włosku. Głośny był w tym czasie proces o zabójstwo Schoenebecka i procesy przemytników, o których cała prasa niemiecka się rozpisywała. Sensacje te bledną wobec późniejszych wydarzeń.

To było mniej więcej wszystko, co inteligent polski wiedział o Warmii, przytym od czasu do czasu o jego uszy odbijało się nazwisko tak łatwe do zapamiętania: Pieniężny. Nazwisko to przez długie lata było synonimem polskości na zagrożonej reducie. O ludzie warmijskim nic nie wiedziano.

Gdy sprowadziłem się latem 1913 roku do Olsztyna i rozglądałem się wokoło, wydawało mi się początkowo, że znajduję się w mieście niemieckim. Dopiero w dni targowe otworzyły mi się oczy.

Szybki rozwój miasta zepchnął polskość do przedmieść. Za to na wsiach Niemców nie było. Zabłąkany albo od wieków zamierzchłych siedzący na roli Gielduba, Keliba czy Wistuba zawszeć uważany był za swojego, inni zaś to „poświetniki" i „czygany".

Pierwszym autochtonem, z którym się w Starych Prusach zetknąłem, był, „chytry litwina", nazywał się Stantzig i uchodził za stuprocentowego Niemca, dumny był jednak z tego, że któryś z jego przodków był dworzaninem króla polskiego Zygmunta, a zwali go Stańczykiem.

I nasz autochton staropruski, pochodzący ze Żmudzi, odznaczał się śmiałością i prawdziwym dowcipem, który pozwalał mu mówić prawdę wszystkim. A jednak Stantzig długo się nie zdradzał, dopiero gdy go na wojnie poharatali, zaklął na Perkuna.

Niebawem poznałem mistyków mazurskich, schodzących się na pogadanki do redakcji „Pruskiego Przyjaciela Ludu". Zarzekali się, że nie są Polakami tylko szczepem odrębnym, staropruskim, spokrewnionym z wymarłymi Jadźwingami, ale na dnie ich duszy wyczytałem nie tylko tęsknotę religijną. „Ojczyzno" — lamentowali w kościele, śpiewając pieśń starą o nie dobrym hetmanie Gąsiewskim, który okrutnie skrzywdził lud mazurski. A przecież nie oni winni, tylko panowie wiarołomni.

Poczciwy, szczerze przywiązany do wiary katolickiej i niezwykle pobożny lud warmiński ujrzałem na publicznej drodze w zatorze tramwajów, gdy śpieszył z polskim śpiewem na ustach, z krzyżem i zapalonymi świecami, na odpust do odległej Świętolipki. „Ofiarę" prowadził stary stolarz Sonnwald, znający wszystkie pieśni o Maryji. Kto jej zaufa nie zginie.

Nad drzwiami dębowymi starego zboru ewangielickiego w handlowym mieście Ostródzie, widziałem napis polski gotykiem „Dom Boży". Został on potem zamazany, jak wiele innych pamiątek polskości.

Wybuch wielkiej wojny spotęgował żarliwość religijną wiernych i odszczepieńców. Zbudził nieokreślone nadzieje. Księgę Sybillińską i inne przepowiednie kupowano w księgarni „Gazety Olsztyńskiej" jak chleb u piekarza. W przeddzień ogłoszenia mobilizacji zdążyłem pocieszyć Joannę Pieniężną, że jedynemu polskiemu pismu upaść nie pozwolimy. Poszedł na wojnę redaktor, Władysław Pieniężny, wujek — oraz dwaj młodzi Pieniężni, jego bratankowie. Pani Joanna, wdowa, została w drukarni sama z jedną dziewczyną, pracowitą jak mrówka. Przybrała wnet drugą do pomocy i obie składały gazetę, chociaż słabo mówiły po polsku. Czytać wyraźny rękopis od biedy mogły. Przy pomocy tych dzielnych dziewczyn pani Joanna regularnie wydawała gazetę, często sama kręcąc maszynę, gdy się motor zaciął. Redaktorem byłem ja, o czym nikt nie śmiał wiedzieć, ponieważ służbowo zajęty byłem w niemieckim wydawnictwie, które mię reklamowało od służby wojskowej jako „niezastąpionego".

Do redakcji „Gazety" przychodziłem wieczorami, pracując tu do późnej nocy. Z prasy polskiej dochodziły i to nieregularnie krakowska „Nowa Reforma" i najprzyjaźniej do nas usposobiony „Goniec Wielkopolski" rodziny Milskich z Poznania. Każdy numer zanosiła dziewczyna komendanturze do przejrzenia. Nigdy nie mieliśmy konfiskaty. W komendzie cenzorem był pewien kapitan, profesor seminarium, znający język polski niedostatecznie. Pomocnikiem cenzora wojennego byłem ja...

Pamiętny przeżyliśmy dzień na początku sierpnia 1915 roku. W redakcji odezwał się telefon. Główna komenda wzywa natychmiast redaktora na ważną konferencję. Pani Pieniężna struchlała. Po chwili odpowiedziała, że żadnego redaktora nie ma, ponieważ wszystkich zabrali na wojnę. Ostra indagacja, kto wobec tego redaguje pismo, które ukazuje się bez przerwy? Pani Pieniężna odpowiada, że pisze sama, a pomaga jej pewna pani. Wezwano obie, grożąc przymusowym doprowadzeniem.

Nie zwlekając wybrała się pani Pieniężna do Komendy, zabierając po drodze moją żonę na tę konferencję. Sztabowcy nie bardzo chcieli rozmawiać z paniami, ale wkońcu oświadczyli o co im chodzi: „Es soll jetz alles gut sein, denn die Polen sind unsere Waffenbrüder".

Na wtrąconą uwagę, jaką pan generał ludność polską ma na myśli, tutejszą czy tę za kordonem, przytaknął zapytany, że głównie mu chodzi o oddziaływanie na ludność Kongresówki, w kraju zaś stosunki się ułożą, zresztą obowiązuje „Burgfrieden" i wszelkie dyskusje narodowościowe są niedopuszczalne.

W subwencjonowanym przez regencję „Pruskim Przyjacielu Ludu", pastorowie zaczęli opisywać zapał Polaków, witających wojska pruskie, tudzież bohaterstwo „polskich strzelców" Piłsudskiego, zamieszczając nawet wierszyki pochlebne, a całkowicie zaprzestali szkalowania.

Tylko dwa razy „Gazeta" nie wyszła w czasie wojny, i to, gdy od strony Działdowa dochodził nas od kilku dni grzmot dział. Nagle Urząd Pocztowy zawiadomił redakcję, że przestaje wysyłki gazet, ponieważ wszystkie urzędy się ewakuuje. Najpierw wyjechały na zachód rodziny oficerów i wyższych urzędników, następnie zaczęła się ucieczka gromadna. Powstał popłoch. Wszystkie składy pozamykano. Musieliśmy „rekwirować" na własną rękę. Rodziny polskie z Mazur i pogranicza schroniły się do Olsztyna. Pierwsza przybyła pani Jaroszykowa ze zbombardowanego Szczytna, ratując troje małych dzieci. Niemcy radzili nam wyjechać z Olsztyna do puszczy Luksemburskiej... Odbyliśmy naradę w mieszkaniu pani Pieniężnej i postanowiliśmy wytrwać na posterunku, choćby nawet przyszli okrzyczani kozacy, „urzynający kobietom piersi"...

Gdy w drukarni pisałem mały zapas „sensacji" o najeździe rosyjskim, pióro wypadło mi z ręki. Na ulicy rozległ się tętent kopyt koni kozackich. Miasto zajęła brygada białoruska.

Wyszedłem na rynek porozmawiać z niespodziewanymi gośćmi. Dowódca, któremu mnie przedstawił ks. Wiechsel, zażądał wydrukowania w „Gazecie" manifestu wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków. Na szczęście nie było takiego manifestu pod ręką (oficerowie rozdawali go po wsiach i przez to redakcja uniknęła nieprzyjemności.

W kilka godzin później armia rosyjska Samsonowa, wciągnięta w pułapkę, zaczęła się wycofywać. Na ulicach polała się krew. Tej nocy nikt nie spał. Wszystkie kobiety Rosjanie zapędzili do pieczenia chleba, grożąc złupieniem domów, jeżeli na rano nie dostaną świeżego pieczywa. Pierwsza poszła do piekarni pani Pelagia Pieniężna. Scenę najazdu rosyjskiego i pieczenia chleba pod bagnetami przedstawiają płaskorzeźby zdobiące front nowego ratusza.

Przednie straże rosyjskie dotarły do nasypu kolejowego pod Biesalem, skąd podobno widziały wieżę Gietrzwałdu i nabożną procesję, proszącą Najświętszą Panienkę o odwrócenie najazdu. Tak te sprawy przedstawił w „Gazecie" śp. Andrzej Samulowski, dopatrując się w nich nowego cudu.

Wojna dała się ludności boleśnie we znaki. W Prusach Wschodnich ucierpiało 13 miast, 572 wsie i 236 dworów. Przed zakończeniem wojny Niemcy zdołali odbudować 34.000 domów i 15 zniszczonych świątyń.

Przy odbudowie pracowały dziesiątki tysięcy jeńców wojennych i cywilnych wśród nich wielu rodaków z za kordonu. Biedacy często odwiedzali redakcję „Gazety" dopytując się o nowiny i żebrząc łyżki strawy.

Pani Joanna miała czułe serce i bezustanku spieszyła z pomocą nieszczęśliwym, szczególną opieką otaczając żołnierzy.

Niejedna gosposia ze wsi, której napisało się prośbę o zwolnienie męża z frontu na żniwa z wdzięczności ofiarowała redakcji połeć słoniny, mieszek kaszy lub grochu, masła i jajek też naznosili ukradkiem, było więc czem się dzielić z bliźnimi, którym szczupłe porcje wydzielano na kartki.

Znam obywateli w Polsce dziś na stanowiskach, dawniejszych jeńców olsztyńskich, którzy się modlą za swoich dobroczyńców.

Panią Joannę Bóg ciężko doświadczył. Straciła pod Reims jednego syna, od drugiego, zaginionego w Karpatach, tygodniami całymi nie przychodziły wieści. Ile łez wylała, ile mszy św. zakupiła na ich intencję, kto zliczy? Pan Seweryn szczęśliwie wrócił i kieruje wydawnictwem.

Z abonamentu dochody były małe. Gazetę ratował ożywiony handel książkami do nabożeństwa i dewocjonalizmami. Papier przydzielano z urzędu, ołowiane czcionki były strzaskane, farba cuchnęła, maszyna rozklekotana, słowem rozpacz.

Tak wegetowaliśmy całe cztery lata, nie tracąc nadziei, że będzie dużo lepiej. Na duchu nas podtrzymywał ks. Barczewski, pożyczając pieniędzy na nowe czcionki i zadając kłam mądrości starożytnej: „inter arma silent musae" (w czasie wojny milkną muzy), bo właśnie w roku 1917 wydaliśmy drukiem jego „Geografię polskiej Warmii" a w 1918 z polecenia prof. uniwersytetu krakowskiego Kazimierza Nitscha, przygotowującego „Mapę Narzeczy Polskich" zwiedziłem kilkanaście miejscowości, aby zbadać gdzie i jak nazywa się nietoperz.

Zanotowałem wtedy takie formy, jak „Latopisz", „Kacopesz", „Gacek", „Mantopysz". Pomagała mi w tej pracy Augustynka Wiewiórzanka z Bredynka, początkująca wierszokletka, obecnie nauczycielka w Polsce, zawdzięczająca swe uświadomienie narodowe, jak wiele innych osób z młodej generacji, głównie „Gazecie Olsztyńskiej".

Gdy Niemcy zająwszy Warszawę, wydawali proklamację niepodległości polskiej, oficerowie i urzędnicy w Olsztynie zaczęli się śpiesznie uczyć po polsku. Nasza księgarnia sprowadziła mnóstwo podręczników. Z udzielania lekcji języka polskiego dygnitarzom pruskim wybierającym się na stałe do Polski, miałem ładny dochód, tak że rzuciłem pracę w niemieckiej kuźni i zdeklarowałem się przed władzami jako redaktor „Gazety Olsztyńskiej. W tym charakterze uczestniczyłem w dwóch konferencjach prasowych w Gdańsku, gdzie nas zabrano na przejażdżkę łodzią podwodną po Bałtyku i mówiono nam, że Anglię głodem zmusi się do kapitulacji.

Wybuch rewolucji 1918 roku nas nie zaskoczył. Wbrew twierdzeniom, że ma już umrzeć, lud polski na Warmii przebudził się z letargu. Władze pozwoliły urządzać zgromadzenia i publicznie przemawiać po polsku. Powstałe z mej inicjatywy 11 polskich towarzystw ludowych (w Olsztynie, Pluskach, Gryźlinach, Wartemborku, Tomaszowie, Dajtkach, Pietkowie, Gietrzwałdzie, Butrynach, Purdzie i Sząbarku) jedno kółko śpiewacze (założycielem był Władysław Pieniężny) i pierwsza szkółka polska w której kierownikiem był Aleksander Sosna.

W porozumieniu z młodym Janem Baczewskim, późniejszym posłem, zorganizowałem wybory do sejmu powiatowego. Zdobyliśmy 11 mandatów i 1 mandat do Rady Miejskiej w Olsztynie.

O pracach konspiracyjnych, za które sam ponoszę odpowiedzialność, gdyż narażałem zasiedziałych, wolę nie pisać, gdyż sprawy te są zbyt drażliwe, a zresztą jeszcze nie czas na odsłonięcie rąbka niejednej tajemnicy. To jedno powiem. Dnia 27 maja 1919 roku w zamku malborskim odbyła się poufna schadzka polityków pod przewodnictwem komisarza rządowego Gehla z Gdańska (socjalista) i dr Fleischera, posła centrowego z Warmii. Postanowiliśmy: *„Die Regelung der Ostgrenzfragen kann in sachlister Weise nur durch direkten deutsch-polnischen Ausgleich vergenommen werden.* Nur liesse sich der Weg finden gleichen Teilen zu werden gerecht".

Plan utworzenia *księstwa warmińskiego* (podkreślenie autora wspomnień), pod zwierzchnictwem biskupa, jak za czasów dawnej

Rzeczypospolitej , wysunięty przez księdza Majskę, nie znalazł aprobaty.

Dnia 23 czerwca 1921 roku urzędowa niemiecka agencja telegraficzna rozgłosiła wiadomość o aresztowaniu *„pod zarzutem zdrady stanu"* (podkreślenie autora) redaktora „Gazety Olsztyńskiej" Stanisława Nowakowskiego, redaktora „Mazura" Kazimierza Jaroszyka w Szczytnie i działacza litewskiego dr Gajgalata w Tylży.

Wiadomość ta, jeśli chodzi o moją osobę, była nieścisła. Była wprawdzie rewizja w redakcji i w mieszkaniu prywtnem, lecz „delikwent" zdołał się schronić w Warszawie, gdzie mu w kilka miesięcy później doręczono uchwałę sądu wojennego w Olsztynie o umorzeniu śledztwa na podstawie umowy polsko-niemieckiej o wymianie osób politycznie podejrzanych. W Szczypiornie siedziało ich więcej.

Udałem się z Warszawy do Paryża, gdzie poznałem nastroje aliantów i wyczułem, że plebiscyt z góry uważać można za przegrany.

Przewiduję, że gdy młodzi Warmiacy dojrzeją, to sami o losach swej ziemi zadecydują.

Idźcie, młodzi, śladami świetlanej Joanny Pieniężnej, pracując w zgodzie i jedności, zaś słowo „morituri" niech więcej nie mąci naszych i waszych umysłów.

O twoją rzecz chodzi, ludu warmiński!

5.

POLSKI WILK W ODZIENIU OWCZYM

Tekst ulotki propagandowej (bez daty) w okresie poplebiscytowym, skierowanej do Mazurów przez niemiecką propagandę w języku polskim z pominięciem języka niemieckiego.

Już same nazwisko nowego pisma Polaków „Mazurskiego Przyjaciela Ludu" pokazuje wilka polskiego, który do nas pruskich mazurów przychodzi w odzieniu owczym. Bo się już nie nazywa Mazur, jak dawniej, gdzie jeszcze ów znany Polak, katolicki Kazimierz Jaroszyk otwarcie był jego redaktorem, lecz teraz przywłaszczył sobie nazwisko „Przyjaciel Ludu" tylko się nie zowie „Pruski Przyjaciel Ludu", lecz Mazurski Przyjaciel Ludu". Tym sposobem mniema zakryć swą naturę wilczą, która się brzydzi prusactwem, a zwodzić tych, którzy może będą myśleli, że to dawny „Przyjaciel Ludu" dla Mazurów, owe pismo prawdziwie mazurskie nie polackie, jak ten nowy fałszywy „Przyjaciel Mazurski".

Dajta więc baczność Mazurzy, a strzeżcie się tego „wilka" drapieżnego na pozór tak gładkiego.

Jeszcze mało tylko numerów jego wyszło, a już można zbierać z nich całą gromadę dowodów jaki w nich jest fałsz, obłuda i machlarstwo, słowem, jaki to wilk pomimo swej skóry owczej.

Zaraz w pierwszym numerze łże to piśmidło, że pisarze jego jako prawdziwi synowie ludu mazurskiego do nas się odzywają.

Polak, to nie Mazur pruski, ale wróg jego! A że Polacy tu piszą, można lekko i często poznać. Jakiżby Mazur nazwał ministra Lutera, któremu zawierzona jest opieka w rzeszy niemieckiej nad pożywieniem i rolnictwem, ministrem „aprowizacji". Żaden Mazur nie zna tego słowa i nie pisałby tak dla Mazurów.

Ale gorzej tam jeszcze, gdzie na urząd „Mazur" jest udany jako pisarz artykułu, jak naprzykład w numerze ósmym, gdzie Mazur na obczyźnie mówi o tatarce na „Mazowszu".

Gdzież prawdziwy Mazur tak mówi? On zna „Mazury" i „grykę" ale nie Mazowsze i „tatarkę". Tu się tak samo polskie pazury wilcze jaśnie pokazują, jak w numerze 9-tym, gdzie w opisie „wykupu" stoi: Potem słychać prośby „oratora" (Mazur pisałby mówcy") albo w numerze 16-tym, gdzie „Mazurka z Westfalii" i „pieśń Mazura" o „tęsknocie" nadesłała, w której też tylko zna „Mazowsze: i „hoże dziewoje". Tak może gadają na Mazowszu", za granicą w Polsce, ale nie Prusach na Mazurach, gdzie „dziewczaki" zwą „czerkie" ale nie takie dziwolągi jak „dziewoje hoże".

Ptaka poznać po piórach a wilka po pazurach!

To prawda, z początku kryje swoje pazury pod skórą owczą, bo w numerze 11-tym pisze: „Mazurowi inteligentowi" (tak!): „Serdecznie dziękujemy za artykuliki, lecz na obecny czas niestety, jeszcze nie odpowiadają". Na obecny czas „trzeba jeszcze bardzo być ostrożnym, gładkim, obłudnym, zakryć pazury!"

Albo czy to nie jest obłuda, kiedy w pierwszym numerze to pismo polskie udaje, jakby nic złego nie chciało, ani walczyć przeciwko rodakom języka niemieckiego, a już w trzecim numerze pisać może „Za pisma niemieckie dziś drogie pieniądze płacić musita. A co za to mata. Mata często niepotrzebne bajki „różne łgarstwa!"

Za jakim krzakiem kto siedzi, za tym i drugich sadza. Nie dziwże więc, że ten Polak obwinia drugich z łgarstwa, tj. machlarstwa, którego sami już w pierwszych numerach piśmidła swego „oszczerczego" (aby jego własne słowa używać) tak często się dopuszcza. Łgarstwem to jest, co on tam pisze o zabójstwie w Essen: „Przyszło

do krwawego starcia między Francuzami a robotnikami niemieckiemi. Podczas walki zostało 13 zabitych. Tu żadnej walki nie było, lecz żołnierze francuscy strzelali w gęsty tłum bezbronnych ludzi cywilnych, którzy żadnej broni nie mieli, co już z tego wychodzi, że żadnemu Francuzowi ani jeden włos nie jest zdjęty, a uciekających poczęści z tyłu przestrzelano.

Aby zohydzić ludowi mazurskiemu dawnego cesarza, bredzi ten „fałszywy przyjaciel ludu" o tem, że „ekscesarz Wilhelm zamierza się ze swoją drugą małżonką Herminą rozwieść", „że chce zbiedz z Holandii". Jakie to głupstwo to chytry Polak nie rozważył. Bo dokąd by miał cesarz uciekać. Może do Francji albo do Anglii? Do najgorszych wrogów swych, którzy po wojnie gwałtem żądali żeby był przed sąd postawiony.

Albo czyby się miał wrócić do Niemiec, gdzie teraz Francuzi siedzą, gdzie podług fałszywego „przyjaciela ludu" bieda i nędza panuje?

W każdym zgoła numerze zestawia redaktor sprawy niemieckie i polskie. W Niemczech to wszystko licho a Polska to raj! Tam na Targach wszystkiego pełno, tam „złota i srebra dość" tam Amerykanie się nawet uczą z osławionego gospodarstwa polskiego" (Ktoby się tu nie roześmiał?).

Zobaczyta Mazury jak w przyszłych numerach redaktor polski wychwali Polskę, a oczerni Prusy albo Niemcy.

A to ma być „lojalny" (tj. rzetelny) „obywatel" niemiecki? Nie machluj Polaku! Twoja cała chęć ciągnie Cię do Polski, a ten kraj niemiecki, w którym ci tyle wolności dano, najradniej byś sprzedał Polsce, bo twoja cała praca na to wychodzi, aby Mazury były do Polski przyłączone. Sprawowanie się całe Polaków na Mazurach podczas głosowania w roku 1920 jest dowodem tego. Bo czyśta nie oddali głosy swoje na Polskę? Czyśta nie pisali i namawiali bez ustanku, aby Mazury tak czynili? Po cóż więc teraz ta obłuda i to łgarstwo, że chceta zostać obywatelami Niemiec, i że wam tylko chodzi o zastosowanie języka polskiego na Mazurach.

Gdyby tak było, to byśta nie prześladowali w taki sposób nienawistny przyjaciół Mazurów, jak np. Księdza Skowronka z Trelkowa, albo p. Superitendenta Hendzla z Jansborka.

Ale ponieważ oni słusznie i skutecznie pokazują ludowi mazurskiemu niebezpieczeństwo, dla tego są, którzy nie możecie znosić ich prawdy, solą w oku. Ale Bogu dzięki, że Mazury zawsze jeszcze poz-

nali owych przyjacieli o polskich zwodzicielach i wilkach w skórze owczej ani wiedzieć nie chcą.

Jednostki co prawda zawsze będą, którzy się dadzą namawiać Polakom do pracy dobrze opłaconej (by i tu używać wyrazu fałszywego „przyjaciela").

Takim pożałowania godnym sługą polactwa zdaje się być Gustaw Leiding jun. w Hozamborku, który „w jesieni zeszłego roku" — jak sam pisze w „numerze 10-tym" na pierwszym zebraniu „Mazurskiej Samopomocy" „dał się wybrać do Zarządu jako drugi sekretarz", a kiedy odkryto fałsz i obłudę tego związku od Polaków stworzonego na zamydlenie oczu Mazurom, szybko z niego wystąpił.

On sam teraz z naciskiem oświadcza: że nie ma nic wspólnego z tą organizacją „Masurische Selbsthilfe", wszakże, o cudzie—w tymże zaraz artykule na końcu dosłownie z pióra jego czytamy te słowa: „Zaś organizacji „Mazurische Selbsthilfe", chociaż z nią nie mam nic wspólnego życzę mimo tego dalszego pomyślnego rozwoju dla dobra ludu mazurskiego.

Widać, że on wykrętów w gronie Polaków się nauczył. Teraz on przed Polakami może być przyjacielem tej „organizacji polskiej", która głupiemu raj na ziemi obiecuje, a przed Mazurami nie mieć nic wspólnego z tem machlarstwem!

Nie pytamy się jego o wszystkich, którzy na ten lep polacki połażą „Wiecie też dokąd droga prowadzi?".

Czy chcecie do Polski, o której fałszywy „przyjaciel" w numerze 10tym powiada, że ona owego złego wroga Niemiec,- francuskiego marszałka Focha, który w maju przyjedzie do Polski mianowała marszałkiem Polski?

Takimi zdrajcami nie będziemy. Mazurzy! Ale zachowujmyż wierność aż do śmierci kochanej ojczyźnie naszej prusko-niemieckiej.

Superindentent Hensel

Jansbork

6.

LIST JAROSZYKA

(Gazeta Olsztyńska z dn. 1.VI.1936 r.)

„Szanowny Panie Pieniężny"

Na prośbę Pańską o szczegóły dotyczące pracy mojej jako redaktor „Gazety Olsztyńskiej" donoszę uprzejmie, że powołał mnie na to zaszczytne stanowisko ówczesny Komitet Centralny Związku

Polaków w Prusach Wschodnich w dniu 11 stycznia 1921 r. Nastąpiło to więc krótko po nieszczęsnym plebiscycie.

Wiadomo Szanownemu Panu, że wtenczas upojeni zwycięstwem plebiscytowym Niemcy, bardzo ostro zwalczali polskość w Prusach Wschodnich i wszędzie zorganizowali swoje placówki „Heimatdienstu".

Po upadku „Mazura" akcja prasowa niemiecka zwróciła się stanowczo przeciwko „Gazécie Olsztyńskiej" i jej redaktorowi. Atakowali nas zgodnie wszyscy. Słowem nie było partii niemieckiej, któraby nas nie zwalczała.

Ciężkiem wtedy było położenie naszego ludu warmijskiego. Przyznających się do polskości Warmiaków zwalczał „Heimatdienst", „wsio jedno jaką bronią".

W trudnych warunkach starałem się sprostać zadaniu i włożyłem w redakcję „Gzety Olsztyńskiej" całą swoją przeżyciami nadszarpniętą energię, zdrowie i pracę. Pisałem także w razie potrzeby po niemiecku.

Przemawialiśmy do przekonania, do zdrowego rozsądku, apelowaliśmy do honoru ,poczucia godności narodowej Warmiaków i Mazurów obfitemi źródłami niemieckiemi, tak iż prasa niemiecka i sławetny „Heimatdienst" w rozgrywce prasowej argumentacji „Gazety Olsztyńskiej" nic przeciwstawić nie mogła.

„Heimatdienst" zresztą wydał dla swoich organizacji, w których zasiadali przeważnie zgermanizowani Warmiacy i Mazurzy", tak zwane „Richtlinien", czyli wytyczne organizacji „Heimatdienstu" w byłych dzielnicach plebiscytowych.

„Ein Volk, und mag es noch so klein sein, dem der Glaube seiner Väter, seine Sprache, seine angestammte Sitte und Eingenart, dem seine Heimat nicht mehr, wie ein geheiligtes Kleinot in seinem treuen Herzen verankert ist, dass aus stumpfsinniger Gleichgültigkeit und Bequemlichkeit nicht bis zum letzten Atemzuge verteidigt, um es blank und rein seinen Nachkommen zur weiteern Pilege zu übergeben wird, aus dem Buche der Schôpfung und der Weltgeschichte mit Schimpf und Schande gestrichen".

Gdyby członkowie organizacji „Heimdienstu" byli wówczas ludźmi inteligentnymi i podług linij wytycznych „Heimatdienstu" rzeczywiście postępowali, natenczas „Gazeta Olsztyńska" miałaby dziesiątki tysięcy Czytelników a prasa niemiecka na Warmii i Mazowszu Pruskim topniałaby jak śnieg na słońcu.

Trudno było jednak przebić się przez mroki ciemnoty, pielęgnowanej starannie przez lat dziesiątki, przez ludzi, którzy na tej ciem-

nocie budowali cały swój system wynarodowiania, i w mętnej wodzie tylko łowić umieli warmijskie i mazurskie rybki.

Prasa niemiecka zwalczała mnie ostro, ale przyznać muszę, że znalazłem w tej prasie także słowa uznania i szacunku dla polskiego przeciwnika politycznego. Cieszyłem się także szczerze, gdy ta prasa stwierdziła, że w pracy mojej dziennikarskiej nie kierowałem się nienawiścią do narodu niemieckiego.

W grudniu 1925 roku wytoczono mi proces za obrazę generała niemieckiego von Bahrfelda. Skazano mnie na trzy miesiące więzienia. Karę w drodze łaski czy amnestii zredukowano na miesiąc. Przebyłem „urlop zdrowotny" w więzieniu Olsztyńskim, gdzie swego czasu spędzali swe urlopy także moi poprzednicy.

Nie martwiłem się z tego powodu. Dzisiejszy Wódz narodu niemieckiego odcierpiał także karę więzienną. Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. W Polsce odznaczono mnie Krzyżem Niepodległości. Mam także odznakę pamiątkową dla Więźniów Ideowych.

W dniu 21 kwietnia 1928 roku złożyłem redakcję „Gazety Olsztyńskiej" i udałem się z rodziną do Mławy, gdzie przez 6 miesięcy redagowałem „Głos Mławski".

A teraz z okazji 50-letniego jubileuszu „Gazety Olsztyńskiej" zasyłam na ręce Szanownego Pana jako Redaktora i Wydawcy pisma moje najserdeczniejsze życzenia. Szanownym Rodakom zasyłam pozdrowienia oraz prośbę, ażeby wytrwali przy sztandarze „Gazety Olsztyńskiej", czyli sztandarze honoru i godności narodowej. Niech żyją starzy pionierzy naszej sprawy i niech żyje młodzież, przyszłość nasza.

Załączam wyrazy szczerego poważania.

Mława, dnia 24 marca 1936 r.

Kazimierz Jaroszyk

7.

PRECZ Z DYKTATURĄ PANA KAZIMIERZA DONIMIRSKIEGO!

Tekst odezwy propagandy niemieckiej, (bez daty) skierowanej do Mazurów w języku polskim).

RODACY!

Znów nas namawia pan Kazimierz Donimirski, abyśmy w niedzielę 24 kwietnia, głosowali na naszych „panów". Lengę z Podstolina, Szczypniewskiego w Tropach — dwóch właścicieli. Nikogo z nas o to nie pytano.

Gdzie znów pozostał robotnik ze ziemi Malborskiej?

Znów mamy być pominięci milczeniem przez „panów" właścicieli, którzy wiążą dla nas bat. Znów na nas nie zwracano uwagi. Jako masa wyborcza tylko mamy być używani, aby podtrzymać warstwę panów właścicieli Polaków.

Co dotąd panowie dla nas uzyskali?

Nic!

Posługują się naszymi ideałami kulturalno-oświatowymi tylko wtedy, gdy chodzi o to, by poprzeć prywatne interesy niektórym „wodzom", by utrzymać im dobrze zapłacone posady i dopomóc im do osiągnięcia korzystnych wpływów.

Centrala Związku Polaków w Berlinie naszych cierpień nie zna. Dotychczas dla nas żaden poleceń nie ruszał. Nie dano nam nawet odpowiedzi na nasze zażalenie.

Kto np. otrzymuje pieniądze z Banku Ludowego, który stał pod wyłącznym wpływem pana Donimirskiego? Niektórzy wybrańcy tylko mają stałą korzyść z tej instytucji. Przed kilku tygodniami otrzymał pan właściciel Schreiber z Mikołajków kredyt w wysokości mk 25.000 w dwóch ratach i p. Witold Donimirski z Czernia dla córki hipotekę w sumie 10.000 marek. A my robotnicy? Nie dostaliśmy jeszcze tej wielkiej wspaniałomyślności. Do nas się tylko mówi:

sam sobie pomóż!

Jak się z nami obchodzą właściciele Polacy za nasze głosy, oddane im przy wyborach?

Uczucie socjalne tych „wodzów" wyjaśniają następujące przykłady:

W październiku zeszłego roku dziedzic Polak kazał żonie biednego robotnika wysiąść z wozu, do niego należącego, podczas deszczu i niepogody... gdyż nie jest zobowiązany pozwolić jej jechać na jego wozie". Jako zastaw za to „świetne użytkowanie własności „pana" zatrzymał jej trudno nabyty zakup — Inny dziedzic Polak w pobliskim Sztumie wyrzekł wielkiej liczbie robotników pracę, tak, że Ci biedni z rodzinami swymi zmuszeni są odbierać zapomogi pieczy społecznej. — Od kilku miesięcy dziedzic z Waplewa nie wypłaca robotnikom swym marnego zarobku. Ci biedni robotnicy otrzymując jedynie małe zaliczki na liche wynagrodzenie głodowe. A kto się odważy, postępować przeciw takiemu zarządzeniu, ten zostanie z pracy wyrzucony.

A jak żyją nasi „wodzce?"

Tak zostaje zmarnowany nasz ciężko zarobiony grosz. Pan dr Kaczmarek, kierownik Związku Polaków, pobiera pensję miesięczną w „drobnej" sumie 2.300 marek, — oprócz wysokich diet!

Wesołowski pobiera miesięcznie 960.— marek, Józefczak 720.— marek, Nawrocki 800.— marek itd. Nie mniej pobierają także nasi funkcjonariusze Literski i Golisz! A który nie może żądać stałej pensji, ten jedzie z Ramz do Berlina, do Polski i do innych krajów zagranicznych, by się tam przdstawić jako męczennik i bohater z Powiśla.

Do takich „wodzów" i ich osób postawionych społeczeństwom z Ziemi Malborskiej nie ma żadnego zaufania!

8.

PLEBISCYT W OŚWIETLENIU NIEMIECKIEGO AUTORA

Die erhebensten Tage der Geschichte hat der Stadt Orstelburg wohl die Zeit der Abstimmung gebracht, doppelt erhebend nach der Schmach des Versailler Friedens. In der Hoffnung des geigneten Augenblickes zur Erwerbung Masurens gefunden zu haben setzte das eben mit deutscher Hilfe wiedererstandene Polen unter Hinweis und der Hoffnung auf die masurisch sprechende Bevölkerung es durch, das der Regierungsbezirk Allenstein durch eine allgemeine Volksabstimmung über seine künftige politische Zugehörigkeit entscheiden sollte.

Truppen der Siegerstaaten, sicherten den ungestörten Verlauf der Abstimmung. Aus dem ganzen Reich und weiter her eilten die Stimmberechtigten (także nieboszczycy — przyp. autora) in hellen Scharen herbei. Ortelsburg allein nahm 1306 Gäste auf. Am Sonntag den 11 Juli 1920 fand in Masuren die Abstimmung statt. In Ortelsburg wurden 5336 Stimmen für Deutschland, 15 Stimmen für Polen abgegeben. In ganz Masuren hatten nur 2,5 Prozent der Bevölkerung für Polen gestimmt.

Damit war der Beweis dafür erbracht, dass nicht Abstammung und Sprache die Nationalität bestimmen, sondern ein jahrhundert langes gemeinsames Schiksal und vor allen jahrhundert lange gemeinsame Kultur. Treu der alten Überlieferung, der zufolge die Stadt nach dem grossen Unglück deutsch wurde, ist das von den deutchen Handwerkern begründete Orstelburg in hervorragendem Masse an diesem deutschen Abstimmungssiege beteiligt gewesen.

(Geschichte det Stadt Ortelsburg von Herman Gollub. Ortelsburg. 1926 str. 170).

9.

MICHAŁ KAJKA — ostatnie lata swego życia spędzał w bardzo ciężkich warunkach. Wprawdzie władze niemieckie nie aresztowały go i pozwoliły mu umrzeć śmiercią naturalną, ale męczyły go i szykanowały, co zgon jego przyspieszyło.

Umarł we wsi Ogródku w roku 1940, gdzie został pochowany.

Poszczególne utwory znaleźć można w kalendarzach „Królewsko-Pruskich", wydanych przez Marcina Gersza. „Prusko-Polskich" Jana Karola Sembrzyckiego, w 16 rocznikach „Kalendarza dla Mazura". W roku 1927 nakładem „Gazety Mazurskiej" wyszły jego „Pieśni Mazurskie" (64 str.) o treści religijnej i patriotycznej.

10.

JAN JAGIEŁŁO JAEGERTAL — za działalność społeczno-polityczną w Związku Mazurskim i plebiscytową odznaczony Medalem Niepodległości i Srebrnym Krzyżem Zasługi. W czasie wojny aresztowany, przewieziony do Olsztyna i bestialsko maltretowany został ścięty toporem w więzieniu w Moabicie.

Urzędowo Niemcy przerobili mu nazwisko na Jaegertal.

11

LISZEWSKI, autor „SWATÓW" — pierwszego na Warmii utworu regionalnego, umarł 23 lipca 1894 r.

12.

SEWERYN PIENIĘŻNY urodził się w Poznaniu 8 lutego 1864 roku, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Poświęcił się sztuce drukarskiej. Umarł 2 listopada 1905 r. w Olsztynie.

13.

SEWERYN PIENIĘŻNY (syn) urodzony w Olsztynie w roku 1890, kończy tutejsze gimnazjum i po śmierci ojca, otrzymuje „Gaz. Ol.". Podczas plebiscytu rozwija energiczną działalność w Komitecie Plebiscytowym.

Jest członkiem Rady Polskiego Banku Ludowego i wiceprezesem Związku Polaków.

14.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI — Historia przeobrażenia Kętrzyńskiego, urodzonego w mazurskim, miasteczku Łuczany, jest jakby wzięta z powieści romantycznej.

Ojciec, pruski oficer huzarów był już tak zniemczony, że słabo mówił po polsku. We wczesnej młodości zmienił swe polskie nazwisko na v. Winkler i ożenił się z Niemką.

Matka po śmierci ojca oddała syna Adolferta do sierocińca w Poczdamie. Po siedmioletnim tam pobycie, chłopiec powrócił do Łuczan, wstąpił do gimnazjum w Rastemborku. Tu od kolegów nauczył się mowy polskiej.

Przypadkowo zupełnie dowiedział się, że jest polskiego pochodzenia i wszczął starania o zmianę obcego nazwiska na swe rodowe, Kętrzyński.

W czasie powstania styczniowego mieszkał w Warszawie i był czynny jako kurier Rządu Narodowego.

Niemcy proponowali mu wysokie stanowiska za cenę wyrzeczenia się polskości, lecz wszystkie oferty odrzucił. Przed prześladowaniami i szykanami przenosi się do Krakowa, wreszcie zostaje dyrektorem Ossolineum we Lwowie.

Dr Wojciech Kętrzyński opracował kilkadziesiąt dzieł z zakresu historii Polski w r. 1868 napisał „pracę po niemiecku — „Die Lygier", w której uzasadnił, że praojczyzną słowian były ziemie między Odrą a Wisłą.

Wydał wiele prac o „Mazowszu", zebrał „Pieśni gminne ludu mazurskiego w Prusach Wchodnich". Największym jego dziełem na źródłach niemieckich opartym jest „O osadnictwie polskim w Prusach niegdyś krzyżackich".

15

MRONGOWIUSZ — urodził się w Olsztynie w r. 1764, gdzie ojciec jego był kierownikiem szkoły. Studia ukończył w Królewcu w seminarium dla teologów polskiego pochodzenia przy uniwersytecie Albertyńskim. Opracował kilka podręczników dla polskiej młodzieży szkolnej. Wydał 5 roczników polskich kalendarzy. Były to pierwsze tego rodzaju kalendarze na Mazurach.

Drukuje cały szereg prac religijnych i świeckich, słownik polsko-niemiecki, ogłasza dla użytku polskich zborów ewangelickich „Pięcioksiąg, czyli Kancjonał Gdański".

Umarł w Gdańsku w r. 1855.

16.

GIZEWIUSZ — uczęszczał do gimnazjum w Ełku, które otwarto w 1812 r. Studiował w Królewcu. Był posłem na Sejm w Berlinie. Umarł w maju 1848 r.

Zasłużył on sobie na miano Staszica, czy Marcinkowskiego Ziemi Mazurskiej.

Jak Staszic bowiem, podobnie i Gizewiusz pouczał, że tylko lud zdolny jest stworzyć wielkie wartości, że szlachta przeżyła już rozkwit swego życia, że odrodzenie duchowe wyjść musi z głębokich pokładów ludowych.

W Niborku urodził się autor wielkiego i sławnego, ośmiotomowego dzieła Ferdynand Grzegorzewski (1812 — 1891).

W Kutach przyszedł na świat ks. Celestyn Myślenta (zm. 1653), słynny uczony, jeden z niewielu znawców w ówczesnym świecie naukowym ludów starożytnych, autor dzieła o religii pogańskiej Prusów.

W Ełku urodził się Ludwik Baczko, (zm. 1823), historyk, autor sześciotomowej historii Prus; w Piszu historyk literatury, Jerzy Pizarski (zm. 1790); w Jezioranach historyk Jan Leo (zm. 1653); w Ornecie ks. dr Sieniawski, autor znakomitego dzieła o biskupstwie warmińskim, nagrodzonego w r. 1876 przez Akademię Umiejętności w Krakowie; w Biskupcu uczony Jan Pietraszewski.

17.

FELIKS NOWOWIEJSKI, — syn Warmii, światowej sławy kompozytor urodził się w Wartemborku (obecne Barczewo) w r. 1877. Dom, w którym się urodził zamieniono na Muzeum pamiątek po twórcy „Roty" i Legendy Bałtyku. Twórczość swą rozpoczyna Nowowiejski w r. 1900. Jego Oratorium op. 3 zostaje wyróżnione sławną nagrodą Prix de Rome w r. 1902. W następnych latach powstają dalsze dzieła: Symfonia, kwartet smyczkowy, „Obwaty Polskie", poematy symfoniczne, „Beatrice" i „Śmierć Elleną", Fantazja orkiestrowa" op. 17, a zwłaszcza dwa wielkie oratoria na sola, chory i orkiestrę. Monumentalne jego dzieła zna lepiej zagranica, aniżeli własna Ojczyzna

„Quo Vadis" (na tle powieści Sienkiewicza) jest jednym z największych sukcesów muzyki polskiej XX stulecia.

Amerykańska krytyka fachowa pisała w r. 1910 o wykonaniu tego oratorium pod batutą samego kompozytora, nazywając interpretację „najświetniejszą, jakiej Ameryka jeszcze nie słyszała".

W Amsterdamie sukces Nowowiejskiego był tak wielki, że po skończonym koncercie tłumy publiczności wyniosły go na rękach do hotelu.

W roku 1910 Feliks Nowowiejski wraca do kraju i na odsłonięcie „Pomnika Grunwaldzkiego" w Krakowie pisze Rotę do słów Konopnickiej. Od roku 1919 osiada w Poznaniu. W okresie plebiscytu Nowowiejski agituje na rzecz przyłączenia ziemi rodzinnej do Polski. Pisze hymn Warmiński. Feliks Nowowiejski wyróżniony w r. 1935 Państwową nagrodą muzyczną, laureat wielu nagród krajowych i zagranicznych, członek towarzystwa muzycznego w Londynie, kawaler Orderu „Polonia Restituta", umiera w styczniu 1946 r. w Poznaniu.

18.

MIKOŁAJ KOPERNIK — urodził się w Toruniu dn. 19 lutego 1473 r. Po powrocie z zagranicy w roku 1504 osiedlił się na Warmii, jako sekretarz przy boku swego wuja Łukasza, biskupa w Licbarku.

Po śmierci wuja zamieszkał we Fromborku. W roku 1520, będąc administratorem dóbr kapitulnych w Olsztynie, bronił zamku przed Krzyżakami, jako dowódca warowni olsztyńskiej.

„Nękani jesteśmy — pisał Kopernik po łacinie dn. 22 lipca 1516 r. do króla Zygmunta — ogniem i mieczem, napadami i rozbojami od coraz to wzrastającej liczby wrogów (Niemców).

„Jesteśmy jakby wprowadzeni w niewolę, tak, iż nawet godziny bezpiecznie nie mieszkamy w domach naszych. Z czyjej zaś pobudki te przykrości nasze tak się wzmogły, to już skądinąd,—jak sądzimy— jest znane Waszej Królewskiej Mości. Jest to bowiem powszechnie wiadomym, gdzie się owi rozbójnicy dotychczas wylęgli, gdzie się na nas zbroją.

„Następnie widzimy także, iż ze strony W. Mistrza grozi nam już prawie niebezpieczeństwo i przemoc, której nie mamy sposobności odeprzeć.

„To też uniżenie Wasz Majestat zaklinamy i błagamy: racz królewską swą mądrością i stanowczością zapobiec tym zbrodniczym usiłowaniom...".

A oto, jak oceniał linię polityki polskiej Kopernik. Następujący wyjątek z listu, pisanego z Medzaku 22 października 1518 r. do Kapituły Warszawskiej ma swoją wagę:

„Moskwa z królem polskim pokój zawarła...
„Tak więc cała ufność naszych sąsiadów (Krzyżaków) już runęła.

Na zamku olsztyńskim są również pamiątki po wuju Kopernika, biskupie Wieczenrode, (matka Kopernika była z domu Wieczenrode), którego Krzyżacy nazywali „diabłem wcielonym" i codziennie zanosili modły do Stwórcy o rychłą śmierć dla swego wroga.

19.

STANISŁAW HOZJUSZ — pochodził z Krakowa (ur. 1504—zm. 1579 r.). Zastępował papieża, Piusa IV na Soborze Trydenckim i przeprowadzał w jego imieniu rokowania z cesarzem rzymskim w doniosłych sprawach polityczno-kościelnych. Piastował godność biskupa warmińskiego przez lat 28. W roku 1563 podczas wyborów nowego papieża dużo głosów padło na kardynała z Warmii.

20.

Ermland sei mir keiner Kerze wert, aber Preussisch-Polen wäre ein zu bedeutender Gewinn, denn dann hätten wir die Weichsel und freie Verbindung mit Ostpreussen. Das wäre sehr wichtig.

21.

*) Marcin Giersz ur. 1808, zm. 1895.

22.

*) Jan Karol Sembrzycki urodził się w Olecku w r. 1856.

23

*) Kazimierz Jaroszyk, urodzony w Poznaniu w r. 1878 um. 1941. Ostatnie lata swego życia przebywa w Mławie zmęczony pracą w terenie i wyczerpany odsiadywaniem kar. Odznaczony Krzyżem Niepodległości i pamiątkową odznaką „Więźniów Ideowych".

24.

*) Ksiądz Walenty Barczewski, działacz społeczny i publicysta, którego prof. Nitsche nazwał doskonałym i praktycznym znawcą narzeczy warmińskich. Wydał szereg książek i rozpraw, traktujących o Warmii, między innymi „Kiermasze na Warmii", „Geografia Polskiej Warmii", „Księgi Kościelne", „Misje na Mazurach", „Kościoły w IX stuleciu" itd.

Na cmentarzu w Brunswałdzie leżą zwłoki tego bojownika o polskość tej ziemi. Szczęśliwym zrządzeniem losu nagrobek jego z napisem polskim: „Tu spoczywa ś. p. ks. Walenty Barczewski, a na boku: ks. Barczewskiemu —Polacy z Warmii" — przetrwał wojnę i czasy terroru hitlerowskiego.

25.

*) Juliusz Bursche, superintendent generalny kościoła ewangelickiego w Polsce, inaczej biskup ewangelicki, urodził się w Zgierzu pod Łodzią. Gdy wybuchła druga wojna światowa biskup Bursche ma odwagę potępić Hitlera.

Z Warszawy nie uchodzi ten już 80-letni starzec, choć wie dobrze, co go od Niemców czeka. Ginie w obozie w Oranienburgu męczeńską śmiercią za to, że był rzecznikiem spraw mazurskich, że przez lat 50 nieustannie nimi się opiekował.

Mazurzy wysoko cenili biskupa Burschego, żywiąc doń synowskie przywiązanie.

26.

*) Ludwik Łydko ur. 1895 r. w Krakowie (zmarł podczas wojny) nazywany przez Niemców pogardliwie „galizischeJüngling" wykazywał wielki hart ducha. Nawet po plebiscycie zostaje na posterunku wymownymi słowy i piórem służąc sprawie. Napisał sztukę regionalną, graną w teatrach na pruskim Powiślu. Wroku 1921 skazano go na pięć miesięcy więzienia, wreszcie wydalono, jako uciążliwego obcoziemca.

LITERATURA PRZEDMIOTU

Z uwagi na małą u nas znajomość spraw mazurskich autor podaje niżej bibliografię przedmiotu w tym przekonaniu, że przydać się ona może tym, których pociąga tematyka mazurska.

ANTONIEWICZ JERZY — Zagadnienie ochrony zabytków archeologicznych w okręgu mazurskim, nakł. Instytutu Mazurskiego.

BARKE HUGON — Skąd pochodzą Mazury — Poznań.

BUZEK JÓZEF dr — Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków — Lwów 1909.

BARKE HUGON i JAROSZYK KAZIMIERZ — Walka o Mazowsze Pruskie, — Poznań.

BRÜCKNER A. — Dzieje Kultury Polskiej, Kraków 1930.

BRÜCKNER A. — Z dziejów języka polskiego.

BUJAK FR. — Ogólny zarys osadnictwa niemieckiego na Zachodnich Ziemiach Polski, Kraków 1945 r.

BARCZEWSKI WALENTY ks. — Geografia Polskiej Warmii. Rok 1917; Kiermasze na Warmii; Źródła naszej Łyny; Misje na Mazurach.

CZEKANOWSKI J. — Wstęp do historii Słowian, Lwów 1907

CZEKANOWSKI J. — Rasy i Ludy, Warszawa, 1931 r.

D. DAS SCHLOSS ALLENSTEIN — Druckerei Allenstein, 1930.

DERUGA ALEKSY — Aktualność Żeromskiego, Warszawa 1946 r. Nakł. Państwowy Inst. Wydawniczy.

GAZETA MAZURSKA — Rok 1923.

GAZETA LUDOWA — Pismo poświęcone ludowi ewangelickiemu, Ełk 1896 r.

GIERTYCH JĘDRZEJ — Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie).

GÓRSKI KAROL — Krótkie dzieje Prus Wschodnich, Pań. Zakł. wyd. szkolnych.

GOLLUB HERRMAN — „Geschichte der Stadt Ortelsburg: Verlag Orstelburg Zeitung, Königsberg 1926 r.

GRABOWSKI MAKSYMILIAN AUGUST — Podróż do Prus w r. 1844 w opr. Krystyny Pieradzkiej 1946 r.

GONIEC MAZURSKI — Ostród 1905 r.

HARTKNOCH — Alt u Neues Preussen, Królewiec 1864 r.

HASS JAKOB — Mazurzy Pruscy w Niemczech powojennych.

HINZ A. — Die alte Sitte im Ostpreussen, Królewic 1862 r.

JAMKA RUDOLF — Prusy Wschodnie w dobie prehistorycznej Nakł. Pol. Zw. Zach. 1945 r.

JEDNODNIÓWKA, — wydana przez Polski Zw. Zachodni w Olsztynie z okazji zwycięstwa oręża polskiego nad Krzyżakami pod Grunwaldem 1410 — 1945 r.

KALENDARZ — ewangelicko-polski dla Mazurów, Szląska i dla Kaszubów na rok zwyczajny 1889 — Toruń.

KĘTRZYŃSKI WOJCIECH — O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich, Lwów 1882 r.

KUTRZEBIANKA ANNA — Etnografia polskich grup ludnościowych na zachodzie, Kraków 1945 r.

KALENDARZ DLA MAZURÓW — Na rok 1947, nakł. Instytutu Mazurskiego w Olsztynie.

KAJKA MICHAŁ — Pieśni Mazurskie, nakł. „Gazety Mazurskiej", r. 1927.

KOMUNIKAT DZIAŁU INFORMACJI NAUKOWEJ nr 4—5. Rok 1946. Instytut Mazurski.

KALENDARZ DLA MAZURÓW na rok 1925, Szczytno.

KAWECKA-GRYCZOWA ALODIA — Zarys dziejów piśmiennictwa Polski w Pr. Wsch. Warszawa 1946 r.

KĘTRZYŃSKI W. — O powołaniu Krzyżaków przez Konrada Mazowieckiego.

KURNATOWSKI J. — Zagadnienie Prus Wschodnich, 1925 r.

KOSTRZEWSKI J. — Zabytki Przedhistoryczne Prus Wschodnich, Poznań 1931 r.

KOSSINA G. — Die Herkunft der Germanen, Lipsk 1920 r.

LIMANOWSKI BOL. — Mazowsze Pruskie, 1925 r.

ŁOSIŃSKI W. — Życie polskie w dawnych wiekach.

MAJEWSKI E. — Starożytni Słowianie na ziemiach dzisiejszej Germanii, Warszawa 1903 r.

MURINIUS ks. — Kronika Pruska. Bibl. Star. pism. pol t. I. 1854 r.

MOCARSKI ZYGMUNT — Z zagadnień piśmiennictwa polskiego na Mazurach, Poznań 1939 r.

MAŁŁEK KAROL — Jutrznia mazurska na Gody — Nakł. Inst Mazurskiego.

MAŁŁEK KAROL — Plon czyli dożynki na Mazurach. Nakł. Inst. Mazurskiego.

MEMORIAŁ Mazurskiej Rady Ludowej z dn. 9 czerwca 1946 r.

NITSCH KAZIMIERZ — Polskie gwary ludowe ziem Zachodnich 1945 r.

OSTASZEWSKI J. — Z dziejów mławskiego Mazowsza 1934 r.

OSTASZEWSKI J. — Dzieje pierwotne szczepu mazurskiego 1935 r.

ODZYSKANE ZIEMIE, ODZYSKANI LUDZIE — Wydaw. Polska Zachodnia.

ORŁOWICZ MIECZYSŁAW dr — Ilustrowany przewodnik po Mazurach Pruskich 1923 r.

PIWARSKI KAZIMIERZ — Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych. Nakł. Instytutu Bałtyckiego 1946 r.

SZYMAŃSKI ADOLF — Mazurzy Pruscy przed zagładą. Poznań 1922 r.

SOWA P. — Warmia i Mazury 1927 r.

SIERZPUTOWSKI TADEUSZ — Kartki z dziejów stosunków Polsko-Pruskich w XVI stuleciu, Warszawa 1902 r.

SEMBRZYCKI — O gwarze Mazurów Pruskich.

SROKOWSKI STAN. — Z krainy Czarnego Krzyża, 1925 r.

SROKOWSKI STAN. — Jeziora i moczary Pr. Wsch. 1930 r.

SROKOWSKI STAN. — Prusy Wschodnie, kraj i ludzie, 1929 r.

SROKOWSKI STAN. — Pamiątki polskie w Pr. Wsch., 1932 r.

SMOLEŃSKI W. — Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej, Kraków 1908 r.

ŚWIĘCICKI J. — Opis Mazowsza, Warszawa, 1875 r.

SUKIERTOWA-BIEDRAWINA E. — Zarys piśmiennictwa polskiego na Mazurach Pruskich. Działdowo 1935 r.

SUKIERTOWA-BIEDRAWINA E. — Na szlaku Jagiełłowym 1934 r.

SUKIERTOWA-BIEDRAWINA E. — Bojownicy Mazurscy — Nakł. Inst. Mazur. 1946 r.

SUKIERTOWA-BIEDRAWINA E. — Legendy Mazurskie, Warszawa 1927 r.

TEMPLIN K. —Unsere Masuriche Heimat. — Ządźbork 1918 r.

TURKOWSKI T. — Żywioł polski w Pr. Wsch. i Zach. 1915 r.

TWIERDZA EWANGELICKA, — dodatek religijny do Mazur. Szczytno 1932 r.

TYMIENIECKI K. — Wolność kmiecia na Mazowszu w w. XV, Poznań 1921 r.

WAŃKOWICZ MELCHIOR — „Na tropach Smętka", Warszawa 1937 r.

WORGITZKI MAX — Geschichte der Abstimmung der Ostpreussen.

ZAJĄCZKOWSKI ST. dr — Podbój Prus i ich kolonizacja przez Krzyżaków.

ZIMER NORBERT — Kampf im Ostpreussen.

ZIESEMEN W. — Die Litteratur des Deutschen Ordenes im Preussen.

SPIS RZECZY

CZĘŚĆ I

		Str.
	Przedsłowie	5
I	Za żelazną kurtyną	9
II	Węzełek gordyjski	15
III	Rezerwaty polskości	21
VI	Na moich tropach	29
V	Jeszcze Polska	33
VI	Ostatni Mohikanie	39
VII	U Michała Kajki	43
VIII	Grunwald — Częstochowa polskich dziejów	49
XI	Latarnik olsztyński	57
X	Kołyska polskiej cywilizacji	63
XI	Prasa na Mazurach	71
XII	Biada zwyciężonym	83
XIII	Na gruzach kwitnie nadzieja	97
XIV	Miejsce, skąd się rozniósł pożar	107
XV	Robaczywy tryumf	115
XVI	Rzeczypospolitej pasierby	125

CZĘŚĆ II

I	Na tropach Kołbóga	139
II	Chłopski bocian na bezpańskiej ziemi	143
III	Weselej już w krainie Smętka	159
IV	Sami sobie natchnieniem	171
V	Młody las	175
VI	Ludzie bez ojczyzny	179
VII	Nowy najazd Tatarów	185
VIII	Pod kątem widzenia pierzyny	191
IX	Na Mazurach uprzątają gruzy	195
X	Proces weryfikacyjny Smętka	203
XI	O pieśni gminna	211

PRZYPISY 218
LITERATURA PRZEDMIOTU 243

U 62805
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

62805

Biblioteka Główna UMK
300020715385